

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WYBORCZA
na DŁUGI
WEEKEND

**Praktykę
oblewa 3/4
zdających**
Jazdy z prawem
jazdy ▶10

**Czy UE ma
jeszcze sens?**
Nadchodzi
czas „koalicji
chętnych”? ▶14



WYSOKIE OBCASY
**Miejscowi
mówią: dość!**
Co dalej z masową
turystyką?



MAGAZYN

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Tomek
Lipiński:
**Moje życie
to kalendarz
Polski**
▶ 22



FOT. MARTYNA NIECKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

ISSN 0860-908X

33>

9 770860 908167

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198

Sobota-czwartek, 16-21 sierpnia 2025 | Redaktor prowadzący Andrzej Kulasek | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 189.10986, 2 | Nakład 74 tys. + 302 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA

Kraj/34390001

Gdy grasz, wszystko gra! **SuperGracze mają moc**

Dzięki Wam przekazaliśmy w 2024 roku
ponad **1,5 miliarda złotych** na sport i kulturę.

Agnieszka
Kublik

KPO a kolana Tuska

Afera KPO oznacza kryzys dla rządu i całej Koalicji 15 października. Ale najmocniej dotknie Szymona Hołownię. To on może stracić więcej niż mu się wydawało po wyborach prezydenckich.

Latem 2021 r., gdy Donald Tusk wrócił do polskiej polityki, Szymon Hołownia deklarował, że Tuskowi nie wskoczy na kolana. Liczył, że pozycję ma tak silną, charyzmę tak wielką, a osobowość tak uroczą, że ogra nie tylko Tuska, ale i Jarosława Kaczyńskiego. „Na scenie politycznej rywalizujemy”, obiecał wtedy Hołownia. Chodziło o Tuska.

Latem 2023 r. był pewien, że jego marzenie o trzeciej sile to genialny plan na rozbicie duopolu. Miał usadzić się w centrum na dobre. I na długo.

Przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r., gdy pod fałszywymi pretekstami odmawiał zbudowania jednej listy (argumentował, że wcześniej wspólna lista opozycji się nie sprawdziła, a przecież opozycja z jednej listy nie startowała ani razu),

Hołownia był pewien, że wysoko odbije się od swojego wyniku wyborczego z 2020 r.

Pięć lat temu zagłosowało na niego 2 693 397 wyborców, dostał 13,87 proc. W 2023 Trzecia Droga, czyli koalicja partii Hołowni i PSL zgarnęła 3 110 670 głosów, czyli 14,4 proc. Tylko że nie

był to jego sukces, a...Tuska, który apelował o głosy na Trzecią Drogę. Istniało ogromne ryzyko, że TD spadnie pod 8-procentowy próg, na czym zyska PiS i zostanie na trzecią kadencję. Elektorat TD to byli wyborcy z ostatniej chwili, nielojalni. Koalicja 15 października zdobyła większość mandatów, ale za mało, by odrzucać prezydenckie weto (267). Z jedną listą może by się udało...

Hołownia oszołomiony marszałkowskimi sukcesami, uwiedziony przez samego siebie, grał nadal na...siebie. Nie swoją partię, nie Trzecią Drogę, nie na Koalicję 15 X.

978 901 głosów, czyli 4,99 proc. w wyborach prezydenckich, nocne spotkanie z Kaczyńskim, oskarżenia wobec swojego obozu o zamachu stanu... za to się płaci. Teraz PL2050 balansuje na progu wyborczym, Hołownia stracił na zaufaniu i wyborców, i koalicjantów, i współpracowników.

Katarzyna Pelczyńska-Nałęcz, jego zaufana w partii, ministra funduszy regionalnych postawiła właśnie Tuska w katastrofalnej sytuacji. Środki z KPO, które jego rząd załatwił, teraz go pogrążają. Sukces staje się pułapką. Za sprawą Pelczyńskiej-Nałęcz. Nie poinformowała szefa, że jest problem. Milczenie o lipcowej dymisji szefowej PARP tłumaczy troską o dobrostan zwolnionej. Szlachetnie, ale że zaszkodzi Tuskowi, który z mediów dowiedział się o aferze KPO, już nie pomyślała. A kiedy od piątkowego poranka powinna wszystkie wątpliwości wyjaśniać, pozostała na urlopie, zamiast pospieszyć szefowi swojego rządu z pomocą.

Może teraz to ludzie od Hołowni będą Tuskowi wskakiwać na kolana? ●

Andrzej rysuje

W Maladze dzioby mierzą
Flamingi pod lupą

Wolontariusz mierzy dziób flaminga w ośrodku badania tych ptaków. Następnie flamingi są obrączkowane. Bliżko 40 lat temu tradycyjne obrączkowanie flamingów odbyło się po raz pierwszy w rezerwacie przyrody Fuent de Piedra, pod Malagą.

FOT. PAP/PEA/JORGE ZAPATA

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Liczba tygodnia

200

TYS. KM/H
– z taką prędkością wpadają w atmosferę cząstki Perseid – deszczu meteorów, niedawno widzianego na niebie

Polski satelita badawczy wyruszy na orbitę
Był „Ogień”, czas na „Iskrę”

Łukaszewicz – Instytut Lotnictwa zaprezentował projekt satelity badawczego SPARK, który ma służyć do testowania rodzimych technologii kosmicznych. Także militarnego przeznaczenia. SPARK to skrót od angielskiej nazwy Spacecraft Platform Architecture for Research and Key-enabling missions, co można przetłumaczyć jako „platforma satelitarna dla badań i wdrażania kluczowych technologii”. Po angielsku spark oznacza jednak także „iskrę” – co tworzy naturalne skojarzenie z wcześniejszą misją polskiego astronauty o nazwie IGNIS (po łacinie „ogień”).

Cały projekt realizowany jest w Polsce. Satelita SPARK powstaje w ramach konsorcjum trzech instytutów Sieci Badawczej Łukasiewicza: Instytutu Lotnictwa (lider projektu), Instytutu Metali Nieżelaznych oraz Przemysłowego Instytutu Automatyki i Pomiarów PIAP. Prace nad projektem potrwać 30 miesięcy i obejmą projektowanie, integrację, testy środowiskowe i funkcjonalne, a także wyniesienie satelity na orbitę – najprawdopodobniej przy użyciu rakiety Falcon 9 firmy SpaceX – oraz jego późniejszą obsługę z Ziemi.

Budżet przedsięwzięcia wynosi 14,6 mln zł. Jak poinformował pre-



FOT. ILIOT

zes Sieci Badawczej Łukasiewicza, dr Hubert Cichocki, środki te pochodzą z oszczędności uzyskanych dzięki redukcji kosztów administracyjnych. SPARK będzie miał wymiary 10 × 10 × 30 cm. To typowy format tzw. satelitów CubeSat, często wykorzystywanych w badaniach i testach technologii. Urządzenia tej wielkości można wynosić w kosmos jako tzw. ładunek dodatkowy podczas startów dużych rakiet, takich jak Falcon 9 firmy SpaceX.

Na pokładzie znajdzie się komputer oparty na urządzeniu OBC-KI, wcześniej sprawdzonym w locie rakiety suborbitalnej ILR-33 BURSHTYN 2K. Satelita będzie wyposażony w panele słoneczne, a jego przewidywany czas życia wynosi 5 lat. Zostanie wykorzystany do testowania m.in. systemów awionicznych i komputerów pokładowych.

Planowany start satelity SPARK na orbitę ma nastąpić w trzecim kwartale 2027 r. ●
Piotr Cieśliński

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Arkadiusz Lorenc
Gdy nie pracuję,
czuję pustkę

Mam dostęp online do wyników pacjentów, więc nawet siedząc na plaży, mogę sprawdzić, co się dzieje z tym, którego operowałam.





CZAS NA ZWYCIĘSTWO

Natalia Bukowiecka patrzy w stronę mety z determinacją, która definiuje mistrzów. Ambasadorka OMEGA, najszybsza Polka w historii biegu na 400 metrów i trzykrotna medalistka olimpijska, już w sierpniu pojawi się na bieżni mityngu Diamentowej Ligii na Śląsku. Występ przed rodzimą publicznością będzie kolejnym rozdziałem jej imponującej kariery, którą cechuje, podobnie jak model OMEGA Seamaster Aqua Terra: precyzja, siła i niezawodność.



SEAMASTER AQUA TERRA
Co-Axial Master Chronometer



Dostępne w OMEGA Boutique Plac Trzech Krzyży 16A Warszawa i w autoryzowanych salonach sprzedaży

BYŁEM *częścią* SYSTEMU

Nie zamierzam budować nowego Fideszu,
nasza partia to nie jest show jednego człowieka.

Z **PÉTEREM MAGYAREM**, PRZEWODCĄ OPOZYCJI NA WĘGRZECH, PRZEWODNICZĄCYM PARTII TISZA, ROZMAWIA **MICHAŁ KOKOT**

MICHAŁ KOKOT: Zapowiada pan od kilku tygodni, że to nie Moskwa ani Pekin będą pierwszym celem pana podróży, gdy zostanie premierem. Dlaczego akurat Polska?

PÉTER MAGYAR, : Bardzo lubię historię Węgier i Europy. Uważam, że stosunki pomiędzy Węgrami i Polską są wyjątkowe, być może unikalne na skalę europejską. Oba nasze narody łączy silna, licząca tysiąc lat przyjaźń, wspólna historia i ci sami królowie i królowe, którzy rządili obydwoma naszymi krajami.

Często powtarzam, że w przeszłości Polacy pomagali Węgom i na odwrót, że my pomagaliśmy Polakom, gdy byli w potrzebie, jak choćby w XX wieku. Ale mówię wtedy również o XIX wieku i generale Bemie. On jest także istotną postacią polskiej i węgierskiej historii.

Opowiadam również Węgom o współczesnej Polsce i różnicach politycznych w naszych krajach.

Po wejściu do Unii Europejskiej Polska i Węgry były czołowymi krajami w regionie, choć nasz kraj był biedniejszy. Dwadzieścia lat później Węgry okazały się najbardziej skorumpowanym i jednym z najbiedniejszych krajów w Europie.

Z czego to wynika? U was niezależnie od tego, kto rządzi, to pracuje na rzecz narodu polskiego. Rządzący wykorzystują środki unijne dla dobra ogółu: rolników czy średnich i małych przedsiębiorców.

Oczywiście, jak wszędzie, politycy i u was popełniają błędy, i pewnie też macie korupcję. Do tego problemy z praworządnością i demokracją. Ale wspólne minimum, co do którego wszyscy są w stanie się porozumieć, jest takie, że wszyscy u was pracują na rzecz kraju, ojczyzny i obywateli.

Tyle że politycy odmiennie postrzegają tę pracę na rzecz wspólnego dobra. Nasze społeczeństwo zawdzięcza im podział niewidziany od trzech dekad.

– Tak, ale wy zawsze byliście bardzo głęboko podzieleni. Mimo wszystko efekt dotychczasowych rządów jest taki, że Polska stoi na wyższym poziomie niż Węgry. Mieliście większe szczęście do polityków.

Co będzie jednym z najważniejszych priorytetów, gdy TISZA dojdzie do władzy?

– Odblokowanie środków unijnych, tak jak się to stało u was po zmianie rządu w 2023 roku.

Oczywiście u was to było możliwe, bo Donald Tusk był w przeszłości przewodniczącym EPP i miał liczne kontakty w Brukseli. TISZA należy do EPP, a ja również chcę osiągnąć taki sam efekt dla Węgier.

Fidesz i Viktor Orbán już przykleili panu łatkę zwolennika Brukseli, która rzekomo jest wrogiem Węgier.

– Ja nie zamierzam toczyć wojny tylko dla samej wojny i opowiadać się jako wróg Brukseli. To nie jest konstruktywne i nie przybliży nas do niczego. Potrzebujemy tych środków unijnych dla węgierskiej gospodarki.

Mam okazję co jakiś czas jeździć do Polski, moje dzieci grają w piłkę nożną na turniejach międzynarodowych. Widziałem Kraków, Wrocław i południową część kraju i widzę, jaka jest różnica pomiędzy miastami polskimi a węgierskimi. Nie chcę porównywać Węgier z Austrią czy Luksemburgiem, bo to zbyt odległe kraje. Ale możemy się porównywać z Polską, Rumunią, Słowacją czy krajami bałtyckimi. Łączy nas więcej podobieństw, niż dzieli różnic.

Węgrzy kochają Polaków. Wszyscy znają na pamięć powiedzenie: „Polak Węgier, dwa bratanki”. Chcielibyśmy współpracować ściśle również ze Słowacją i Czechami w Grupie Wyszehradzkiej, choć oczywiście Polska jest dla nas najważniejsza. Gdy byłem dyplomatą w Brukseli w 2011 roku, a Polska prowadziła wtedy Unii Europejskiej, jako Grupa Wyszehradzka mieliśmy tyle samo głosów co Francja i Niemcy i mogliśmy razem z Wielką Brytanią blokować inne decyzje, forsować swoje racje, np. zwiększając środki strukturalne dla naszych krajów.

Oczywiście teraz jest inaczej, Grupa Wyszehradzka jest podzielona ze względu na bliskie relacje Viktora Orbána i Władimira Putina. A przecież mieliśmy podobne jak wy doświadczenia z Rosjanami w przeszłości. Być może nie były one tak ciężkie, ale mieliśmy powstania tłumione przez Rosjan.

Jeśli pana partia wygra wybory parlamentarne, zmieni się polityka Węgier wobec Rosji? Rząd przestanie handlować z Moskwą?

– Polska różni się od Węgier w tej sprawie. Wszystkie kraje europejskie handlują z Rosjanami. Niektóre robią to uczciwie i otwarcie, inni mniej. Węgrzy wolą podchodzić do tego otwarcie. Zamierzamy jednak odejść od obecnego, bezkrytycznie przyjaznego podejścia wobec Rosji. Będziemy bronić interesu narodowego Węgier, który w wielu obszarach pokrywa się z interesami Polski i całej Europy.

Ale Węgry nadal będą kupować ropę i gaz z Rosji?

– Nasza gospodarka jest bardzo zależna od rosyjskich surowców. Oczywiście będziemy starać się dywersyfikować nasze dostawy, ale to zajmie dużo czasu. Węgry, podobnie jak Słowacja, są w Unii Europejskiej bardzo zależne od Rosji, zwłaszcza gdy chodzi o gaz.

Nie mamy tak wielu możliwości jak Polska, która ma dostęp do morza i handlu morskiego. Prawdą jednak jest, że musimy zrobić więcej, by wzmocnić naszą niezależność energetyczną. Wsparcie i finansowanie ze strony UE będzie tu miało zasadnicze znaczenie.

A Ukraina? Węgry zaczną ją wspierać, gdy TISZA dojdzie do władzy?

– Są pewne różnice pomiędzy Węgrami i Polakami w tej sprawie. W Ukrainie żyje liczna mniejszość węgierska. Dlatego to kwestia wrażliwa na Węgrzech.

W ubiegłym roku odwiedziłem Kijów i byłem w zbombardowanym szpitalu dziecięcym. Byłem pierwszym posłem Parlamentu Europejskiego, który tam się pojawił z pomocą humanitarną. Miałem również okazję odwiedzić Zakarpacie i rozmawiać z mniejszością węgierską o tym, jakie trudności wiążą się dla nich z wojną. Zaproponowałem wtedy premierowi Orbánowi, byśmy razem odwiedzili mniejszość węgierską i uznali to za wspólny narodowy



mianownik – okazanie im naszej solidarności. Nigdy nie doczekałem się żadnej odpowiedzi od niego.

Mamy napięte stosunki z Ukrainą od 2015 roku, gdy wprowadziła prawo dotyczące języka i nauczania w szkołach. Szczerze mówiąc, nie rozumiem ukraińskich polityków. Jeśli jesteś tak długo w stanie wojny, to czy ma sens denerwowanie twojego sąsiada, by naciskać na węgierską mniejszość i odbierać jej prawa? Nie sądzę, aby było to tak istotne. Ważne jest, by mieć dobre stosunki z twoim sąsiadem. Dlatego uważam, że piłka jest teraz po stronie Ukrainy.

Dotąd rząd Orbána odmawiał Ukrainie wsparcia i nie zgodził się na transport broni przez Węgry. Czy to się zmieni, gdy TISZA wygra wybory?

– Ukraińcy mają prawo do obrony i ochrony swojej suwerenności. Ale na Węgrzech to bardzo delikatna sprawa. Chodzi o dostawę broni do kraju, gdzie żyje mniejszość węgierska. Sądzę, że mieliśmy dotąd szczęście, że ta część Ukrainy nie została zaatakowana przez Rosjan. I być może to właśnie jest jednym z powodów, dlaczego nie wysłaliśmy Ukrainie żadnej broni i nie zgodziliśmy się na jej transport przez Węgry.

A może to stanowisko wynika z faktu, że Fidesz przedstawia pana i TISZ-ę jako „agentów Ukrainy”?

– Jesteśmy ciągle atakowani: że jesteśmy szpiegami Ukrainy, że finansuje nas Bruksela, Soros, czasem niemiecki kanclerz. Próbuje nas przedstawiać jako „agentów zagranicy”. Ten przekaz wysyłają na Balkany, Słowację, do Polski i ludzi związanych z PiS. I to niestety działa. Być może miało również wpływ na wybory w Polsce i wygraną Karola Nawrockiego.

Choć do wyborów zostało jeszcze osiem miesięcy, to na razie macie znaczną przewagę nad Fideszem, sięgającą nawet kilkunastu punktów procentowych. Jaka jest na to recepta?

– Mamy swoje pomysły i robimy naszą kampanię inaczej niż Fidesz. Nie mamy tradycyjnych mediów ani milionów forintów publicznych pieniędzy na rządowe kampanie, którymi w nas uderzają.

Bardzo szybko zaczęliśmy kampanię w mediach społecznościowych i zyskaliśmy tam przewagę. Wtedy Fidesz wymyślił, że zrobi to samo, by dać nam odpór. Ale my już jesteśmy dzisiaj gdzie indziej. Dlatego właśnie spotykam się z ludźmi z małych miasteczek i wsi, by osobiście porozmawiać i wspólnie popatrzeć sobie w oczy.



Fidesz tego nie rozumie. W Parlamencie Europejskim też tego nie rozumieją, pytają, co robimy, że nam rośnie poparcie. Odpowiadam wtedy, że po prostu trzeba ciężko pracować.

Tyle że choć popierają was wyborcy dawnej, zjednoczonej opozycji i dotychczas niegłosujący, to nie przechodzą do was na razie w ogóle wyborcy Fideszu.

– Bo są dobrymi, zdyscyplinowanymi Węgry. Ja również byłem w tym klubie i wiem, co oni czują. Nie zmienili się ani o jotę w ciągu ostatnich 20 lat, choć zmienił się bardzo zarówno premier Orbán, jak i cały Fidesz. To już nie jest rząd, to machina władzy ze swoimi służbami, oligarchami, biznesem i natychmiastowym podejmowaniem decyzji.

Wciąż robią sondaże na każdy temat, zamiast rozmawiać z ludźmi. Nagrywają filmiki w internecie i uprawiają propagandę. A ludzie mają już tego serdecznie dość. Węgrzy wiedzą, jak wygląda rzeczywistość. Chodzą do sklepów, kupują leki w aptekach, wiedzą, jak wyglądają szpitale i próbują korzystać z komunikacji publicznej, jeśli mają na tyle odwagi. Mają dość, bo widzą, jak wygląda kraj.

Był pan wieloletnim członkiem Fideszu. Co spowodowało, że zdecydował się wystąpić przeciwko tej partii?

– Jeśli uprawiał pan sport zespołowy, to wie pan, że publiczna krytyka kolegów z zespołu wiąże się z jego natychmiastowym opuszczeniem. W moim przypadku to był długi proces.

Moja żona Judit Varga, była minister sprawiedliwości, została zaproszona przez jednego z naszych wspólnych kolegów, by wrócić z Brukseli i zacząć budować razem kraj. Mieliśmy tam dobre i spełnione życie z trójką naszych utalentowanych synów. Ale chcieliśmy coś zrobić dla Węgier.

Jako członek Fideszu przez 17 lat nie byłem w ogóle aktywny w partii. W 2019 roku zacząłem bardzo mocno w wewnętrznych kręgach krytykować Fidesz za korupcję. Rozmawiałem o tym na imprezach, w naszym domku letniskowym nad Balatonem. Ale jednocześnie byłem częścią systemu. Miałem pracę w rządzie, czasem w sektorze prywatnym. I choć niełatwo z tego wyjść, to zdecydowałem się na to.

Moja żona była równie krytyczna jak ja, ale okazała się bardziej lojalna wobec Fideszu. Znajomi twierdzą, że będę zawsze w opozycji, niezależnie od tego, czy Fidesz będzie rządził, czy nie.

I może mają rację, przekonamy się.

Przez bardzo długi czas był pan beneficjentem systemu, który Fidesz stworzył. Wiązało się to z wysokimi zarobkami na stanowiskach, które zawdzięczał pan partii.

– Beneficjentem tego była moja rodzina. Oboje z żoną jesteśmy prawnikami i mielibyśmy dobrą pracę w sektorze prywatnym, nawet bez rekomendacji. Nie chcę, by zabrzmiało to zbyt buńczucznie, ale mógłbym pracować wszędzie, na całym świecie. Próbowałem zreformować partię od środka. Nie byłem w tym sam, ale ostatecznie to się nie udało.

Wzięliśmy rozwód z żoną w maju 2023 roku. Ona nie chciała wtedy być na czele ministerstwa sprawiedliwości. Nie chciała być twarzą rządu, wołała pracować w cieniu, dlatego pojawiła się propozycja dla niej jako posłanki do Parlamentu Europejskiego. Powiedziałem jej, że dopóki będzie w polityce, nie będę krytykować publicznie partii. Gdyby dostała się do Parlamentu Europejskiego, nie byłoby mnie dzisiaj tutaj.

Ale wtedy wybuchł skandal z ulaskawieniem osoby skazanej za tuszowanie działań pedofila. Winę musiały wziąć na siebie prezydent Katalin Novak, która podała się do dymisji, i moja żona. Została zmuszona do wycofania się z wyborów do Parlamentu Europejskiego. Na obie Fidesz zrzucił całą winę, chociaż wiadomo było, że to członek rodziny Orbána stał za tym ulaskawieniem i na nie naciskał.

Wtedy zdecydowałem się na ujawnienie nagrania o korupcji wśród rządzących. Ataki, które posypały się na mnie i moją rodzinę ze strony propagandy rządowej, pomogły utwierdzić mnie w przekonaniu, że postąpiłem słusznie.

To, co mamy na Węgrzech, to nie demokracja, lecz autorytarny system. Jeśli nie wygramy wyborów w 2026 roku, to ten system będzie istniał jeszcze przynajmniej przez kilka następnych dekad.

Wszystkie kraje europejskie handlują z Rosjanami. Niektóre robią to uczciwie i otwarcie, inni mniej. Węgrzy wolą podchodzić do tego otwarcie. Zamierzamy jednak odejść od obecnego, bezkrytycznie przyjaznego podejścia wobec Rosji

• **Péter Magyar, lider opozycyjnej węgierskiej Partii Szacunku i Wolności TISZA (Tisztelet és Szabadság Párt), 7 sierpnia 2025 roku podczas wiecu we wsi Tiszaalpár**

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Péter Magyar

• (ur. 1981) – węgierski prawnik i polityk. Pracował m.in. jako asesor sądowy, specjalista ds. prawa unijnego w węgierskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych i Handlu, dyrektor ds. prawa unijnego w Węgierskim Banku Rozwoju. Przewodniczący Partii Szacunku i Wolności (TISZA) i poseł do Parlamentu Europejskiego



• **Artykuł powstał w ramach konsorcjum The Eastern Frontier Initiative (TEFI), które wspiera myślęnie i współpracę w kwestiach bezpieczeństwa. Promuje wymianę wiedzy i wzmacniania demokrację. Członkami konsorcjum są: 444 (Węgry), „Gazeta Wyborcza (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i Bellingcat (Holandia). Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Poglądy i opinie są opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy UE lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA), które nie ponoszą za nie odpowiedzialności.**

Ale nawet jeśli wygracie, trudno będzie wam go zmienić. Partia Orbána może zarządzać spółkami państwowymi i finansować lojalnych wobec siebie działaczy, bo zdołała część majątku państwowego przekazać fundacjom, w których zagwarantowała sobie czasowo nieograniczoną władzę.

– Dlatego kluczowe jest zdobycie dla nas dwóch trzecich większości w parlamencie. Ale jestem również prawnikiem i nie boję się sporów prawnych. Nawet jeśli zdobędziemy zwykłą większość, będziemy mieli tyle władzy, by przeprowadzić zmiany. Ale łatwiej będzie z większością dwóch trzecich w parlamencie.

Zostaną jeszcze oligarchowie, którzy będą mogli wciąż finansować propagandę Fideszu przez media należące do partyjnej fundacji.

– Jak wygramy, to już ich nie będzie. Oni nie mają immunitetów, dlatego uciekną z kraju natychmiast po wyborach. Będą chcieli zachować przynajmniej część zdobytych pieniędzy. Musimy być uczciwi z narodem węgierskim co do tego, jak wygląda budżet kraju, praworządność, jak będziemy odbudowywać demokrację Węgier. Jesteśmy partią masową, którą popierają ludzie z lewa, prawa, a także liberałowie. Jest w niej wiele poglądów i łatwo nie będzie. Sądzę jednak, że ludzie są gotowi na zmianę rządu. A wtedy wielu Węgrów powróci z emigracji, przeniosą tu swoje firmy i kraj zacznie się rozwijać.

A co będzie z innymi oskarżanymi o korupcję i przestępstwa politykami, którzy znaleźli na Węgrzech schronienie? Takich jak Marcin Romanowski, wiceminister sprawiedliwości za rządów PiS. Na Węgrzech dostał azyl, a w Polsce poszukiwany jest za nadużycia przy Funduszu Sprawiedliwości.

– Gdybym miał dać mu jakąś radę, to tę, że im bliżej wyborów na Węgrzech, tym bardziej powinien zwiększyć wysiłki, by znaleźć nowy kraj, w którym się ukryje. Wiążą nas międzynarodowe traktaty, które są bardzo jasne. To szalone, że jeden z krajów członkowskich UE daje azyl obywatelowi innego kraju unijnego, który jest poszukiwany w związku z zarzutami kryminalnymi. Nie taki jest cel udzielania azylu. O jego przyznaniu zdecydował premier Orbán, a tak nie powinno się dziać w demokracji. Nasz premier nie będzie o tym decydować, bo od tego są państwowe instytucje i sądy.

Kim jest Péter Magyar? Konserwatystą, liberałem?

– Jestem rozwiedzionym mężczyzną z trójką wspólnych dzieci, kochającym swój kraj i jego historię. Krytycznym proeuropejszym i konserwatywnym liberałem, jeśli takie pojęcie istnieje.

A jak postępowy jest pan w kwestii praw mniejszości seksualnych? Rząd Orbána zakazał Parad Równości na Węgrzech. Za rządów TISZ-y będzie inaczej?

– Sądzę, że na to pytanie powinien odpowiedzieć węgierskie społeczeństwo. Po wyborach będziemy chcieli zainicjować wiele debat publicznych. Zamierzamy również skorzystać z prawa do rozpisania referendum dla obywateli. Na razie mamy jednak wybory do wygrania, musimy mieć dobrych kandydatów, to nas zajmuje. Trzy miliony Węgrów żyje poniżej minimum socjalnego. Setki tysięcy dzieci są na Węgrzech niedożywione. Być może jestem zbyt praktyczny, ale to właśnie wydaje mi się ważniejsze i sądzę, że na razie to nie jest najlepszy czas na poruszanie kwestii ideologicznych.

Kto będzie premierem, jeśli wygracie wybory? Na wiecach mówi pan o „premierze z TISZ-y”. Sam pan nie zamierza wejść do rządu?

– To zależy od tego, czy dostanę nominację. Demokracja zaczyna się w partii politycznej. Jeśli tam jej nie ma, to nie będzie jej też w rządzie. To jest właśnie problem Fideszu. Zabili demokrację w partii 20 lat temu i wtedy demokracja zniknęła również z rządu.

O tym, kto będzie premierem, zdecyduje jesienią kongres naszej partii. Jeśli będę tą osobą ja, to przyjmę nominację. Ale pozostanę w partii jako szeregowy poseł, jeśli zostanie nim kto inny.

Naprawdę wierzy pan w to, że ktokolwiek w partii przeciwko panu wystartuje?

– Mam taką nadzieję. Nie zamierzam budować nowego Fideszu. Chcę, żeby do TISZ-y dołączyło jak najwięcej osób, młodych i starszych. Jeśli znajdzie się ktoś bardziej kompetentny i ciężiej pracujący, to będę go wspierać. Mam nadzieję, że znajdzie się taka osoba. Będę się cieszył, jeśli to będzie kobieta. TISZA to nie jest show jednego człowieka, to gra zespołowa. ●



Pokolenie
strzelniczy

Feministka TRAFIA W DZIESIĄTKĘ

Lewicowa dziewczyna, gej weganin, boomer konserwatysta, nastoletni nerd... Jest jedno miejsce, w którym spotykają się wszyscy Polacy niezależnie od wieku, płci oraz poglądów i się przy tym nie kłócą

Krystyna Romanowska
Zdjęcia: Michał Borowczyk
/ Agencja Wyborcza.pl

Jeszcze kilka lat temu broń była niszową pasją. Dziś pozwolenie mają nauczycielka, prawnik, studentka Akademii Sztuk Pięknych, glazurnik, preppers i mama dwójki dzieci. Strzelnice pękają w szwach. Polacy traktują naukę obchodzenia się z bronią niczym kurs na prawo jazdy. Jak gdyby urodzili się w Teksasie. Jak to nas zmieniło?

Pierwszy strzał robi wrażenie. Potem człowiek się przyzwyczaja

Skomplikowany świat za tymi drzwiami toczy się jak zawsze – korki na ulicach, telefony, pikające powiadomienia, spotkanie na Teams w telefonie, trzecia kawa za dziesięć dziesiątą.

Tutaj, w przestrzeniach po opuszczonych zakładach FSO, rządzi się prostymi zasadami: „nie celuj tam, gdzie nie chcesz trafić. Nie dotykaj języka spustowego, dopóki nie jesteś pewien. I nie kombinuj. Naprawdę, nie kombinuj”.

Bierzemy z półki słuchawki, zakładamy okulary. Odgłos pierwszego strzału robi wrażenie, wydaje się nie do zniesienia. Potem człowiek się przyzwyczaja.

Ustawiam się do tarczy. Za moimi plecami stoi Stanisław Chmielewski, były żołnierz, weteran kilku misji wojskowych w Kosowie i Afganistanie. Kiedy wysłałam mu dzień wcześniej wiadomość: „Czy dałoby radę pójść ze mną na strzelnicę?” – odpisał lakonicznie: „Jutro, godz. 10. Strzelnica FSO”.

Wziął beretę, bo jest mała i ma mały odrzut.

– Nie jestem instruktorem – zaznacza od razu, żeby obyło się dopytywania. – Ja tego nie robię zawodowo. Tylko po koleżeńsku.

Nie ma czasu na szkolenia innych, bo zajmuje się czymś zupełnie innym. A mimo to wiele osób zwraca się do niego z prośbą, by poszedł z nimi na strzelnicę, pokazał, wprowadził, nauczył podstaw. Nie tylko znajomi, również obcy ludzie. Dlaczego? Przez 18 lat służył w wojsku, był na misjach, zna broń z praktyki. W mediach społecznościowych regularnie pojawiają się jego zdjęcia z bronią. Ludzie uważają, że pracuje na strzelnicy, że promuje strzelectwo, że zna się na rzeczy, no więc...

– Myślą, że mogą być dobrym instruktorem, bo byłem żołnierzem – przyznaje. Ale od razu zastrzega: nie każdy, kto nosił mundur, potrafi uczyć.

Ale ja wierzę, że mnie nauczy. Teraz rzuca suchymi komendami. Głos ma chłodny i konkretny – w końcu przez większość życia mówi tak, żeby nikt nie pytał: „dlaczego”. – Lufa w kierunku przedpoła. Palec poza językiem spustowym. Nie naciskaj, dopóki ci nie powiem – słyszę. – Naciskaj powoli, strzał ma cię zastrzelić.

I dalej: – Broń nie jest od tego, żeby ją głaskać. Ona ma być twoim przedłużeniem. Tylko nie za bardzo, bo jeszcze ci się spodoba.

Jeszcze raz: – Lufa w kierunku przedpoła. Palec poza językiem spustowym. To powtarzam do znudzenia. Czasem nawet koledzy z misji zapominają. Trzeba im mówić jak mantrę – mówi.

Słucham. Skupiam się.

– Ręce napięte. Stań szeroko. Łopatki napięte. Ciężar ciała na lewą. Prawa to tylko wsparcie. Lewa trzyma. I nie pytaj dlaczego. Tak ma być – słyszę. I dalej: – A ten palec, to po co tu trzymasz? Przesuń bardziej w dół.

Strzelałam ostatnio dwadzieścia lat temu, może więcej, na poligonie wojskowym w południowej Polsce podczas dziennikarskiego zwiedzania jednostki. Chyba był to nawet Lubliniec, ten słynący z komandosów. Wtedy odkryłam, że wcale nie jestem urodzonym strzelcem.



◀ **Ula, lingwistka z Warszawy: Są umiejętności, które po prostu trzeba mieć**

▶ **Oto, co znaczy zadowalający efekt**

▼ **Stanisław głos ma chłodny: Lufa w kierunku przedpoła, palec poza językiem spustowym**

▼ **Strzelam i każdy strzał jest dla mnie przyjemnym zaskoczeniem**



Ale w warunkach strzelnicy nie ma gdzie uciec przed koncentracją. Masz tylko ją. Jest broń, tarcza, oddech i nic więcej.

Oddaję następne strzały. Jeden, drugi, trzeci. Każdy brzmi jak przecinek w zdaniu. I, o zgrozo, robię to dobrze. Mój mocarny kolega spogląda na tarczę. Marszczy brwi, wciska guzik, tarcza jedzie. – Ósemka. Może być – stwierdza takim tonem, jakby komentował wyniki próbnej matury z WOS. Czyli – nieźle, naprawdę nieźle, ale nie popadaj w samozachwyt.

– Z takim skupieniem, to może jeszcze coś z ciebie będzie. Chociaż nie wiem, czy to dobrze – mówi.

Uśmiecham się. On – nie. Zaznacza pisakiem na tarczy ślady po strzałach.

Broń palna nie jest jak nóż. Pistoletem, karabinem chleba nie ukroisz

Ula, czterdziestoletnia lingwistka pracująca w branży energetycznej, warszawianka, która też jest na strzelnicy, ma gorsze skupienie od mojego. Jest też o wiele niższa. Na Facebooku napisze potem żartobliwie, że kupi sobie stoleczek, bo zamiast celować prosto w środek tarczy, jak wszyscy, musiała trochę bardziej w górę.

– Mam dużą wadę wzroku, słabą koordynację oko-ręka. To dla mnie nie jest naturalne środowisko – uśmiecha się ironicznie. Pierwszy raz – podobnie jak reszta Polaków rozważających „a może warto na-



uczyć się strzelać”- przyszła na strzelnicę po wybuchu wojny w Ukrainie. – Są umiejętności, które po prostu trzeba mieć – mówi spokojnie i bez dramatyzmu. – Wiedziałam, że z moim wykształceniem i kompetencjami w razie godziny „W” mogę zostać wciągnięta do służby cywilnej. Wolałam zdawać sobie sprawę, z czym to się je.

Pamięta, że pierwszej lekcji musiała się doprosić. Brakowało wtedy amunicji, która błyskawicznie znikła ze sklepów, instruktorów, miejsc. Tworzyły się listy kolejkowe. Znalazła kogoś „po znajomości”, instruktor miał amunicyjne zaskórniaki. Dostała do ręki karabin i szybko zrozumiała, że to nie zabawa.

– Wyszłam z większym respektem, niż weszłam. I chyba dobrze – przyznaje.

Nie została miłośniczką broni. Nie zaczęła kolekcjonować magazynków, nie rozważała pozwoleń.

– Nie poczułam władzy. Poczułam się silniejsza – mówi. – Dla mnie to było tylko ćwiczenie odpowiedzialności i świadomości.

Ula ani nie demonizuje, ani nie romantyzuje broni. – To nie jest jak nóż, który służy do krojenia. To służy do zabijania. Tylko do tego. I jeśli ktoś mówi inaczej, okłamuje siebie albo innych.

Po ostatnim strzale cisza na osi – już przyswoiłam ten język, ale jeszcze nie wszyscy byli na strzelnicy; to po prostu wyznaczony tor strzału, czyli linia od stanowiska strzeleckiego w kierunku tarczy czy celu – wydaje się nienaturalna. Jeszcze tylko szybka nauka wkładania naboju do magazynku. Ciężka sprawa, trzeba mieć mocne palce.

– Niektórzy mogliby pomyśleć, że zamilowanie do strzelectwa to sprawa prawicowej narracji – wojsko, patriotyzm, tradycyjne wartości. Ale to już nie te czasy. Wojna wszystko zmieniła. Ja bym tego w ogóle nie dzielił na lewicę czy prawicę – mówi Stanisław

Chmielewski, spokojnie, patrząc ponad celownik.

– Obserwuję ludzi, których znam z mediów społecznościowych, z różnych środowisk. I naprawdę – chodzą wszyscy. Jedni i drudzy. Tu już nie ma co robić podziałów. Broń przestała być symbolem politycznej tożsamości. Dla wielu to dziś po prostu kompetencja. Jak prawo jazdy czy kurs pierwszej pomocy.

Dobra strzelnica? Wcale nie taka oczywista sprawa. – Trudne pytanie – frasuje się weteran. – To musi to być miejsce, gdzie zrobisz zarówno strzelanie statyczne, jak i dynamiczne, ze zmianą stanowisk, z bronią krótką i długą, z celami na różnych dystansach.

– Ale dobra strzelnica to nie tylko technika. To też atmosfera – ja lubię mniej lifestyle'u, więcej przestrzeni i konkretności. Są takie miejskie, ładne, błyszczące, ale jeżeli ktoś naprawdę chce strzelać, to wybierze coś bardziej industrialnego.

I choć bezpieczeństwo to podstawa, dodaje bez zawahania: – Nie da się go zagwarantować w stu procentach. Zawsze coś może się zdarzyć – ale dlatego trzeba być przesadnie ostrożnym. Lepiej za bardzo niż za mało.

Colt, rewolwer, pistolet skałkowy. Każdy osiemnastolatek może mieć w domu

Jeszcze kilka lat temu broń palna w Polsce była domeną myśliwych, sportowców i nielicznych kolekcjonerów. Dziś ten obraz wyraźnie się zmienia. Wydziały postępowania administracyjnych w komendach wojewódzkich i miejskich pracują pełną parą. W 2021 roku wydano w Polsce niespełna 20 tysięcy nowych pozwoleń na broń. Rok później było ich już ponad 37 tysięcy – wzrost aż o 87,6 procent. W 2023 roku przybyło kolejne 9,3 procent, a w 2024 – następne 12,2 procent, osiągając rekordowe 45 844 wydanych pozwoleń. Dziś legalnie uzbrojonych Polaków jest plus minus 367 tysięcy.

– Procedura wydania pozwolenia na broń jest realizowana przez wydziały postępowania administracyjnych wyłącznie w komendach policji, wojewódzkich i w stołecznej – informuje komisarz Mariusz Kurczyk, naczelnik Wydziału Prasowo-Informacyjnego Biura Komunikacji Społecznej Komendy Głównej Policji. – Ale wydanie pozwolenia nie oznacza automatycznie, że osoba, której je wydać, jest właścicielem broni, czyli że nabyła sztukę broni – zaznacza komisarz.

Jedno jest pewne: broni palnej – tej wymagającej pozwolenia – przybywa.

I nie tylko jej, bo sprzedawcy broni kolekcjonerskiej – replik historycznych pistoletów czy karabinów – przeżywają obłęzenie. Tylko że akurat ten trend trudno ująć w konkretne cyfry. Ta broń umyka w statystykach, bo w większości przypadków nie wymaga pozwolenia i nikt jej nie ewidencjonuje – więc nie jak weryfikować jej liczebności, pozostają szacunki.

Zgodnie z ustawą o broni i amunicji, repliki broni sprzed 1885 roku – to tak zwana broń czarnopochowa odprzodowa, czyli ładowana prochem i kulą od strony wylotu lufy – można kupić i posiadać w Polsce bez żadnych formalności, jeśli jest to „broń rozdzielnego ładowania i nieprzystosowana do strzelania nabojami scalonymi”. W praktyce oznacza to, że dorosły obywatel może wejść do sklepu, kupić pistolet skałkowy – pół biedy – albo ciężkiego colta czy rewolwer Remingtona, a potem zabrać go na strzelnicę. Wystarczy dowód osobisty i pełnoletność.

– Zgadza się. Jest to kłopot, bo ta broń jest poza kontrolą i ewidencją. Jednak znacznie groźniejszy jest przemysł broni, z którą nasze służby sobie nie radzą. To całkiem inna historia, ale... – mówi Łukasz „Laki” Cnota, były „specjals”, instruktor strzelectwa.

Ten „luz” w przepisach sprawił, że broń czarnopochowa stała się w Polsce niebывale popularna, szczególnie wśród początkujących strzelców, rekonstruktorów historycznych i miłośników dawnej techniki. Szacuje się jednak, że w obiegu mogą być dziesiąt-

ki tysięcy egzemplarzy – niektóre źródła mówią o 50–100 tysiącach sztuk.

„Kolekcjonerskie” pistolety i karabiny coraz liczniej pojawiają się w polskich domach już od kilkunastu lat. Ale co napędza najnowszy trend na strzelanie i zbrojenie się?

Najpierw strzelanie, potem picie. Wieczór kawalerski na strzelnicy

Kluczowym punktem zwrotnym była rzecz jasna rosyjska pełnoskalowa inwazja na Ukrainę w lutym 2022 roku. Obrazy wojny, graniczne kolejki uchodźców; konkretne emblematiczne wydarzenia, jak horror, jaki urządzili Rosjanie cywilom przez kilka dni okupacji podkijowskiej willowej Buczy, i ogólne poczucie zagrożenia i destabilizacji – wszystko to sprawiło, że Polacy zaczęli inaczej patrzeć na kwestię bezpieczeństwa.

Za czym poszły zmiany w prawie, po części wylobbowane przez sympatyzujących z miłośnikami broni ziobrystów, po części pomyślane przez rząd Zjednoczonej Prawicy propagandowo („pozwólmy Polakom się bronić”). W połowie 2023 r. znowelizowano ustawę o broni i amunicji, znacząco ułatwiając dostęp do broni służbom mundurowym i żołnierzom zawodowym. W efekcie w kategorii „ochrona osobista”, która przez lata była martwa, liczba wydanych pozwoleń wystrzeliła: z 154 w 2022 r. do ponad 6 tysięcy w 2023, a w 2024 – już blisko 9,6 tysiąca.

– Zaczęło się od służb, ale ruszyło lawinowo. I rośnie, rośnie – mówi z uśmiechem Łukasz Cnota, przez znajomych zwany po prostu Laki. Nie chodzi mu o kapustę z pobliskiej Charsznicy, tylko o liczbę ludzi, którzy przyjeżdżają na jego strzelnicę „Laki strzał” w Makowie pod Krakowem.

Pięć lat temu był tu zarośnięty wąwóz. Dziś – jedno z najżywiej funkcjonujących miejsc tego typu w Małopolsce. Przyjeżdżają nawet wojskowi, bo strzelnica w podkrakowskim Pasterniku ma na razie status „zawieszona”, a oni nie mają gdzie strzelać.

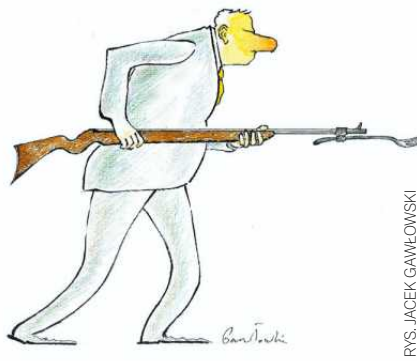
Łukasz nie planował tego od zawsze. Ale gdy po latach służby w wojskach specjalnych – między innymi w Jednostce Wojskowej NIL w Krakowie – zaczęła doganiać go rzeczywistość, pesel i zmęczone ciało, zaczął myśleć o tym, co dalej. Najpierw były szkolenia. Potem: marzenie o miejscu, gdzie mógłby uczyć innych. Z pomocą przyszedł wójt Golczy. Mieli działkę, mieli pomysł, ale....

– Weszliśmy w gąszcz. Zero drogi. Tylko zarośla. Ale widziałem w tym potencjał – wspomina. Zaczął sam. Wydzierzał wilczy teren, dokupił kawalek, poprosił gminę o pomoc z dojazdem. Karczował z rodziną, znajomi pomogli w pracach, jedna firma, druga – wszystko po trochu. I tak powstała strzelnica. Może skromna, ale z sercem.

– Każdy klient to rozmowa, instruktaż, wspólna praca na sprężenie. Wolę mniej ludzi, ale szkolonych świadomie. Tłumaczę wszystko – od chwytu, przez spust, po reakcję na strzał w przestrzeni publicznej. Nie uczę „czyszczenia pomieszczeń” jak to ro-

The Eastern Frontier Initiative

- **Artykuł powstał w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).** TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmacniania europejskiej demokracji.
- Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), Gazeta Wyborcza (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i Bellingcat (Holandia).
- Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.



RYŚ. JACEK GAWŁOWSKI

Magda patrzy szerzej – w stronę ludzi. – To był ten moment, kiedy poczułam, że mogę coś zdziałać w realnej sytuacji. Zainteresowałam się ratownictwem. A może będę studiować medycynę?

bią chłopaki z GROM-u, ale uczyć jak się zachować, jeśli broń wpadnie ci w ręce, albo – co ważniejsze – kiedy ją usłyszysz. Bo wiedząc, jak się nią obchodzić, można przewidzieć, w jaki sposób użyje jej przeciwnik – mówi Laki.

Ma osie: dziesięcio-, dwunasto- i pięćdziiesięciometrową, w budowie jest dwudziestka piątka. Przyjeżdżają służby mundurowe z Krakowa, chłopaki na wieczory kawalerskie („najpierw strzelanie, a potem picie – to oczywiste”), najzwyczajniej cywile z urodzinowymi voucherami, uczniowie z podstawówek i licealiści (co Lakiemu bardzo cieszy), rodziny z dziećmi i Koło Gospodyń Wiejskich.

Tak: gospodynie wiejskie też strzelają. – Zadzwoniły, że może by coś u mnie zrobić. Przyjechały z dziećmi i mężami, zrobiły ognisko, mam takie specjalne miejsce, spędziliśmy tam całe sobotnie popołudnie – opowiada Łukasz Laki.

Szkoły zaczęły się same zgłaszać. Nie tylko przez programy obronne, ale z własnej inicjatywy. Łukasz prowadzi zajęcia edukacyjne, potem uczniowie przyjeżdżają na praktykę. Krótka broń, długa, boczny zapłon. Bezpiecznie, świadomie, z edukacją w tle. Są też szkolenia z sytuacji kryzysowych, pierwszej pomocy, zachowania w razie zagrożenia.

– To nie adrenalina ma być najpierw, tylko świadomość. Jak ktoś wyjdzie ode mnie i wie, z czego strzelał, jak się tym posługiwać i co zrobić, gdy coś się wydarzy, to znaczy, że robota zrobiona dobrze.

Jezu, następny... Psycholożka przewraca oczami

Jacek z dziećmi, 16-latką Magdą i 20-letnim Rafałem, spod Krakowa przestali jeździć na narty. Kontuzje. – Szukalem jakiegoś sportu, który moglibyśmy uprawiać razem – mówi Jacek. – Znaleźliśmy strzelnicę Lakiemu i wsiąkliśmy na amen.

Po roku aktywnego strzelania – aby obciążyć koszty nowego hobby – Jacek postanowił zrobić pozwolenie na broń. Zaczął kompletować badania, trzeba było postać w kolejkach. – W jakim celu pan robi te badania? – zapytała psycholożka, nie odrywając wzroku od formularza.

– Pozwolenie na broń – odpowiedział Jacek. Zapadła chwila ciszy. Psycholożka uniosła brwi, potem wzrok. – Jezu, następny... – przewróciła oczami.

Potem były jeszcze badania lekarskie, papiery, stowarzyszenie kolekcjonerskie, egzamin teoretyczny i praktyczny. A wszystko podlane odrobiną biurokracji i czekania.

– Robienie pozwolenia na broń w Polsce to jak zdawanie prawa jazdy – mówi Jacek. – Trochę trwa, trzeba się nachodzić, nauczyć, zdać egzamin... Ale uważam, że to dobrze. To nie jest rzecz, którą powinno się załatwiać na szybko. I jak ktoś to wszystko

przejdzie, to znaczy, że traktuje sprawę poważnie.

Najtrudniejszy był egzamin praktyczny. Jacek większość czasu trzymał nerwy na wodzy – aż do momentu, gdy stanął z bronią przy stanowisku. Dłoń zsunęła się na pistolet, oddech płytki, palce spoczone. Znal teorię, umiał procedury, trenował wcześniej. A jednak – trema. Pierwszy strzał w dziesiątkę. Drugi też. Trzeci – za szeroko.

– W pewnym momencie czułem, że dłoń mi się lepią do broni. Nie mogłem jej dobrze utrzymać. I wtedy poczułem czyjaś dłoń na ramieniu. Egzaminator – starszy policjant, siwy, spokojny.

– Niech się pan nie stresuje – powiedział cicho. – Pan to umie, proszę tylko się skupić i oddychać.

Ten dotyk, głos i ten moment – zrobiły swoje. Jacek przetrwał ręce, ustawił się na nowo, wypuścił powietrze i dokończył strzelanie. W punkt – egzamin zdany. – Mam ogromny szacunek do tych ludzi, serio. Ani śladu stresującej atmosfery. Konkretnie, rzeczowo, ale z klasą. I bez upokarzania.

Dzieciaki Jacka przekuli nowe hobby każde w coś innego. Dla Lecha pistolet był tylko początkiem. Zafascynował się mechaniką, precyzją, logiką układów. Szybko przerzucił się z karabinka na lutownicę i projekty z elektroniką – dziś idzie na Politechnikę.

Magda natomiast patrzy szerzej – w stronę ludzi. – Strzelać umiem, i nawet dobrze, ale bardziej zainteresowałam się ratownictwem. Zrobiliśmy z tatą kurs. To był ten moment, kiedy poczułam, że mogę coś zdziałać w realnej sytuacji. Może będę studiować medycynę, może ratownictwo? – zastanawia się.

– Tata nas zabrał na strzelnicę trochę z zaskoczenia – wspomina Lech. – Nie byłem jakoś bardzo pozytywnie nastawiony. Raczej ciekawy, ale bałem się broni. Po pierwszym strzale byłem tak skoncentrowany, że nie myślałem o niczym innym.

Potem strzelał najlepiej z całej trójki. I zapamiętał jeden szczególny moment: – Na zakończenie jednego treningu cel był już bardzo daleko. Nikt z nas nie mógł trafić. Został mi jeden ostatni nabój... i trafiłem. Wszyscy się patrzyli z uznaniem. To było naprawdę fajne.

Dla Jacka strzelnica też okazała się czymś więcej niż weekendowym hobby. – To taki moment totalnego wyłączenia. Jak nie zostawisz wszystkiego przed wejściem na oś, nie strzelisz dobrze. A jak się skupisz, to wracasz z czystą głową.

Jacek nie podchodzi do broni z pozycji ideologii. Ale nie ukrywa, że jego spojrzenie na świat przez lata było dość jasno określone. – No, byłem konserwatystą. Takim klasycznym – stwierdza bez skrepowania. – Trochę wartości, trochę wolności, trochę podejrzliwości wobec zmian. A teraz to jestem... bardziej obserwatorem. Na pewno nie kibicem.

Z bronią ma podobnie. Nie widzi w niej symbolu ani kultu. Bardziej urządzenie, które trzeba umieć opanować.

– Nie uważam się za jakiegoś strzelca z krwi i kości. Raczej taki „prywatny technik broni palnej”. Lubie wiedzieć, jak coś działa. I jak działa człowiek, który to trzyma. No, i na drodze podczas jazdy jestem znacznie grzeczniejszy. Wiem, że jak zrobię coś głupiego, to mogą mi odebrać pozwolenie.

Feministka przebrana za Larę Croft

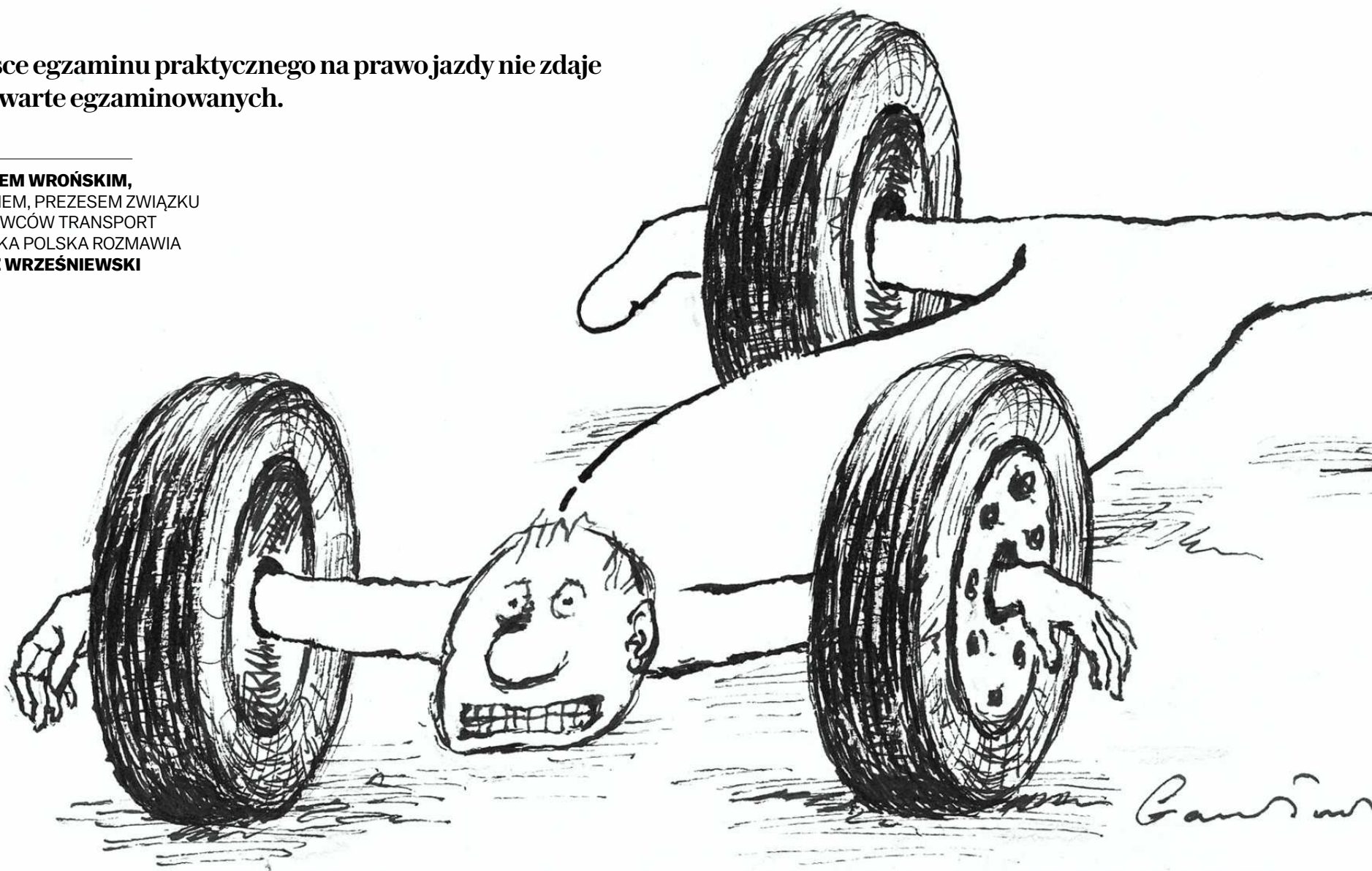
Jeszcze do niedawna lewicowiec z karabinem budziłby podobne zdziwienie jak Greta Thunberg na targach myśliwskich. A kobieta na strzelnicy? Broń i feministyczna wrażliwość się nie kleiły. Jednak – coś pękło.

– Broń przestała być domeną patriotów z kotwicą na piersi – mówi Ola, lewicowa milenialka, która pierwszy raz wzięła do rąk prawdziwy karabin zimą 2022 r. – Wszyscy nasi znajomi szli strzelać. Wyobrażałam sobie, że będę jak Lara Croft. Ubrałam się nawet podobnie: wojskowe buty, nogawki spodni wsunięte w cholewki, skórzana kurtka. A lusia parzy mi policzek, broń ciężka, hałas nie do zniesienia. Ale jednocześnie pomyślałam: może warto to umieć?

Tresowanie mały NA PLACU MANEWROWYM

W Polsce egzaminu praktycznego na prawo jazdy nie zdaje trzy czwarte egzaminowanych.

Z MACIEJEM WRÓŃSKIM,
PRAWNIKIEM, PREZESEM ZWIĄZKU
PRACODAWCÓW TRANSPORT
I LOGISTYKA POLSKA ROZMAWIA
BARTOSZ WRZEŚNIEWSKI



BARTOSZ WRZEŚNIEWSKI: Wie pan, jak sprawdzić światła hamowania na egzaminie? Bo ja za pierwszym razem na tym oblałem, w Grójcu. **MACIEJ WRÓŃSKI:** Jeżeli przepali mi się żarówka, to widzę zapaloną kontrolkę.

Ale chodzi o to, czy jest sprawna żarówka.

– Jeżeli już się pan upiera przy swoim pytaniu, to jest prosty sposób. Wjeżdża pan w jakieś miejsce zacienione, naciska hamulec i widzi w lusterku, czy z tyłu otoczenie jest doświetlone na czerwono.

Niestety, też by pan nie zdał. Na egzaminie nie wolno się przemieszczać w miejsce zacienione, bo nawet nie odpalimy auta, zanim nie zaliczymy płynów i świateł.

– Proszę mnie nie wciągać w te głupoty. To nie ma nic wspólnego z bezpiecznym kierowaniem auta.

Wystarczy usiąść w fotelu, wcisnąć hamulec i poprosić instruktora, aby sprawdził, czy przypadkiem żarówka się nie przepaliła.

– No to tylko się cieszyć, że instruktor zawsze będzie z panem jeździł i zawsze pomoże! Chociaż należałoby zapytać: „To pan mi podstawia niesprawny technicznie samochód? Składał zawiadomienie na policji?”. Według prawa to wykroczenie – udostępnienie niesprawnego technicznie pojazdu.

Kolejnym razem zdawałem w Łomży, bo akurat tam nie trzeba było czekać całego miesiąca na termin. Nie zdałem, bo auto stoczyło mi się na światłach na wzniesieniu 10 cm, co podobno stworzyło zagrożenie. Instruktor mówił, że کیا ma wspomaganie sprzęgła i takie coś nie może się wydarzyć. Na kursie się udało w tym samym miejscu bez zaciągania ręcznego, ale na egzaminie już nie. Jak widać, to wspomaganie nie zawsze działa...

– Nie potrafię tego skomentować...

Udało mi się kilka dni później, również w Grójcu, pierwszego dnia wejścia w życie nowych przepisów. Co prawda na placu pierwszy raz w życiu najechałem na linię, ale udało się za drugim razem. Biegi zmieniałem byle jak, a na światłach ruszałem z piskiem, aby mi nie zgasił i się nie stoczył.

W Polsce egzaminu praktycznego na prawo jazdy nie zdaje trzy czwarte egzaminowanych. Sprawdziłem z ciekawości, jaka jest zdawalność matury. Obleva mniej niż jedna czwarta. Czy kierowanie samochodem jest aż tak trudne?

– Może zaczniemy od pytania, jaka jest efektywność systemu uzyskiwania uprawnień? Otóż powinniśmy ją mierzyć nie w liczbie zdanych egzaminów, ale weryfikując umiejętności osób, które już przejdą przez ten cały młynek egzaminacyjny.

Czy bezpiecznie prowadzą pojazdy? Czy potrafią rozpoznawać niebezpieczeństwa

i ich unikać? W przypadku profesjonalnego transportu ciężkiego, który mnie głównie interesuje, dochodzi jeszcze pytanie, czy ci kierowcy odpowiadają oczekiwaniom pracodawców i jak są przez nich oceniani.

Jaka jest odpowiedź?

– Zrobiliśmy badanie ankietowe wśród pracodawców i wyszły nam wyniki porażające. Większość osób, które przeszły szkolenia na odpowiednią kategorię i zdały egzaminy w Wojewódzkim Ośrodku Ruchu Drogowego (WORD) dla zawodowych kierowców, nie potrafi prowadzić pojazdów bezpiecznie, nie potrafi używać systemów, w jakie wyposażone są współczesne pojazdy, nie umie wykonywać podstawowych manewrów jak np. dojazd do rampy w celu załadunku. Ten system w ogóle nie spełnia swojego celu.

A jak jest z kierowcami osobówek?

– Nie przeprowadzaliśmy badań kategorii B, ale patrząc na poziom bezpieczeństwa jazdy w naszym kraju, nie wydaje mi się, aby było lepiej.

Skoro na bardziej specjalistycznych kursach, które trwają dłużej, nie potrafimy wykształcić dobrych kierowców, trudno oczekiwać, aby w kategorii amatorskiej było lepiej.

Pytanie więc: po co jest ten system? Wychodzi na to, że to jest sztuka dla sztuki. Unia Europejska wymaga egzaminów, no to je robimy. Coś udajemy, wymyślamy jakieś zasady, ośrodki i eg-

zaminatorzy zarabiają, ale niczemu to nie służy.

Jeśli więc dojdziemy do zdawalności egzaminów, o co pan pytał, która jest na porażająco niskim poziomie, no to chyba trzeba się złapać za głowę i powiedzieć: ludzie, o co w tym chodzi?

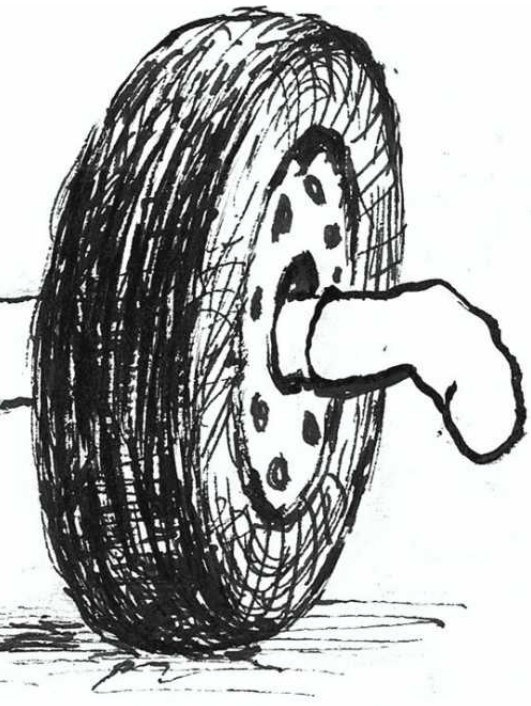
Wyniki w poszczególnych WORD-ach lub wyniki niektórych egzaminatorów przekraczają dopuszczalne odchylenia standardowe. Czyli ewidentnie mamy do czynienia z nieprawidłowościami.

Ktoś mógłby zapytać: czy w takim razie nie lepiej byłoby dawać prawo jazdy każdemu bez żadnych egzaminów? Na zasadzie: masz i ucz się na własnych błędach. Oczywiście nie zachęcam do takich działań, ale patrząc na to, co się dzieje, podobny efekt uzyskalibyśmy, sprzedając prawa jazdy w drodze licytacji. Naprawdę nie wiem, dlaczego tolerujemy taką sytuację.

Czegoś jednak tam uczą...

– Czegoś tak, ale konkretnie czego? Na pewno celem tego systemu nie jest wypuszczanie ludzi z odpowiednią wiedzą i umiejętnościami niezbędnymi do bezpiecznego kierowania samochodem. Może ich tam uczą sztuczek cyrkowych? Do tego można porównywać to, co się dzieje na placu manewrowym.

Sprawdzone tam umiejętności nie mają nic wspólnego z ruchem drogowym, równie dobrze można by sprawdzać umiejętność gry w pasjansa za kierownicą. A są jedną z najpoważniejszych barier do uzyskania prawa jazdy. Duża część zdających



nak nawet w ramach tych idiotycznych parametrów można by to urealnić na przykład przez stawianie makiet pojazdów samochodowych zamiast tyczek na stanowiskach do parkowania.

Mam przyjaciela, który jest znakomitym kierowcą. Ma ponad 60 lat i nie spowodował w życiu żadnego wypadku. Jest znakomitym kierowcą i instruktorem, jest jednym z niewielu ludzi, którzy potrafią przy prędkości 100-120 km/h dwukrotnie obrócić samochód o 360 stopni i pojechać dalej bez zmiany toru jazdy. Taki manewr nazywa się aaltonen.

I on do mnie mówi: „Maciek, przecież to jest jakiś idiotyzm! Ja sam czasami potrzebuję zrobić ze trzy korekty, aby prawidłowo zaparkować”. A to jest człowiek, któremu pod względem techniki mało kto dorówna. A tutaj przyszłym kierowcom dają jedną korektę – jaki to ma sens?

Chce pan powiedzieć, że on by mógł nie zdać egzaminu na prawo jazdy?

– Mógłby nie zdać. Wie pan, ja byłem współtwórcą pierwotnej ustawy z 1997 roku o ruchu drogowym. Mojego autorstwa były rozporządzenia w sprawie znaków i sygnałów drogowych oraz zarządzania ruchem. Później przez wiele lat zajmowałem się bezpieczeństwem ruchu.

I z całą stanowczością powiem, że ja bym nie zdał ani testów, ani egzaminu praktycznego. No bo egzamin teoretyczny to są jakieś wydumane podchwytliwe pytania, gdzie człowiek czasem nie wie, o co chodziło autorom.

A zadania praktyczne są tak odklejone od rzeczywistości, że nawet ten mój przyjaciel, który jest specjalistą od techniki jazdy, mógłby nie przejść egzaminu praktycznego. To jak tresowanie małp, które patrzą na patyki, licząc obroty kierownicą...

Chodzą słuchy, że plac miał zostać zniesiony. Ministerstwo zamówiło nawet ekspertyzę, która miała sprawdzić, czy jest przydatny, ale z niej zrezygnowano prawdopodobnie pod naciskiem lobby instruktorskiego i dyrektorów WORD-ów. Wie pan, o co chodzi?

– Nie mam pojęcia. Ale wiem, że często to nie urzędnicy są przyczyną problemu, ale politycy. Jak pracowałem na początku XXI wieku w Krajowej Radzie Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego jako ekspert d.s. bezpieczeństwa ruchu z ramienia Banku Światowego, stworzyłem założenia reformy systemu uzyskiwania uprawnień.

To poszło do realizacji, ale ówczesny szef gabinetu politycznego powiedział: „Nie, to społecznie będzie źle odczuwane, to wyrzucamy”. Później przyszli dyrektorzy WORD-ów do któregoś sekretarza stanu szepnąć coś na ucho: „Nie, nie, bo będziemy mieli stratę”. No to decyzją polityczną wiele rozwiązań trafiło do kosza. Tak to działa. Ktoś przekonał ministra i kropka.

Na jakim poziomie kształcą szkoły nauki jazdy? Czy nie tu leży problem?

– Celem jest nie nauczanie bezpiecznej jazdy, ale zdanie egzaminu. No więc jeśli wymaga się manewrów na placu, to tego się uczy.

Na teorii też uczy się nie zrozumienia zasad ruchu drogowego, ale tego, jak zaliczyć test. Nie chcę obwiniać szkoleniowców, bo słyszę: „Maciek, ale ja muszę tak tych ludzi szkolić, aby zdali egzamin, bo oni mi za to płacą”.

Rodzice nie posyłają tam dzieci, aby ich nauczyli bezpiecznej jazdy, ale aby one zdały egzamin. Ośrodki szkolenia często mówią tak: „Prawidłowa odpowiedź jest taka i tak jeźdź, natomiast na egzaminie uznawana za właściwą jest inna odpowiedź i tą wskaż”.

Przypomina mi to naukę do kartkówki w szkole – nauczyć się i zapomnieć. Bo przecież będziemy jeździć inaczej, niż wymagają na egzaminie.

– Nie inaczej, ale w innych warunkach. Bo jeździć będziemy tak samo. Jest prawo i trzeba się do niego stosować. Jest znak stop, to trzeba się zatrzymać, nawet jeśli jego umiejscowienie może się wydawać bezsensowne. Jestem prawnikiem i innej odpowiedzi pan ode mnie nie uzyska. Nie moją rolą jako kierowcy jest oceniać, czy dany znak został postawiony słusznie czy nie.

Jednakowoż egzamin powinien być prowadzony poza obszarem zabudowanym. Po to, aby nauczyć ludzi jazdy na zwykłych drogach krajowych, którymi na co dzień będą się poruszać. Niekoniecznie autostradach, chociaż to też by się przydało.

Należy nauczyć kursanta funkcjonowania w ruchu na drogach, po których poruszamy się z dużymi prędkościami. Na przykład właściwego wykonywania manewru wyprzedzania na drodze jednojezdniowej. Rzadko który kierowca robi to dobrze.

Podjeżdża jak najbliżej, ogranicza tym samym pole swojego widzenia, a potem nagle wyjeżdża, narażając się na zderzenie czołowe z nadjeżdżającym z przeciwnego kierunku pojazdem. Aby mieć odpowiedni kąt widzenia i miejsce do samego manewru, należy go zacząć znacznie wcześniej. Daje to możliwość rezygnacji z manewru i schowania się, jeśli coś pójdzie nie tak.

Zamiast tego mamy jakieś bzdury na placu manewrowym. Znam korzenie tego myślenia. Miałem kolegę inżyniera, który był twórcą obecnego systemu i chciał wszystko standaryzować. Ale w ruchu drogowym tak to nie działa.

Dlatego jestem bardzo krytycznie nastawiony do tego systemu, szczególnie że swego czasu próbowałem go zmienić, gdy pracowałem w resorcie.

Czy takie mało dynamiczne turlanie się po mieście, jakiego uczą na kursach i wymagają na egzaminie, ma sens?

– Oczywiście, że jazda defensywna ma sens. Rozumiem przez to dostosowywanie prędkości do warunków na drodze, zachowywanie odpowiednich odstępów, trzymanie się określonego pasa ruchu. Jazda z prędkością 40 km/h jest moim zdaniem prawidłowa w terenie zabudowanym.

Należy przede wszystkim patrzeć na to, aby kierowca jeździł bezpiecznie, rozsądnie, nie utrudniał nikomu ruchu. Pewne cechy trzeba w kierowcy po prostu wykształcić, jak empatię, hamowanie agresji, a tego się w ogóle nie robi. Zamiast tego jest jakiś dziwny schemat: najechałeś na linię, to błąd, i do widzenia. Trzy korekty przy parkowaniu, i do widzenia. A co to ma wspólnego z bezpieczną jazdą?

To „turlanie się” po mieście jest w porządku. Ale jednocześnie kursant powinien być uczony też szybkiej jazdy poza terenem zabudowanym, bo zbyt wolna jazda byłaby równie niebezpieczna jak przekraczane dopuszczalnej prędkości.

Jestem również zwolennikiem drugiej fazy szkolenia, która pozwala zrozumieć młodemu kierowcy zagrożenia na drodze.

Dostajesz prawo jazdy, oswajasz się z ruchem drogowym, z czasem zaczynasz wierzyć w siebie, a za chwilę jeździć coraz bardziej ryzykownie, myśląc: „Ach, bo ja już wszystko potrafię!”. I tu jest miejsce do obowiązkowego skierowania takiego kierowcy do odpowiedniego ośrodka, w którym, oczywiście na specjalnym placu w wyizolowanych warunkach, w jeździe z prędkością przelotową 90 km/h będzie musiał ominąć przeszkodę na drodze.

I nie chodzi o to, aby on się nauczył omijać tę przeszkodę, ale aby mu pokazać, że gdy traci panowanie nad kierownicą, staje się malutki i niewiele może, bo wszystko dzieje się w ułamkach sekundy, a przeciążenia go przerastają. Trzeba go trochę spowiewierać, żeby nabrał pokory i aby ta nóżka z gazu schodziła.

Poleca pan jakieś konkretne kursy doszkalające?

– Są dobre szkoły jazdy prowadzone przez producentów i importerów pojazdów, gdzie oferuje się szkolenia ich klientom. Mają własne, a nie ministerialne metody szkolenia, ale przecież nie będę wskazywał konkretnych firm.

Chodzi o zajęcia na autodromie [specjalnie przygotowany tor, zazwyczaj asfaltowy lub betonowy, przeznaczony do wyścigów samochodowych, treningu jazdy i testowania pojazdów], które by pokazały zagrożenia na drodze. Jaka jest trakcja pojazdu i dynamika. W ułamku sekundy, gdzie nam się wydaje, że jesteśmy królem szos, może się okazać, że nie umiemy niczego.

Pierwszy raz brałem udział w takich zajęciach 25 lat temu, no i sam się przestraszyłem. Nagle samochód się kręci, leci w bok. Ale jak to jest wykonane w kontrolowanych warunkach, na autodromie lub płycie lotniska, gdzie są strefy bezpieczeństwa, to nic nam się nie może stać. To uczy pokory.

Nawet kierowca odpowiednio ukształtowany do jazdy defensywnej, zachowujący wymagany odstęp, z czasem traci dobre nawyki, bo cały czas mu ktoś zajeżdża drogę, siedzi na zderzaku albo skacze z pasa na pas. I czyni to bezkarnie. A po prostu jeżdżący kierowca traktowany jest jak przegryw.

To uczy postaw, których efekty widzimy później w kronikach wypadków drogowych. A przecież samochód to jest narzędzie, które można porównać do piły mechanicznej, z którą ktoś by biegał i nią wymachiwał. Dlatego jazda defensywna jest najbardziej odpowiednia.

Co jeszcze można zrobić, aby temu przeciwdziałać?

– W naszym języku trudno znaleźć odpowiednik słowa „enforcement”. W skrócie oznacza ono egzekwowanie, wymuszanie, wdrażanie i zapewnianie przestrzegania zasad. I właśnie to jest u nas położone najbardziej.

Chodzi mi bowiem nie o ciągle zastrzeżenie sankcji czy podnoszenie wysokości mandatów, bo to jest ślepa uliczka, ale o nieuchronność kary oraz o szybkie i sprawiedliwe procedury. A to związane jest m.in. z obecnością policji i innych służb na drogach w ruchu, a nie na ich poboczu.

Ale z drugiej strony w Szwajcarii są wysokie mandaty i nikt tam prędkości nie przekracza.

– Bo jest tam odpowiedni enforcement. Czyli m.in. automatyczne systemy nadzoru ruchu drogowego, które pana momentalnie wyłapią. Oraz obecność na drogach policji. Tak samo jest w USA.

A tymczasem ostatnio sfilmowałem taką scenkę. W Warszawie, na ulicy Wawelskiej jest ciągła linia, są dwa pasy i trzeba dojechać do ronda Jazdy Polskiej i dopiero wtedy można wjechać, zgodnie z przepisami, na Trasę Łazienkowską.

Co robi skręcająca w ulicę Wawelską policja? Wpierw nie zwraca uwagi na to,

Zadania są tak odklejone od rzeczywistości, że nawet mój przyjaciel, który jest specjalistą od techniki jazdy, mógłby nie przejść egzaminu praktycznego

że jadący przed nią kierowcy przejeżdżają przez ciągłą linię, skracając sobie drogę, a później sama robi to samo, i szafa gra.

Jeśli policja będzie sfocusowana jedynie na tym, aby zastawiać pułapki na przekraczających prędkość kierowców, to to nie będzie działać.

Trzeba reagować zawsze i wszędzie. Jeśli jakiś przepis jest nieważny, to znaczy, że trzeba go po prostu skasować, a nie go ignorować.

A może, paradoksalnie, zwiększenie limitów prędkości spowodowałoby, że ludzie zaczynają się w końcu do nich stosować? No bo jeśli mamy ograniczenie, a 90 proc. kierowców jedzie w tym miejscu dużo szybciej, to może ograniczenie jest źle wymyślone?

– Nie, proszę pana. Jeżeli jest teren zabudowany i są pasy, to obowiązkiem każdego jest jechać 50 km/h, bo później to się źle kończy. A obowiązujące limity pozwalają nam zredukować liczbę ofiar i ich obrażenia.

W takim razie co zrobić, żeby ludzie zaczęli przestrzegać przepisów?

– Pierwsza rzecz to przywrócenie uprawnień gminom do stawiania fotoradarów. Niech pan pojedzie do Chorwacji albo Włoch. Tam nawet w małych alpejskich wioskach są fotoradary i wszyscy przestrzegają przepisów.

Druga rzecz to dla przykładu buspasy. Gdyby straż miejska miała odpowiednie uprawnienia, mogłaby postawić kamery i automatycznie wystawiać mandaty. A my mamy prawo, którego nikt nie jest w stanie egzekwować.

Automatyzacja i decentralizacja jest niezbędna. Polska ma 400 tys. km dróg. Głównie

widząc odpowiedni kolor, pan wie, że tu się kończy odcinek drogi, na którym można pozostawić pojazd.

Szkolenie, enforcement, ale także infrastruktura drogowa oraz zarządzanie ruchem, czyli sygnalizacja i znaki poziome oraz pionowe. To wszystko trzeba traktować holistycznie.

Rezygnujemy z niejednoznacznych sytuacji, jak np. skrzyżowanie regulowane sygnalizacją świetlną z łamanym pierwszeństwem przejazdu. Prawo ma tu jedną wykładnię, ale gdy musimy szybko podejmować decyzje na drodze, nie zawsze musi to być takie oczywiste. I nie chodzi o to, aby udowodnić, kto ma rację, ale o to, aby na drodze było bezpiecznie. Gdy w wypadku ginie człowiek, nieważne, kto miał rację.

Podam lepszy przykład. Kiedyś naprzeciwko warszawskiej Cytaдели trzy pasy Włochy zwały się do dwóch, bo budynek wchodził w skrajny prawy pas. I tam były non stop wypadki. Zarząd dróg stwierdził: „Wszystko jest w porządku, bo my postawiliśmy odpowiedni znak”.

A ja im odpowiadam: „I co z tego, że postąpiliście zgodnie z instrukcją oznakowania pionowego i poziomego, skoro tam giną ludzie?”. „No to co my mamy zrobić?”. Na przykład zastosować progi zwalniające lub wywołującą wibrację nawierzchnię, a przed samym budynkiem ustawić plastikowe skrzynie z wodą, aby wytracić energię kinetyczną pojazdu, który jednak uderzył w ścianę. Tu jest potrzebna wyobraźnia, bo my zarządzamy ruchem, w którym uczestniczą omylni ludzie.

Na czym polegają zmiany w egzaminowaniu, które weszły w życie 1 lipca? Media grzmia o drakońskich zmianach i cofaniu systemu o dekadę.

Wychodzi nam na to, że jeżeli ktoś ma pecha i trafi na taką sytuację, to jakkolwiek dobry by był i jakkolwiek by się starał, to i tak nie zda?

– Ja jednak cały czas wierzę, że większość egzaminatorów, w odróżnieniu od tych lobujących u ministra, zachowa zdrowy rozsądek. Ryzykując, że jak trafi się nadzorujący, to może ich wywalić z pracy.

O co chodzi z tym lobbingiem w sprawie usztywnienia tabeli błędów, czyli de facto utrudnienia egzaminu na prawo jazdy? Podobno ktoś się z kimś dogadał, zawiązała się jakaś grupa i wychodziła swoje u ministra Klimczaka...

– Czytam branżową prasę i tam jacyś panowie powiedzieli, że minister wreszcie wysłuchał ich prośb. Niech pan się ich zapyta.

Czyli ministerstwu nie zależy, aby system kształcił dobrych kierowców, którzy będą bezpiecznie jeździć i zdawać egzamin na prawo jazdy za pierwszy razem?

– Ja mogę powiedzieć tylko tyle, że system nie działa. Od lat są apele z różnych stron, aby go zmienić. A czy ministerstwu zależy czy nie? Nie wiem, może ktoś uważa, że dzięki temu spadnie liczba wypadków i zabitych? Nie chcę tego oceniać.

Co dalej? Czy jest sposób, aby ten system poprawić, aby te zmiany odkręcić? Czy w ogóle jest taka wola w naszym rządzie?

– Problem jest w tym, że tak naprawdę nie ma z kim rozmawiać. Dla władzy ekspertami są interesariusze pracujący na rzecz systemu, a nie ludzie z zewnątrz, specjaliści, którzy potrafili sytuację ocenić obiektywnie.

My jako branża transportowa apelowaliśmy do ministerstwa, żeby nie opóźniało

też inne źródła. Wcale nie trzeba wywierać otwartych drzwi. Wystarczy skorzystać z zagranicznych wzorców.

Mam wrażenie, że głównym czynnikiem powodującym niezdawalność jest stres wśród egzaminowanych.

– Kiedy przed ponad 30 laty temu udzielałem pierwszego wywiadu radiowego i bardzo się denerwowałem, to redaktor zlapał mnie za rękę i powiedział: „Proszę pana, proszę się niczym nie martwić, jak pan powie coś nie tak, to się to wytnie. Zrobimy tak, aby było dobrze, bo mi też na tym zależy, aby wypuścić dobry wywiad”.

I taka rozmowa zmieniała od razu sytuację i redukuje poziom stresu. A tutaj jest w drugą stronę. My jako całe społeczeństwo potrzebujemy przebudować naszą świadomość. Powinniśmy bazować na życzliwości, a nie być ze wszystkim na nie.

Proszę zobaczyć, jak trudno jest załatwić cokolwiek w urzędzie, nikt tam nie jest nam przychylny i to samo jest na egzaminach na prawo jazdy. Niestety długa droga przed nami. PRL siedzi w nas tak silnie, że nawet ludzie młodzi, którzy go nie pamiętają, zachowują się tak samo albo nawet jeszcze gorzej.

Nie da się jakoś inaczej tego rozwiązać, aby zmniejszyć stres egzaminowanych?

– Gdyby do pana wyszedł uśmiechnięty egzaminator, któremu oczy się śmieją, i powiedział: „Zapraszam do samochodu, postaramy się, aby pan zdał”, byłoby zupełnie inaczej, niż gdy wychodzi do nas ktoś nadepty i z wyższością buczy: „Proszę uruchomić samochód”, „Proszę się zastosować”, „Czego pan nie rozumie?”.

Oglądając egzamin praktyczny, poczułem, jakbym się cofnął do szkoły podstawowej. Egzaminowany chłopak chodził dookoła samochodu, opisując, gdzie są jakie światła i wypowiadając regułki, trochę jak w wojsku: „Tylnie światła pozycyjne znajdują się tu i tu, i tu i działają”.

– Egzamin powinien jak najbardziej przypominać realne życie. Wsiada pan do samochodu, dostaje adres i musi tam dojechać. Sam pan dokonuje decyzji, gdzie jechać. Te techniczne aspekty są też ważne, ale jedynie w przypadku zawodowych kierowców. Tyle że powinno się sprawdzać zupełnie inne rzeczy, np. tarcze hamulcowe, stan ogumienia.

Wśród rzeczy do sprawdzenia jest też klakson. Osobiście mnie to bawi, nawet dziecko umie zatrąbić.

– Tyle że pan w ogóle nie powinien tego robić, bo łamie pan prawo, hałasuje w terenie zabudowanym bez potrzeby.

Nie wiadomo, czy można na tym oblać? Czy sygnał może być za krótki, bo niko go nie ostrzegłem, albo za długi, no bo wprowadzamy niepotrzebny hałas?

– Ale widzi pan, to łatwo sprawdzić i wystandardyzować. Tak jak mówię, ślepa uliczka z lat 90. Celem jest standaryzacja, a nie kompetencje. Koledzy instruktorzy mówią mi: „Maciek, ja od razu wiem, kto jest źle nauczony albo kto potrzebuje więcej czasu do nauki”.

A jest coś takiego w tabelce? ●



FOT. MATERIAŁY TLP

Maciej Wroński

• prawnik, prezes Związku Pracodawców Transport i Logistyka Polska, ekspert ds bezpieczeństwa na drodze

Podobny efekt uzyskalibyśmy, sprzedając prawa jazdy w drodze licytacji

ny inspektor transportu drogowego zarządzający siecią fotoradarów z Warszawy ma to wszystko upilnować?

Droga nie jest dla warszawiaków, którzy narzekali na fotoradary ukryte za śmietnikiem, pędząc przez Biały Bór na plażę na środkowym wybrzeżu. Ale to warszawiacy wymusili zmianę prawa likwidując położone w Białym Borze samorządowe fotoradary. A przecież w tej małej miejscowości mieszkają ludzie, którzy chcą być bezpieczni. To dla nich powinna być droga.

Dofinansujemy policję, przekażmy władzę gminom, zaczniemy egzekwować przepisy. Niemal na każdym skrzyżowaniu w mieście są kamery, ale aby policjant mógł je przejrzeć, musi wezwać podejrzanego i są skomplikowane procedury. W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

Proszę spojrzeć na USA. Niech pan tam spróbuje, nawet na jakiejś bocznej drodze, przekroczyć prędkość nawet o 1 milę. Za chwilę czerwone bomby z tyłu, a jeśli będzie pan pyskował, to zostanie pan skuty i zamknięty w areszcie. To właśnie jest enforcement.

Co ciekawe, w USA bardzo łatwo zdać egzamin na prawo jazdy.

– Tak, bo tam nie chodzi o mnożenie pytań jak u nas.

Wydaje mi się, że samo prawo drogowe jest u nas dość skomplikowane i mało który kierowca zna wszystkie jego niuanse. Weźmy odległości, w jakich można parkować od przystanku oraz od skrzyżowania. Czemu tu jest 10 m, a tam 15 m? I czy cokolwiek jest w stanie ocenić podczas kierowania pojazdem, gdzie kończy się 10 m, a gdzie 15 m? Czemu to ma służyć?

Dlatego w wielu krajach jest od tego inżynieria ruchu drogowego i odpowiedni system znakowania krawężników. I wtedy,

– Egzaminatorzy chcieli sobie ułatwić sprawę, minister poszedł im na rękę. Nie chcę wchodzić w szczegóły, bo te zmiany są niewarte komentowania.

Może chociaż coś na temat szczegółów owych zmian?

– Zmiany polegają na tym, że teraz, jak najedziesz na podwójną ciągłą, egzamin jest automatycznie kończony. Wcześniej zależało to od decyzji egzaminatora: stworzyłeś zagrożenie w ruchu drogowym czy nie.

Tak więc wszyscy krytykujący owe zmiany mają rację. Z tym że to i tak nie ma żadnego znaczenia, obojętne jest jasność. Ten system nie ma sensu, tracimy na to tylko energię społeczną. On jest do skasowania. I tyle.

Wracając jednak do podwójnej ciągłej

– eksperci wskazują, że istnieją takie sytuacje, gdy nie jesteśmy w stanie na nią nie najechać, np. gdy ktoś nieprawidłowo zaparkuje wzdłuż linii ciągłej i musimy go wyminąć. Gdy trafimy na taką sytuację na egzaminie, co należy zrobić? Zatrzymać się i odmówić wykonania manewru, aby nas nie oblano?

– A jak pan by się zachował w życiu?

No musiałbym chyba złamać ten przepis?

– W polskim prawie jest zasada, że wolno nam poświęcić dobro mniejszej wagi, aby ocalić dobro większej wagi. Jeśli by pan się zatrzymał i czekał trzy godziny, aż ktoś odjedzie, i zatarasowałby pan ruch, to straty społeczne będą znacznie większe niż w przypadku bezpiecznego przejechania przez linię ciągłą.

To jeśli chodzi o ogólne zasady, niestety niezwiązane z zasadami ruchu drogowego. Ale jeśli ktoś się nauczył zero-jedynkowo, jak na tresurze małp, no to jasne, że małpy powinny w tym momencie znieruchomieć.

zmian w wymaganiach egzaminacyjnych na wyższe kategorie prawa jazdy.

Chodziło o to, aby zdawać na pojazdach, na których się będzie jeździło w realnym życiu. Jeżeli kierowca ma prowadzić 40-tonowy zestaw składający się z ciągnika samochodowego i naczepy, to na takim zestawie powinien mieć szkolenie oraz egzamin. A nie na małych pojazdach jedynie udających te większe.

Tymczasem lobby instruktorów oraz dyrektorów WORD-ów stwierdziło, że to by były dla nich za duże koszty, co spowodowało, że decyzja jest odwołana w nieskończoność. A potem się dziwimy, że na 40 osób, które przychodzą do nas do pracy po kursach i egzaminach, jesteśmy w stanie zatrudnić tylko 10, bo reszta zupełnie się nie nadaje.

Czyli jedyne zmiany, jakie są forsowane, to te, które idą na rękę egzaminatorom oraz WORD-om. Aby było jak najłatwiej, jak najmniejszym kosztem, ale jednocześnie aby zarobić jak najwięcej, oblewając ludzi na pierdołach?

– Kolejne zmiany idą na rękę środowisku instruktorów, egzaminatorów i dyrektorów WORD-ów. I tylko w tym towarzystwie toczy się dyskusja. Oni się wszyscy mienią ekspertami. Ja mówię: „Może i nim jesteś, ale popatrz, jaki my dostajemy produkt. I z pokorą oceń swoje eksperckie aspiracje”.

Gdyby reforma systemu zależała od pana, od czego by pan zaczął? Albo jak wyglądałby taki system idealny?

– Zacząłbym od zmian w kryteriach oceny na egzaminach i od zadań egzaminacyjnych. Są urzędowe brytyjskie strony internetowe, które łopatologicznie tłumaczą, jak powinien wyglądać egzamin, jakie zadania powinny się na niego składać itd. Są

Prawy sierpniowy > lewy czerwcowy

Na manifestacji musiało się znaleźć hasło odwołujące się do ulubionej dyscypliny sportowej Karola Nawrockiego, a zarazem do tytułu książki Jacka Kurskiego.



Michał Rusinek

W dniu zaprzysiężenia Karola Nawrockiego odbyły się w Warszawie demonstracje mające na celu manifestację poparcia dla nowego prezydenta, choć nie jest wykluczone, że były to raczej manifestacje mające na celu demonstrację poparcia dla niego. Zdania dziennikarzy w tej kwestii są podzielone. Tak czy owak, demonstracje te zostały poniekąd zwołane przez Jarosława Kaczyńskiego, który kilka tygodni wcześniej mobilizował ludność miast i wsi następująco: „Oni kombinują dalej i nie wiadomo, co w tym ostatecznym momencie się stanie. Obecność bardzo wielu ludzi pod Sejmem jest ogromnie ważna”. Rzeczona ludność na apel prezesa zareagowa-

ła i 6 sierpnia tłumnie do stolicy przybyła. A tam wesoło krzyczała: „Karol Nawrocki prezydentem Polski!” oraz tradycyjne: „Precz z komuną!”. Niektóre kobiety miały na głowach piękne białe-czerwone wianki ze sztucznych goździków, niektórzy mężczyźni – czapeczki ze swojskim napisem: „Śmierć wrogom Ojczyzny”. Nad demonstrantami górował wielki transparent z wygenerowaną przez sztuczną inteligencję sceną koronacji Bolesława Chrobrego i zdjęciem nowego prezydenta wskazującego na nas palcem jak Wuj Sam na słynnym amerykańskim plakacie rekrutacyjnym z czasów I wojny światowej, autorstwa Jamesa Montgomery’ego Flagga. Tyle że zamiast napisu „I Want You” widniało na nim hasło „Uczyńmy Polskę Wielką” nawiązujące do innego amerykańskiego, już współczesnego sloganu „Make America Great Again”. Brak przysłówka „again”, czyli „ponownie”, sugeruje, że za prezydentury Karola Nawrockiego Polska będzie wielka dopiero po raz pierwszy. Pod hasłem głównym znajdował się kunsztowny dystych: „Od koronacji 1025 / do demokracji 2025”.

Podobną historyczną klamrę zastosował autor rymowanego napisu na transparencie: „Mielśmy Chrobrego,/ mamy Nawrockiego,/ Brońmy wolnej Polski,/ nie zmar-

nijmy tego”. Jest to zarazem przykład na wyższość rymu („Nawrockiego”/”tego”) nad rodzajem gramatycznym, czyli – nie bójmy się tego słowa – genderem („wolna Polska” i „wolność” są rodzaju żeńskiego, więc nie zmarnować należałoby raczej „jej”).

Oba te hasła zawierają zwrot do nas, do patriotycznej wspólnoty. Większość napisów na transparentach zawierała jednak zwroty do nowego prezydenta. Na przykład przedstawiciel Ruchu Obrony Granic niósł transparent z napisem: „Prezydencie, broń granic”, co można interpretować albo jako próbę skłonienia głowy państwa do poparcia działań ROG, albo jako wyraz bezradności: broń granic, bo my nie damy rady. Gdyby prezydent miał wątpliwości, przed czym lub przed kim ma owych granic bronić, inny przedstawiciel tego samego ugrupowania niósł transparent z hasłem: „Stop imigracji”.

•

Wśród transparentów były deklaracje wsparcia dla prezydenta w tej trudnej emocjonalnie chwili („Jesteśmy z Tobą”) oraz wyznania miłości („We Love Karol”). Grudziądz – wzorem przedwojennego Lwowa – deklarował po łacinie swą wierność („Semper fidelis”). Kościelną, acz nieco spolonizowaną łaciną napisano na innym transparentie „Habemus presidentem” – i tym samym urucho-

miono skojarzenia papieskie. Nie po raz pierwszy zresztą, bo przecież niegdyś Karol został papieżem, a dziś Karol zostaje prezydentem (jak skandowała pewna pani na spotkaniu z Nawrockim w Kolbuszowej: „Taka jest Pola-ków wola,/ że wybraliśmy Karola./ To nie żaden jest incydent:/ papież Karol i prezydent”). I nie po raz ostatni, bo kilka dni później prezydent machał wesoło z okna Belwederu. Dla odróżnienia nie w białej sutannie, ale w czarnym podkoszulku, jak to sportowiec. Na manifestacji musiało się znaleźć hasło odwołujące się do ulubionej dyscypliny sportowej Karola Nawrockiego, a zarazem do tytułu książki Jacka Kurskiego „Lewy czerwcowy” (o kulisach odwołania rządu Jana Olszewskiego w czerwcu 1992 roku) oraz piosenki Kazi-ka: „Prawy sierpniowy. Prezydent Polski”. Jest to hasło lepsze od tytułu, oparte na figurze retorycznej zwanej zeugmą: wykorzystuje bowiem aż trzy znaczenia przymiotnika „prawy”: bokserskie, polityczne i moralne.

•

Na transparentach pojawili się także śmiertelni wrogowie prezydenta Nawrockiego: „Za gospodarczy sabotaż/ dla Tuska i Bodnara/ będzie sroga kara!”. Pewien kłopot sprawiało manifestantom nazwisko kanclerza Niemiec, które postanowili zapisywać fonetycznie: „Moja wola Merca kanclerza

jest taka:/ zrobić osła z Tuska buraka”. Z romantycznej literatury wiemy, że zrobić zwierzę z warzywa mógłby tylko „istny Niemiec, sztuczka kusa”. Zapewne tego samego autorstwa był transparent (z zapisanym fonetycznie słowem „gauleiter”): „Ja, kanclerz Merc, mówię ci, sługusie Tusku gallajterze,/ że wydzierżawię ci w Berlinie bunker po H*****”. Mamy tu do czynienia z rymem domyślnym. Grupka uroczych starszych dam, w tym jedna w wianku, trzymała skromny transparent z innym rymem domyślnym: „Żurek szkodzi,/ Żurek truje,/ Żurka lubią/ tylko ch...”.

Na owej radosnej manifestacji, która była demonstracją, a może demonstracją, która była manifestacją, pojawił się jeszcze jeden transparent, zawierający ten sam wyraz niepokoju, o którym wspominał Jarosław Kaczyński: „Jeśli Hołownia nie zaakceptuje Karola, to policzymy I turę aż do skutku 100% Braun”. Zawiera on jednak także pogrozkę: oto, co będzie, jeśli marszałek Sejmu nie zgodzi się na zaprzysiężenie Nawrockiego na prezydenta RP. Jeśli będziecie coś kombinować, to my wam rozmontujemy tę waszą demokrację i powołamy na urząd prezydenta człowieka, który będzie wami rządził na innych zasadach. Więc tymczasem ciescie się, że macie Nawrockiego. Bo może być gorzej. •

Dwa komunikaty Nawrockiego

Prezydent w orędziu powiedział: „Nie będę awansował ani nominował tych sędziów, którzy godzą w porządek konstytucyjnoprawny RP”. Będzie wertował akta i orzeczenia?



Marcin Matczak

Karol Nawrocki rozpoczął prezydenturę jak ktoś, kto chce być jednocześnie Salomonem i kulturystą. Pierwszy przekaz – nadprogowy – dostaliśmy w orędziu, z poważnym wyrazem twarzy. Drugi – podprogowy – wysłał w formie obrazków i filmików, które krążą po internecie, jakby były zwiastunem reality show pt. „Belweder Strongman”. Jeden dotyczył sędziów, drugi – tężyzny fizycznej.

W orędziu powiedział: „Nie będę awansował ani nominował tych sędziów, którzy godzą w porządek konstytucyjnoprawny RP”. Czy prezydent będzie wertował akta i orzeczenia? Może poprosi o teczki, weźmie lupę i stwierdzi: „Niestety, w 2019 cytowałeś Trybunał Sprawiedliwości UE – won!”? Może urządzi casting w stylu „Mam talent”: sędzia wychodzi, prezen-

tuje swoje poglądy, a prezydent mówi: „Sorry, nie czuję tego wyroku, wróć za rok”.

To rola supersądu. Prezydent, przedstawiciel władzy wykonawczej, będzie ostatnią instancją w ocenie legalności rozstrzygnięć sędziego, jednocześnie pełniąc wobec niego funkcję trybunału dyscyplinarnego w wersji hardcore – bez procedury i prawa do odwołania. To nie jest równowaga władz – to rozgrzewka, rozciąganie granic władzy wykonawczej, aż trzeszczą szwy ustroju.

Nikt nie odmawia Nawrockiemu prerogatywy – ale nie może być ona wykonywana dowolnie, jak sugerują niektórzy, niewłaściwie rozumiejąc słowo „dyskrecjonalność”. Jeśli by tak było, prezydent mógłby odmówić sędziemu nominacji, bo ten jest gejem, Żydem, kobietą albo jest rudy. Prezydent podlega konstytucji i jej słu- buje wierność. A konstytucja zakazuje dyskryminacji, a w art. 60 daje każdemu równe prawo do pełnienia służby publicznej. Równie – a więc takie, którego nie można pozbawić dowolnie.

•

Jeśli więc niedowolnie, to na jakiej podstawie? Przede wszystkim z szacunkiem dla podziału władz. Od oceniania, czy sędzia łamie prawo, jest sąd, nie prezydent. Tak jak w przypadku wykonywania prawa łaski, tak i tu prezydent nie może sądownictwa wyręczać ani zastępować. Może wyjątkowo odmówić nominacji z ważnych

powodów, które powinien ujawnić i poddać publicznej ocenie. Takim powodem nie może być pogląd prawny sędziego, bo to – zwłaszcza jeśli odmowy nominacji są powszechne – prowadzi do wpływu egzekutywy na sposób orzekania sądów.

Już na początku więc prezydent zapowiedział, że zamierza naruszać akt, na który przysięgał. A to dopiero pierwszy komunikat. Drugi jest ukryty, lecz czytelnicy: prezydent boksuje, robi pompki, podnosi ciężary – jak zawodnik przygotowujący się do mistrzostw w martwym ciągu demokracji.

Francuski antropolog Marcel Mauss pisał o „technikach ciała” jako nośnikach władzy i hierarchii. Władza w tym ujęciu utrwała hierarchię także przez normy cielesne i rytuały. A publiczne przeżenie muskułów to rytuał polityczny: lider jako wzorzec siły i dyscypliny. Kondycja fizyczna staje się metaforą kondycji państwa, a ciało lidera – ekranem, na który rzutuje się ideę sprawczości władzy.

•

To nie jest zwyczajna promocja sportu. To stara gra: „Zgadnij, kto jest samcem alfa”. Mussolini pozował w Dolomitach, Putin jeździł konno topless – różne warianty tej samej symboliki. Hitler czy Stalin, choć dalecy od ideału męskości, promowali obrazy silnych ciał – żołnierzy, robotników, młodzieży. To polityczna mimikra: lider staje się centrum siły, choć jej sam nie wytwarza.

W logice autorytarnej ciało obrazuje państwo – zdrowe, zdyscyplinowane, gotowe do wysiłku ponad normę. W demokracji siła płynie z prawa, w autorytaryzmie – z obrazów siły. To komunikacja podprogowa. Nie o kulturze fizycznej, lecz o kulturze dominacji: „Patrzcie – jestem silny, więc mogę was bronić i kontrolować”. Podprogowy komunikat łączy w sobie dwa składniki – pół na pół jak shake białkowy: strach i podziw. „Podziwiam, bo silny. Boję się, bo mógłby tej siły użyć”.

Oczywiście nie każdy polityczny obraz ciała niesie ten sam ładunek symboliczny. Barack Obama, który chętnie fotografował się podczas gry w koszykówkę, nie epatował siłą w sensie fizycznej dominacji, lecz promował filozofię współpracy – grę zespołową, gdzie sukces zależy od zaufania i koordynacji. Bieganie, kolarstwo czy pływanie, choć wymagają hartu i wytrwałości, pozbawione są gestu przemocy – są metaforą samodoskonalenia, pokonywania własnych ograniczeń.

•

Inaczej jest ze sportami walki czy dyscyplinami siłowymi. One w swojej ikonografii wpisują się w logikę rywalizacji zero-jedynkowej: ktoś wygrywa, ktoś przegrywa, a miarą wartości jest to, kto kogo powalił lub kto dźwignął więcej. W politycznym przekazie taki sport staje się skrótem myślowym: wódz to ten, który „pokona przeciwnika” i „udźwignie ciężar

państwa” – nawet jeśli w praktyce oznacza to narzucenie swojej woli innym.

Jeśli ktoś ma takie wyobrażenie o władzy, że jej źródło leży nie tyle w instytucjach, ile w osobistej sile, zdolności narzucenia zdania innym i byciu ostatnią instancją – to łatwo przejmując także estetykę, która te wartości ucieleśnia. Gesty, scenografie i rekwizyty nie muszą być kopiowane świadomie; wystarczą, że mieszczą się w tym samym kodzie kultury władzy. Nawrocki może więc mimowolnie wpisać się w tradycję przywódców, którzy komunikowali swoją pozycję przez obrazy siły – bo skoro podobnie myśli o relacjach władzy, to podobnie je pokazuje.

Nowy prezydent mówi więc, że sam zdecyduje, który sędzia jest w porządku, a który godzi w porządek. Jednocześnie pokazuje, że chce ten porządek egzekwować osobiście. Polityka prawa to język trybunałów i procedur. Polityka siły – to język pięści, mroźnego spojrzenia i kryterium Daria ze „Ślep-nąc od światła”: „No i nie podobasz mi się”.

Z pozoru to dwa różne komunikaty: jeden ubrany w garnitur i cytaty z konstytucji, drugi – w koszulkę z krótkim rękawem i rękawicę bokserską. Ale łączy je wspólny rdzeń: władza skupiona w rękach jednostki, usprawiedliwiona nie instytucjami, lecz osobistym autorytetem, siłą i dominacją. Władza, która nie gada, bo gadanie jest dla frajerów. •

Unia Egoistów zamiast Unii Europejskiej?

EUROPA
MOŻE
UGRYZĆ

Ci wszyscy prawicowi liderzy są mocni w gębie. Ale wiedzą, że kto wyprowadzi swój kraj ze Wspólnoty, będzie natychmiast politycznym trupem.

Z CARLEM BILDT*
ROZMAWIA MATEUSZ MAZZINI

Czy obserwujemy właśnie schyłek, a może nawet koniec Unii Europejskiej jako ucieleśnienia europejskiego projektu politycznego? Bruksela stoi przed aż trzema egzystencjalnymi zagrożeniami: ze strony rosyjskiej agresji imperialnej, chińskiej nadprodukcji przemysłowej i amerykańskiego szantażu technologicznego oraz handlowego. Nie radzi sobie z żadnym, a musi ze wszystkimi, żeby przetrwać.

CARL BILDT: – Rzecz w tym, że Unia jest niezbędna, żeby sprostać tym wyzwaniom. Żadne europejskie państwo pojedynczo nic nie zdziała, jest na to za małe. Tylko współpracując, jesteśmy w stanie przeciwstawić się czołgom Putina i cłom Trumpa, ale też wszystkim innym zagrożeniom – migracji, zmianom klimatycznym, czemukolwiek innemu. Świat się destabilizuje, napięcie jest coraz więcej, nie coraz mniej. Dlatego Unia właśnie dzisiaj jest potrzebna bardziej niż kiedykolwiek.

Na poziomie teoretycznym tak, ale czy w praktyce również? Naprawdę jesteśmy w stanie przeciwstawić się rosyjskiemu i amerykańskiemu imperializmowi oraz chińskiej nadprodukcji jednocześnie?

– Spójrzmy na ostatnie 10 lat. Unia w tym okresie okazała się całkiem skuteczna w zarządzaniu kryzysowym. Bruksela bywa ociężała i powolna w dobrych czasach, natomiast bardzo przyzwoicie radzi sobie z nieprzewidywanymi wyzwaniami. Bierze się w garść akurat, kiedy trzeba.

Tak było w czasie pandemii koronawirusa czy przy budowaniu wsparcia dla Ukrainy po rosyjskiej napaści. Teraz próbuje to powtórzyć przy wspólnym mechanizmie finansowania zdolności obronnych i wspieraniu wydatków na obronność, co jeszcze kilka lat temu byłoby nie do pomyślenia.

Oczywiście, że Unia musi robić więcej. Oczywiście, że może – i ma ku temu narzędzia. Spójrz na handel międzynarodowy. Przecież pod tym względem Wspólnota Europejska jest praktycznie federacją. Tylko że samo posiadanie instrumentów i korzystanie z nich wtedy, gdy to konieczne, to dwie różne rzeczy. Właściwe pytanie brzmi: z jaką siłą jesteśmy gotowi użyć naszych narzędzi. Podobnie jest z konkurencyjnością europejskich gospodarek, która musi wzrosnąć – ale pamiętajmy, że to znacznie bardziej złożona sprawa, bo tu większość decyzji należy do rządów państw narodowych.

Dobra, to porozmawiajmy właśnie o handlu. Mówisz, że Unia ma potężne narzędzia obronne w polityce handlowej – i rzeczywiście, kumulatywnie 44 procent eksportu państw członkowskich odbywa się wewnątrz rynku wspólnego, czyli bez cel. To wytłumacz mi teraz, skoro

jesteśmy federacją, czemu boimy się własnej wielkości i kapitulujemy przed Trumpem, dając mu 15-procentowe cła i ciesząc się, że to tylko 15, a nie 30.

– Ta ugoda była wynikiem silnej presji konkretnych państw, przede wszystkim Niemców, którzy strasznie bali się o przyszłość swojego przemysłu samochodowego. Berlin bardzo naciskał, żeby szybko doprowadzić do jakiejś ugody z Trumpem – i ja ich rozumiem. Podobnie jak Włochów, którzy też nerwowo spoglądali na perspektywę cel.

A Komisja Europejska mogła zachować się bardziej asertywnie, wręcz agresywnie wobec amerykańskich żądań w kwietniu, kiedy Trump zaczął mówić o cłach pierwszy raz. Wtedy był na to czas, było miejsce. Spójrzmy na Chiny. To jedyny kraj, który idzie z Amerykanami na ostro i wygląda na to, że w pewnym stopniu im się to opłaca. Chińczycy są oczywiście w innej sytuacji, mają większe możliwości i zasoby, niemniej osiągają bardzo konkretne rezultaty.

Albo poczekajmy z ocenami na koniec tej awantury, bo ona się dopiero zaczyna. Przecież wszystko, co na razie ustalono, ogranicza się do ustnych umów zawartych w czasie godzinnej rozmowy gdzieś na polu golfowym w Szkocji. Zero konkretnych. Nie istnieje żaden formalny kształt tego porozumienia, żaden dokument opisujący jego szczegóły. Nie mówiąc o tym, że wersje tej umowy przedstawiane przez Europę i Amerykę mocno się różnią.

Pociągnę kolejny wątek, który sam rozpocząłeś. Obecna tak zwana architektura instytucjonalna Unii zawiera w sobie napięcia niemożliwe do wyeliminowania, czyli tarcia między Brukselą a rządami państw członkowskich. Przy czym coraz więcej badań jasno wskazuje, że Europejczycy oczekują od Unii działań w tych obszarach, w których ona nie ma kompetencji, jak walka z inflacją, tworzenie nowych miejsc pracy czy właśnie obronność – to domeny rządów narodowych. Jak Unia może spełniać oczekiwania ludzi, jeśli nie ma do tego narzędzi?

– Architektura instytucjonalna Unii będzie się zmieniać, już się zmienia. Unia wkracza w obszary, w których do tej pory nie była aktywna, jak obronność – co pokazuje, że ewoluuje. Ta ewolucja może przebiegać wolniej, niż byśmy sobie życzyli, ale jednak przebiega.

A rozbudowywać możliwości i wpływy Brukseli nie jest tak łatwo, bo budżet Unii wcale nie jest ogromny, to mniej więcej 1 procent PKB krajów członkowskich. Do wspólnej kasy, z której mogłaby czerpać, trafia relatywnie niewielka część wydatków publicznych w Europie. I to jest w porządku, ten budżet nie powinien być gigantyczny, ale pytanie, jak długo jesteśmy w stanie funkcjonować z symbolicznym 1 procentem.

To martwi mnie najbardziej – że Unia stała się ogromnym, złożonym Behemotem, który jest zbyt skomplikowany, żeby go zmienić na drodze reform. Martin Wolf z „The Financial Times” powiedział mi nawet niedawno, że Europa przetrwa tylko dzięki „koalicjom chętnych” tworzonych na bieżąco w różnych celach, gdyż



Unia jako centralny byt nie da rady reagować odpowiednio szybko.

– Zgadzam się tylko częściowo. Rzeczywiście Unia w obecnym kształcie niektórych rzeczy nie jest w stanie zrobić. Obronność najlepszym przykładem. Kraje europejskie mają spore zdolności w tej dziedzinie, ale Unia jako taka nie jest organizacją militarną, więc nie podejmie decyzji wojskowych.

Ale koalicje chętnych nie są sprzeczne z istnieniem całej Unii. One zawsze istniały, a jeśli się sprawdzały, ewoluowały w coś permanentnego. Tak przecież stało się ze strefą Schengen, która też nie była na początku stałym elementem unijnej architektury. Więc im lepiej będą działać koalicje chętnych w różnych kluczowych kwestiach, tym szybciej zostaną włączone w regularne struktury unijne – i tym sprawniejsza będzie cała Unia.

Ale tak, macie z Martinem rację. Proces decyzyjny w Unii jest bardzo skomplikowany. Z jednej strony – 27 krajów członkowskich, reprezentowanych w Radzie przez przedstawicieli, każdy z takim samym, jednym głosem. Z drugiej – Parlament Europejski, zbudowany według przelicznika populacyjnego, ale mający bezpośrednią legitymację demokratyczną. Ta struktura jest niewygodna, ale działa, kiedy musi.

Tylko czy czasem ta najbardziej znana koalicja, czyli Schengen, nie przestaje właśnie istnieć? Coraz więcej krajów przywraca mniej lub bardziej stałe kontrole graniczne.

– Czy one będą stałe – to się dopiero okaże, najczęściej przecież działają wahadłowo. Raz są, raz ich nie ma. I tak będzie nadal, w zależności od presji migracyjnej, ale też presji wyborczej w poszczególnych krajach. Niemcy są ciekawym przykładem, bo właśnie tam naciski są najsilniejsze. Ale nikt nie jest zainteresowany powrotem do starych czasów, kiedy nie mieliśmy swobody przemieszczania się.

Zresztą przypomnij sobie, co działo się na początku kryzysu pandemicznego. Większość rządów była mniej lub bardziej zdesperowana, więc z braku innych narzędzi zaczęła zamykać granice, co natychmiast wywołało ogromny chaos w łańcuchach dostaw, zaczęło zagrażać firmom, rynkowi pracy i trzeba było szybko wracać do tego, co było.



Więc będziemy mieć kontrole co jakiś czas, ale nie likwidację Schengen.

No to podsumujmy: czy autonomia strategiczna Unii, przy wszystkich jej ograniczeniach, jest realnym projektem, czy tylko pustym sloganem? Bo ja nawet nie wiem, co ona miałaby realnie przynieść.

– Zawsze byłem zdecydowanie przeciwny temu sformułowaniu. Autonomia sama w sobie jest przecież bezużyteczna. Chcę Europy, która ma strategiczne zdolności, a nie strategiczną autonomię. No i która ma chęć korzystania z tych zdolności. Chciałbym zobaczyć Europę, która ma swoje narzędzia i kiedy jest okazja, używa ich w porozumieniu z Amerykanami czy Brytyjczykami, ale kiedy musi, nie boi się sięgnąć po nie sama.

Amerykanie stają się coraz bardziej nieprzewidywalni. Spójrz na ostatnie decyzje Trumpa – nałożył ogromne cła na Indie, czyli na państwo, z którym naprawdę miał doskonałe stosunki. I rząd w New Delhi ma problem, bo nikt nie wie, skąd to się prezydentowi wzięło i w którą stronę dalej pójdzie. To samo może przydarzyć się Europejczykom w dowolnym momencie.

Ale jak Unia ma nabyć te strategiczne zdolności? I czym one w ogóle są? Bo zaraz ktoś z czytelników słusznie zauważy, że posługujemy się abstrakcyjną politologiczno-biurokratyczną mową trawą.

– Niektóre już mamy. Choćby rzecz jasna w zakresie handlu. Polityka dotycząca konkurencji też jest ważnym instrumentem strategicznym. Jeśli chodzi o obronność i sprawy militarne – musimy zbudować model oparty na współpracy Unii i NATO, z mniejszym zaangażowaniem Stanów Zjednoczonych. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Amerykanie wycofają się z Europy, w tym z Polski. Jako Europejczycy musimy więc wypełnić lukę po nich, nie tylko w liczbie żołnierzy, ale też w strukturach dowodzenia.

NATO pozostanie sojuszem obronnym, ale Unia stanie się sojuszem bezpieczeństwa – bo w obszarach, które dzisiaj traktujemy jako militarne, jak cyberbezpieczeństwo, mobilność, działania hybrydowe, kompetencje mają państwa członkowskie i właśnie sama Unia.

Tylko że to siłą rzeczy zakłada, jeśli nie dalszą integrację, to ściślejszą współpracę. Jak to pogodzić z faktem, że w kolejnych państwach członkowskich wpływ na politykę zyskują partie skrajnie prawicowe, eurosceptyczne i izolacjonistyczne? Nasz nowy prezydent powiedział w przemówieniu inauguracyjnym, że filarem polskiego bezpieczeństwa jest NATO, a przede wszystkim – sojusz ze Stanami Zjednoczonymi. W Unii mamy utrzymywać suwerenność. To samo słychać w Rumunii, we Włoszech, w szeregach AfD, w Holandii...

– Cóż, wasz prezydent ma najwyraźniej bardzo, bardzo ograniczone zrozumienie tego, co oznacza bezpieczeństwo w dzisiejszym świecie. Ma rację co do twardych działań wojskowych, tego w ramach Unii nie będzie – one pozostaną domeną NATO. Ale żeby skutecznie się bronić, potrzebujemy więcej, a nie mniej Europy. Poczekajcie i zobaczcie, co stanie się z amerykańskimi żołnierzami w Polsce.

Co do innych – wiadomo, że niektóre kraje członkowskie są pod presją fiskalną, ciężko im będzie sfinansować zobowiązania podjęte w ramach NATO. Więc najprawdopodobniej utworzy się nieformalny podział. Państwa północy i wschodu – kraje nordyckie, bałtyckie, Polska, ale też Niemcy – lada moment dojdą do wydatków 3,5 procent na obronność. Po drugiej stronie będą kraje południa, jak Hiszpania czy Włochy, które presji na zbrojenie się nie czują.

Ale na obronność trzeba teraz patrzeć szeroko, bo jej liczne elementów zależą od polityki unijnej. Sankcje to też część polityki bezpieczeństwa, a prze-

• Rolnicy protestują przeciw decyzji Komisji Europejskiej o przedłużeniu beczłowego handlu z Ukrainą i Zielonemu Ładowi. Warszawa, 27.02.2024 r. ielonego Ladu.

FOT. ADAM STĘPIEN /
AGENCJA WYBORCZA.PL

cież ich nie nakłada NATO. Albo narzędzia ekonomiczne i prawne do walki z flotą cieni na Bałtyku. To w wojnie hybrydowej działania równie istotne, jak surowa siła wojskowa dostarczana przez NATO.

Czy Ursuli von der Leyen uda się to wszystko ogarnąć? Dopiero przetrwała głosowanie nad wotum nieufności, w dużej mierze symboliczne, ale jednak niebezpieczne. Patrioci dla Europy, frakcja Orbána, już straszą, że jeśli szefowa Komisji Europejskiej nie będzie robić tego, czego oczekują, to złożą kolejny wniosek. Jak niestabilna jest jej pozycja?

– Całkiem stabilna. Większość, którą ma w europarlamencie, jest solidna i skonsolidowana. Wysadzić ją z siodła mogłaby wewnętrzna rebelia, ale to bardzo mało prawdopodobne.

Wiadomo, że nie wszyscy uwielbiają von der Leyen. Głównie dlatego, że kieruje Komisją żelazną ręką. Ogranicza przecieki, kontroluje prace zespołu, jest aptekarska. Należy raczej do silnych liderek, które czasami wyprzedzają swoich podwładnych o kilka kroków. Łatwo zrozumieć, że wielu się to może nie podobać.

Mam jednak wrażenie, że von der Leyen jest krytykowana nie za styl rządzenia, tylko za przystąpienie się do skrajnej prawicy. Czego kompletnie nie rozumiem, nic jej to nie daje, a Socjaliści i Demokraci czy Liberalowie już robią raban, że Ursula zdradza własnych koalicjantów.

– Skupmy się na faktach. Liderzy Europejskiej Partii Ludowej są bardzo ostrożni w decyzjach o głosowaniu razem z *far rightem* – i jeśli już się na to zdecydują, mają uzasadnienie.

Poprzednią kadencję von der Leyen zdominował Zielony Ład. Z Brukseli szła nawałnica regulacji, czasami nadmiarowych, które dzisiaj spotykają się z ogromną krytyką, głównie europejskiego biznesu. Przedsiębiorcy mówią, że muszą utrzymać konkurencyjność na światowych rynkach, a regulacje unijne ich krępują – i do pewnego stopnia mają rację. Dlatego teraz Komisja rewiduje niektóre z własnych ustaleń, co z kolei denerwuje Socjalistów, a przede wszystkim Zielonych.

Ale to wszystko technikalnia, bo zapominamy o tym, co powtarza sama von der Leyen: wyborcy mają swoje konsekwencje. Głosowanie do Parlamentu Europejskiego odbyło się rok temu, sam pamiętasz, jakie były wtedy nastroje w Europie. Sprzeciw wobec regulacji przechrzył układ sił w parlamencie na prawo i musimy się z tym pogodzić, działać w takich warunkach, jakie mamy.

To wyjdźmy z Europy, popatrzmy na nią z zewnątrz. Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, rok temu na Forum Alpach, zapytałem cię o ocenę europejskiej polityki zagranicznej wobec Bliskiego Wschodu. Powiedziałeś, że jest w gruzach. Minął rok, a ja mam wrażenie, że sytuacja tylko się pogorszyła, a to przecież nasze sąsiedztwo.

– Tu wciąż dostrzegam możliwości poprawy – ale głównie dlatego, że polityka Izraela idzie w kierunku, który coraz trudniej zaakceptować opinii publicznej na świecie. To, co dzieje się w Gazie, zmniejsza podejście ludzi nawet w takich krajach jak Niemcy czy Austria, co przecież było nie do pomyślenia. Stąd podział wewnątrz Unii wzdłuż linii poparcia lub nie Izraela, jest teraz znacznie łagodniejszy. Najbardziej proizraelskie głosy są teraz znacznie cichsze. Nie wiem, jakie stanowisko w tej kwestii ma Polska, ale skoro w Wiedniu, w Berlinie słyszeć krytykę Jerozolimy, to zmiana nastąpiła.

Niemniej minął rok i dalej jesteśmy w gruzach. Bo ta zmiana, choć na lepsze, nie wynika z woli, pomysłów i działań Unii, tylko zewnętrznych okoliczności.

Właśnie o to pytam. Unia straciła jakąkolwiek sprawczość na Bliskim Wschodzie. Komisarz Kaja Kallas negocjuje w Szwajcarii z szefem irańskiego MSZ, a Amerykanie wykorzystują to jako zasłonę dymną dla własnych bombardowań. Trudno jest mi wyobrazić sobie większe upokorzenie dyplomatyczne. Czy ktokolwiek słucha Europy na Bliskim Wschodzie?

– Oj słucha.

Naprawdę? Pokaż mi dowód.

– Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę, ale kiedy tylko Bruksela zaczęła wspominać o możliwości rewizji porozumienia handlowego z Izraelem, izraelscy dyplomaci zmobilizowali się jak nigdy dotąd. Mielśmy falę spotkań, lobbingu, wszystkiego naraz w każdej europejskiej stolicy – jednocześnie.

Wiadomo, że najważniejszym graczem na Bliskim Wschodzie są Stany Zjednoczone, głównie z powodu współpracy Tel Awiw-Waszyngton, ale też dlatego, że Bibi Netanjahu rozgrywa amerykańską opinię publiczną, jak chce, a Trump pozwala mu na wszystko. Ale Izrael nie może sobie pozwolić na utratę porozumienia z Unią. Natychmiast zaczęły zabiegać o spotkanie z Kaja Kallas.

Carl, przepraszam cię, ale mam wrażenie, że kręcimy się w kółko. Pytam o instrumenty strategiczne Unii, ty je wskazujesz, ale obaj wiemy, że Unia ich nie używa. Na Bliskim Wschodzie to widać jak na dłoni. Przecież najbardziej konkretną groźbą Brukseli pod adresem Izraela była możliwość zawieszenia udziału Tel Awiwu w projektach naukowych z programu Horyzont. Josep Borrell, poprzednik Kallas, powiedział, że to nie groźba, tylko żart. A Bibi śmieje się nam wszystkim w twarz.

– Izraelczycy przyjęli ten żart śmiertelnie poważnie. Groźbę rewizji całego porozumienia Unia-Izrael potraktowałiby jeszcze poważnie. Mamy narzędzia wywierania presji, tylko wiemy, że nie można ich nadużywać.

Nie mówiąc o tym, co dzieje się na poziomie państw narodowych. Mam na myśli dążenie do uznania palestyńskiej państwowości, którego motorem są Francuzi, Hiszpanie, Irlandczycy. To oczywiście kompetencja własna państw członkowskich, Unia nie może tego zrobić, ale nie ma wątpliwości, że te deklaracje i wszystko, co dzieje się w rządowych gabinetach, odbija się na Izraelu. A skala tej inicjatywy rośnie. We wrześniu jest przecież Zgromadzenie Ogólne ONZ, na którym wszystkie europejskie państwa G7, może poza Włochami, będą mówić o uznaniu Palestyny. To robi różnicę. Wiadomo – mówimy o instrumentach politycznych, dyplomatycznych, nie o twardej sile wojskowej, ale one nie są bez wartości.

To wróćmy na chwilę bliżej nas. Pogadajmy o Partnerstwie Wschodnim, którego byłeś współautorem razem z Radkiem Sikorskim. Naprawdę udanym projektem, mało było tak udanych przedsięwzięć w historii Unii. Ale kiedy patrzymy na unijną bliską zagranicę, Ukrainę w ogniu, Gruzję pod rosyjskim butem, Serbię rozgrywaną przez Moskwę i Pekin, to chyba niewiele zostało z waszego projektu?

Von der Leyen kieruje Komisją Europejską żelazną ręką. Ogranicza przecieki, kontroluje prace, jest aptekarska. Należy do silnych lidererek, które wyprzedzają podwładnych o kilka kroków. Wielu się to może nie podobać

– Partnerstwo Wschodnie miało olbrzymie znaczenie, bo w tamtym okresie skierowało unijną politykę na nowe tory. Przecież kilkanaście lat temu nie można było nawet myśleć o akcesji Ukrainy. To w Brukseli był temat tabu. Jednocześnie coś trzeba było zrobić, żeby zadbać o nasze interesy na wschodzie, żeby te państwa przyciągnąć w naszą stronę – i Partnerstwo Wschodnie spełniło tę rolę.

Dzisiaj panorama wygląda inaczej. Białoruś jest z oczywistych względów poza perspektywą Unii, Gruzja też idzie w inną stronę. Mołdawia nie ma rozpoczętego procesu akcesyjnego. Ale z Ukrainą rozpoczęliśmy rozmowy o akcesji. Dzisiaj po prostu mówimy nie o miękkiej dyplomacji jak w ramach Partnerstwa, tylko wprost o rozszerzeniu. Ukraina jest w centrum projektu, ale Balkany Zachodnie także.

Ukraina w Unii jest w ogóle realna? Przy obecnych tendencjach politycznych, przy protestach nie tylko polskich rolników?

– Mateusz, ukraińska gospodarka stanowi może 2 procent gospodarki całej Unii. Ona wygląda imponująco na mapie, ale gospodarczo jest malutkim graczem. Jasne, będą protesty francuskich czy polskich rolników. Ale jestem w polityce na tyle długo, że pamiętam, kiedy mówiło się o wejściu Hiszpanii do Unii jako o egzystencjalnym zagrożeniu dla rynku rolniczego. Nawet Szwecji się bano, nie mówiąc o hysterii przed akcesją Polski...

Tylko że wtedy główny nurt w Europie był jednoznacznie prounijny. Wróć do pytania z początku – czy Unia ma jeszcze sens? Coraz więcej poważnych obserwatorów boi się, że przekształci

się w jakieś polityczno-instytucjonalne zombie, reprezentacyjną czapę, w której samodzielne królestwa, pomniejsze księstwa i hrabstwa będą grać na sobie, zawierając egoistyczne sojusze? Socjalne państwa nordyckie, wyszehradzkie hrabstwo MAGA, zubożale Południe...

– Poczekajmy z takimi diagnozami, bo bardzo wiele się może wydarzyć. Za rok są na przykład wybory na Węgrzech...

...wierzysz, że będą uczciwe? Przecież Orbán nie pozwoli na własną porażkę.

– ...i na razie wszystko wskazuje, że przegra. Inna sprawa, czy odda władzę.

Sytuacja w Europie Środkowo-Wschodniej jest nieciekawa, ale z drugiej strony tutejsze gospodarki, poza węgierską, radzą sobie dobrze. Węgrzy są w kłopotach, bo nie mają dostępu do środków unijnych, chcieli to zrekompensować inwestycjami z Chin, ale one nie wyszły poza symboliczne gesty.

Ci wszyscy prawicowi liderzy są mocni w gębę. Ale nikogo z nich, czy mowa o Meloni, czy Orbánie, nie stać na funkcjonowanie poza Unią. Kto wyprowadzi swój kraj ze Wspólnoty, jest natychmiast politycznie martwy. Ci, którzy jeszcze nie rządzą lub nie rządzą, mogą buńczucznie deklorować, że nie ulegną presji rzeczywistości, i nawet w to wierzyć. Ale każdy prawicowy polityk, który przeżywa zderzenie narracji ze światem realnym, zmusza się do bardziej konstruktywnego podejścia.

Dużo się zmieni w najbliższych latach w Unii – i dobrze. Wcześniej czy później staniemy się blokiem nie 27, a ponad 30 państw. Dlatego musimy zmienić nasze instytucje i sposób podejmowania decyzji. Komisja Europejska z 35 komisarzami nie zadziała. Trzeba znaleźć nowy model.

Potrzeba bardziej agresywnego podejścia do zawierania nowych umów handlowych – z Ameryką Łacińską, Australią, Nową Zelandią. Musimy wreszcie sfinalizować rozmowy z Indiami. I trzeba nauczyć się, jak stawiać się naszym przeciwnikom. Nie wszystko uda się zrobić, na Bliskim Wschodzie nie osiągniemy naszych celów tak łatwo, powstrzymanie Putina też nie będzie proste.

Ale to wszystko jest osiągalne. A Unia się zmienia, gwarantuję ci to. ●



FOT. JOAKIM BERNDES/ CC BY-SA 4.0

Carl Bildt

• szwedzki premier (1991-94) i minister spraw zagranicznych (2006-14), odpowiedzialny za proces akcesji Szwecji do Unii Europejskiej. Był specjalnym wysłannikiem Unii do spraw byłej Jugosławii oraz Wysokim Przedstawicielem ONZ do spraw Bośni i Hercegowiny. Współprowadził konferencję pokojową w Dayton w 1995 roku. Współprzewodniczący Europejskiej Rady do spraw Stosunków Międzynarodowych (ECFR).

We wrześniu przyjedzie do Polski na zaproszenie Impact CEE – kolejnej odsłony międzynarodowego kongresu nazywanego „polskim Davos”, w którym biorą udział eksperci i ekspertki z największych globalnych firm i organizacji z całego świata związani z zarządzaniem, polityką, prawem i nauką.

REKLAMA

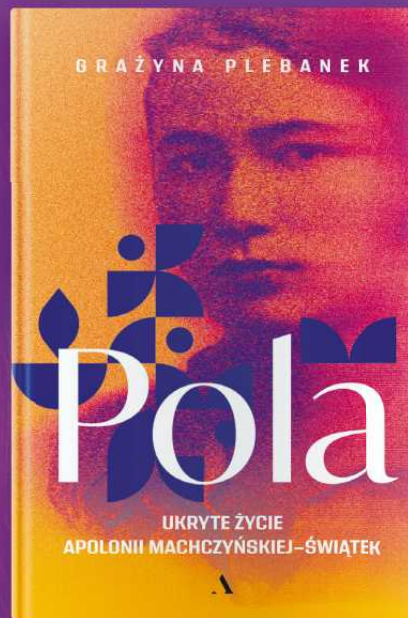
Kraj/34390573

Rozstrzelana przez nazistów w 1943 roku za ukrywanie Żydów. Rzekomo w wyniku tragicznego wyboru ojca: on albo córka. Jej biografia, przez lata okryta rodzinnym milczeniem, z czasem stała się publiczna – została opisana w słynnym reportażu i przeniesiona na deski teatru. Jednak opowieść o śmierci Apolonii Machczyńskiej-Świątek nie oddaje prawdy o jej życiu.

**BIOGRAFIA BOHATERKI NASZEJ
ZBIOROWEJ HISTORII,
ODKRYTA PRZEZ JEJ WNUCZKĘ,
GRAŻYNĘ PLEBANEK**

W KSIĘGARNIACH OD 27 SIERPNIA

FOT. EMIL BILIŃSKI



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA

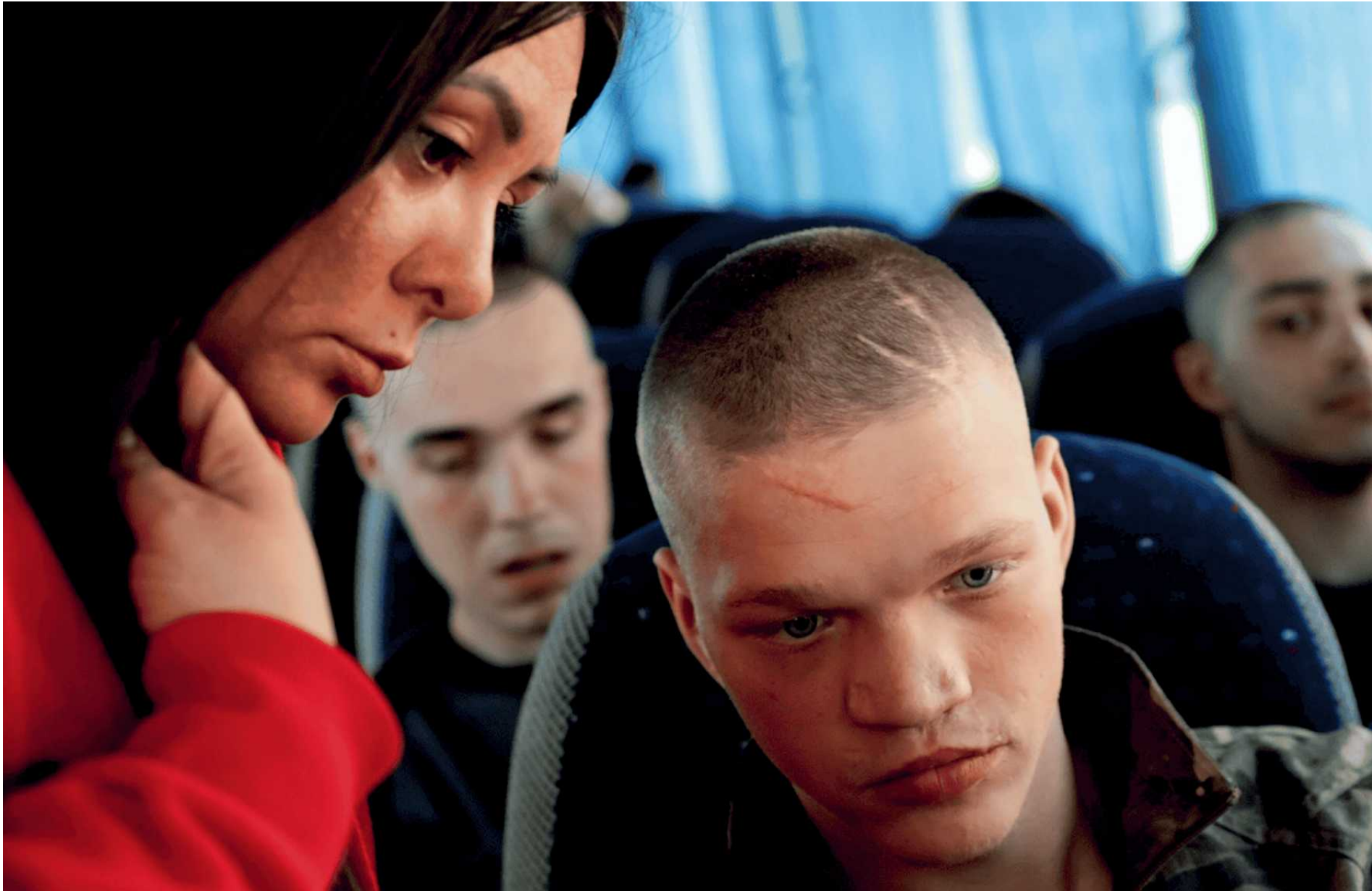


WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl



Wydawnictwo
Agora

Trudne POWITANIE



• Irina Krynina, szefowa organizacji „Nasz wychod” odwiedzą rosyjskich jeńców w Ukrainie i pomaga rodzinom w Rosji znaleźć bliskich wśród nich FOT. NVYHOD.ORG

Powinnam była siedzieć w Krasnojarsku i czekać. A ja przyjechałam i postawiłam go przed wyborem: Ukraina czy Rosja, ja czy mama.

Z **IRINĄ KRYNINĄ**, ROSJANKĄ SZEFUJĄCĄ UKRAIŃSKIEJ ORGANIZACJI „NASZ WYCHOD” ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

WIKTORIA BIELIASZYN: Pani przeprowadziła się do Ukrainy z miłości.

IRINA KRYNINA: Można tak powiedzieć. Przyjechałam tu, by uwolnić partnera, który został zmobilizowany, wysłany na front, a następnie wzięty do niewoli.

Jak to możliwe, że pani się udało do Ukrainy z rosyjskim paszportem dostać?
– Pomogli mi w tym Ukraińcy. Kiedy Jewgienij trafił do niewoli, zorientowałam się, że na pomoc ze strony rosyjskich władz nie ma co liczyć. Zaczęłam więc szukać jej w Ukrainie.

Jewgienij Kowtkow, bo to o nim mowa, nie był pani mężem. Poznaliście się kilka miesięcy przed wybuchem dużej wojny.

– Poznaliśmy się, kiedy byłam jeszcze młodą kobietą. Mąż bez przerwy wyjeżdżał w delegacje. Kiedy przyjeżdżał do domu, żyliśmy jak sąsiedzi. Nie chciałam takiego życia. Zarejestrowałam się na portalu randkowym, krótko potem poznałam Żenię.

Zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Czulałam, że spotkałam w końcu prawdziwego faceta: z natury jestem buntowniczką, a Żenia ma charakter jeszcze twardszy niż mój. Po niespełna pół roku randkowania Żenia powiedział, że chce założyć ze mną rodzinę, mieć syna. Złożyłam pozew o rozwód, ale to nie jest taka szybka procedura. Kiedy formalnie odzyskałam wolność, Żenia został już zmobilizowany na wojnę w Ukrainie.

I co pani zrobiła?

– Kiedy tylko Putin ogłosił tzw. częściową mobilizację, od razu powiedziałam Żeni: „posłuchaj, przeprowadź się do mnie albo na jakiś czas do znajomych, do wynajmowanego mieszkania. Nie możesz teraz mieszkać pod adresem zameldowania, bo cię znajdą”. A on się na mnie zdenerwował: „No cóż, jak przyjdzie wezwanie,

to pójdę, nie jestem tchórzliwym szczurem”.

Wezwanie rzeczywiście przyszło.

– Tak, kilka dni po tamtej rozmowie, w pierwszym tygodniu po ogłoszeniu Putina, Żenia dostał wezwanie na komisję wojskową. Strasznie się wtedy pokłóciliśmy, bo zakomunikował mi, że się zgłosi. Pytałam go: „Dokąd ty się wybierasz? Czy ktoś w ogóle napadł na Rosję?”.

Mówiłam mu, że pojedzie do obcego kraju zabijać ludzi, którzy też mają rodziny, też mają matki. Tłumaczyłam mu też, że w wezwaniu nawet źle napisali jego nazwisko, więc jeśli się nie zgłosi, to nic się nie stanie, będzie mógł się wybronić.

On nie słuchał i oczywiście, jak głupek, poszedł następnego dnia z samego rana do komendy uzupełnień. A już wieczorem wysłali go na szkolenia do Omska.

Chciał brać udział w wojnie? Niektórzy chcą, sami się zgłaszają, kusi ich wysokie wynagrodzenie.

– Żenia z zawodu jest elektrykiem, on bardzo dobrze w Krasnojarsku zarabiał, ma swoje mieszkanie, samochód. Niczego mu nie brakowało. Zresztą, wiem na pewno, że nie chciał walczyć. Żenia odbył obowią-

zkową służbę wojskową, więc latem, jeszcze przed ogłoszeniem przez Putina mobilizacji, był wzywany do komendy uzupełnień. Wtedy proponowano mu podpisanie kontraktu, ale odmówił.

Pani rozumie tę zmianę, jaka w nim zaszła?

– Nie powiedziałabym, że to zmiana. On nawet teraz jest przeciwko wojnie, uważa, że to nie ma sensu. Kiedy z nim o tym rozmawiałam, tłumaczył, że składał przysięgę, że nie jest tchórzem.

Wiem też, że jego matka pracowała jako pielęgniarka na wojnie w Afganistanie. Z kolei jego ojciec, z którego był dumny, pracował jako strażak, wielokrotnie ratował ludzi z pożarów.

I te reklamy, które można zobaczyć w całej Rosji: wielkie plakaty z małymi dziećmi, które zwracają się do mężczyzn z prośbą, by ratowali dla nich ojczyznę przed wrogiem. Myślę, że to wszystko na niego po-działo. Nie chciał, żeby ktoś pomyślał, że jest tchórzem albo że jest niemęski.

No i on nie myślał, że trafi na front. Na komisji wojskowej mówili mu, że będzie na tyłach, że potrzebni są ludzie do wzmocnienia granicy. Obiecywali, że to kwestia kilku miesięcy i powtarzali, że to przecież obowiązek wobec ojczyzny.

Mieliście kontakt, kiedy był się na szkoleniu?

– Na początku tak. Pewnego razu napisał mi, że jeśli chcę zrozumieć, co się w armii dzieje, to powinnam przeczytać „Przekleństw i zabitych” Wiktora Astafjewa, jego ulubionego pisarza, o codziennym życiu rosyjskich poborowych podczas II wojny światowej. Żenia mówił, że wszystko wygląda dokładnie tak samo.

Po miesiącu szkolenia wystali go do Ukrainy, został przydzielony do wojsk powietrznodesantowych. Wykorzystywali tam jego umiejętności elektryka, mówił, że odpowiadał za jakieś wzmacniacze sygnału. Myślę, że też dzięki temu udawało nam się być w stałym kontakcie. Codziennie wymienialiśmy wiadomości.

Ale potem, na początku czerwca 2023 roku, przenieśli go do Bachmutu. Wiedziałam, że to bardzo niebezpieczny kierunek, że toczą się tam ciężkie walki i miasto jest całkowicie zniszczone. Tam już nie było możliwości utrzymania łączności.

W ostatniej wiadomości, jaką od niego dostałam pisał, że wszystkich ich gdzieś zabierają. I tyle, kontakt się urwał. To był po prostu miesiąc piekła. Codziennie wchodziłam do Internetu, codziennie czytałam o Bachmucie – co tam się dzieje, jakie trwają walki.

Chodziłam do komendy uzupełnień, ale nikt nic mi nie chciał powiedzieć. Słyszałam tylko: „Jest pani konkubina, proszę przyjąć z jego siostrą albo z mamą”.

Jak dowiedziała się pani, że trafił do niewoli?

– Zupełnie przypadkowo. Z ukraińskich kanałów w Telegramie. Obserwowałam nie tylko media i blogerów, ale też kanały prowadzone przez poszczególne ukraińskie brygady. Jeden z nich opublikował nagranie, na którym Ukraińcy brali grupę Rosjan do niewoli. Żenia był wśród nich.

To było wcześniej rano, zadzwoniłam do mamy Żeni i pobiegłyśmy do biura komisji wojskowej. Urzędnik przyjął od nas tę informację, chłodno powiedział, że nam współczuje i tyle. A dla mnie zaczęło się siedem kręgów piekła.

Co ma pani na myśli?

– Przez miesiąc próbowałam doprowadzić do tego, by Jewgienij został oficjalnie uznany za jeńca wojennego. Chodziłam od urzędu do urzędu, ale w Krasnojarsku niemal od razu dali mi do zrozumienia, że to nie ich sprawa i trzeba uderzać wyżej, do Moskwy.

Zwróciłam się więc do resortu obrony, prokuratury wojskowej, rzecznika praw obywatelskich, poszczególnych deputowanych Dumy Państwowej. Pisałam też apele do dowódców, ministra obrony, a nawet do Putina. Wszystko na nic.

Filmik, na którym wyraźnie widać, że Jewgienij jest brany do niewoli nie był dla władz wystarczającym dowodem. Mówili, że to może być fake albo montaż. Tłumaczyli mi, że mogą uznać go za jeńca wojennego dopiero, kiedy wpłynie raport jego dowódcy i zeznania świadków, czyli innych żołnierzy, którzy potwierdzą, że Żeni zabrali Ukraińcy.

A raport nie wpływał.

– To zrozumiałe: rosyjscy dowódcy nie chcą psuć statystyk, nie zgłaszają takich rzeczy, człowiek może być od dawna w niewoli, a oficjalnie nadal bierze udział w działaniach wojennych i wszystko z nim w porządku. To samo dotyczy tych, którzy zaginęli albo wręcz zginęli. Władze nie uwzględniają ich często w rejestrze poległych czy zaginionych, tylko oskarżają o „samowolne opuszczenie jednostki”. Dzięki temu nie tylko nie psują statystyk, ale też unikają wypłacania odszkodowań.

Ale ja widziałam nagranie na własne oczy, więc nie byli w stanie mnie okłamać ani splawić. Dzwoniłam codziennie do jednostki, ale za każdym razem otrzymywałam tę samą odpowiedź: toczą się cięż-



• Ukraińscy żołnierze uwolnieni z rosyjskiej niewoli przechodzą obok krewnych zaginionych żołnierzy trzymających ich portrety. 4 lipca 2025 r., Ukraina

Jewgienij trafił do niewoli, zorientowałam się, że na pomoc rosyjskich władz nie mam co liczyć. Zaczęłam szukać jej w Ukrainie

kie boje, nie ma kontaktu w dowództwie, a nagranie nie jest dowodem.

Po miesiącu uznałam, że nie mam już siły walczyć oficjalnymi kanałami, więc opublikowałam wpis w telegramowym czacie „Nie żdi mienia iz Ukrainy” [„Nie czekaj na mój powrót z Ukrainy” – pol.], bo dowiedziałam się, że wśród członków są też jego koledzy z jednostki.

Opisałam całą sytuację i poprosiłam, by mi pomogli. Kilka dni później mama Żeni otrzymała oficjalny komunikat, z którego wynikało, że jej syn trafił do niewoli.

To panią uspokoiło?

– Początkowo tak. Poczulałam ulgę. Przede wszystkim miałam stuprocentową pewność, że Żenia żyje i jest cały: na nagraniu widziałam przecież wyraźnie, że nie jest ranny, że ma ręce, nogi...

Wydawało mi się, że teraz już będzie łatwiej. Zaczęłam znów dzwonić do resortu obrony, prokuratury wojskowej, Czerwonego Krzyża, deputowanych, fundacji „Obrońcy Ojczyzny”, prezydenta... Pytałam, kiedy sprowadzą Żenię do domu, ale usłyszałam, że to tajna informacja, a władze „podejmują skuteczne działania”. Cze-kałam, ale nic się nie działo.

Co było dalej?

– Bardzo mnie frustrowała ta sytuacja i poczucie bezsilności. Mama Żeni mówiła, że wszystko samo się wyjaśni, a ja nie mogłam czekać, musiałam działać. Zaczęłam publikować w Internecie nagrania, na których opowiadałam o Żeni, mówiłam, że jest jeńcem wojennym i że nie jest uwzględniany w wymianach.

Opowiadałam też o reakcjach władz, o tym, że krewni więźniów są ignorowani i odprawiani z kwitkiem, że nie wiadomo do kogo się zwrócić, bo obowiązują „tatyka psychologii”. Wkrótce zaczęły pisać do mnie żony i matki innych zmobilizowanych. Miały takie same problemy. Ich historie też zaczęłam w Internecie nagłaszać.

Pani się czegoś nowego dowiedziała wtedy o Rosji?

– Chyba dopiero wtedy zrozumiałam, jak bardzo władze nami wszystkimi gardzą. Rozmawiając z krewnymi innych zmobilizowanych dowiedziałam się, że traktują nas jak biomasę. Nie obchodzą ich ani żołnierze, ani jeńcy. Ani ci, którzy zginęli – ich ciała nawet nie zabierają z pola walki.

Wtedy dotarło do mnie, że nie chcę dłużej w Rosji mieszkać. I że na większą pomoc mogą liczyć ze strony Ukraińców.

Jak udało się pani z nimi skontaktować?

– Proszę mnie nie pytać jak, ale znalazłam kontakt do dowódcy, którego podwładni brali Jewgienija do niewoli. Udało nam się porozmawiać. W tamtym momencie, kiedy nie wiedziałam nic i nie miałam pojęcia, co robić, to była pierwsza osoba, która powiedziała mi coś konkretnego.

Nie bała się pani tej rozmowy? W końcu pani, obywatelka kraju agresora, dzwoniła do ukraińskiego wojskowego.

– Ja wtedy po prostu chciałam za wszelką cenę dowiedzieć się czegośkolwiek o Żeni. Dowódca nie był dla mnie chamski, spokojnie ze mną rozmawiał, zapytał mnie tylko w pewnym momencie, dlaczego puściłam Żenię na wojnę. Odpowiedziałam, że byłam przeciwna.

Zaczęłam szukać kontaktów do ukraińskich organizacji i fundacji, choć bałam się, że tak jak rosyjskie, będą mnie ignorować albo w ogóle nie zechcą rozmawiać. Było odwrotnie.

W jednej z nich powiedziano mi, że jest program „Zwróć syna matce”, w ramach którego i ja, jako jego partnerka, mogłabym przyjechać do Ukrainy. Od razu wysłałam Ukraińcom skany dokumentów i czekałam na wyniki weryfikacji.

Nie bała się pani?

Bardzo się bałam, bo rozumiałam, że to podróż w nieznaną i w jedną stronę. Bałam się jechać do kraju, w którym trwa wojna,

w którym nigdy wcześniej nie byłam. Nie wiedziałam, co dalej.

W dodatku mam dwie małe córki, musiałam je ze sobą zabrać.

Wiedzieli, dokąd jedziecie?

– Nie mogłam im powiedzieć. Im, wszystkim znajomym i w pracy – jestem księgową – powiedziałam, że wyjeżdżamy na tydzień na wczasy last minute do Turcji. Zapakowałam całą walizkę kostiumów kąpielowych, kupiłam dmuchany materac, i kółka. Trochę ze względu na dzieci, bo bałam się, że gdyby знаły prawdę, to mogłyby wszystko wypaplać.

Ale w dużej mierze też ze względu na służby. Wiedziałam przecież, że mogli mnie już przyuwać i że ta moja aktywność w sprawie jeńców wojennych władzom się nie podobała. Działacze z ukraińskich organizacji, którzy mi pomogli, też mówili mi, że bym uważnie wyczyściła telefon i przygotowała się na wypadek kontroli.

Bałam się więc, że mnie nie wypuszczą z kraju albo zatrzymają i aresztują. Kiedy na granicy kazali odejść mi na bok i poczekać, myślałam, że zejdę na zawał. Byłam pewna, że skoro wszystkich przepuszczają, a mnie nie, to coś złego się wydarzy. Ale po 20 minutach pozwolili nam wejść do samolotu.

Kiedy dzieci dowiedziały się, że lecą nie na wakacje, tylko do Ukrainy?

– Już w Stambule. Strona ukraińska poinformowała mnie, że mam zgłosić się do ambasady, wystąpić o wizę. Czekaliśmy tam kilka dni, a później poleciałyśmy do Kiszyniowa. Tam czekał na nas Dmytro Karpenko, ukraiński dziennikarz i bloger z organizacji „Szukaj swoich”. Jej celem jest identyfikacja jeńców i poległych rosyjskich żołnierzy, a także nawiązanie kontaktu z ich bliskimi. Samochodem ruszyliśmy do Odesy, a potem – do Kijowa.

Nie uprzedziła pani nawet rodziny?

– Nie mam rodziny, jestem jedynaczką, moi rodzice nie żyją.

Jak zareagowały pani córki?

– Na początku bardzo się martwiły, bo wiedziały, że w Ukrainie trwa wojna. Uspokajałam je, mówiłam, że nie jedziemy w stronę działań wojennych, tylko do Kijowa.

I jak dzieci z Rosji odnalazły się w ukraińskiej szkole?

– Kiedy zapisywałam je do szkoły, nauczycielka od razu powiedziała mi, że 70 proc. dzieci w klasie ma bliskich w armii. I że nie może powiedzieć im, że moje córki są Rosjankami. Ale nie wszyscy nauczyciele wykazali się takim zrozumieniem. Jedna już pierwszego dnia, w obecności wszystkich dzieci, zapytała moją córkę, czy wszystko rozumie, skoro przyjechała z Rosji. To był szok i dla mojej córki, i dla wszystkich dzieci w klasie. Ale rozeszło się to po kościach.

Dziewczynki tęsknią za przyjaciółmi w Rosji. Jedna z koleżanek starszej córki napisała, że jej rodzice zabronili im się kontaktować z powodu naszej przeprowadzki do Ukrainy. Córka, oczywiście, jest bardzo zmartwiona.

Pani też nie miała problemów?

– Mnie tu przyjęto bardzo ciepło i wdzięczna jestem za tę możliwość i pomoc. Jakieś nieprzyjemne sytuacje czy incydenty się zdarzają, ale nie ma co o nich mówić. A jeśli chodzi o bliskich z Rosji, to niektórzy mnie rozumieją i wspierają. Inni, którzy wierzą w propagandzie – nie.

Spotkała się pani z Jewgienijem. Wasze pierwsze spotkanie było trudne. Jewgienij nie ucieszył się, wręcz przeciwnie, zdenerwował.

– To spotkanie było dla nas trudne. Projekt „Chcę żyć”, dzięki któremu mogłam przyjechać do Ukrainy postawił warunek: pierwsze spotkanie odbędzie się przed kamerami. A Żenia nie wiedział, że przyjechałam do Kijowa. To był dla niego szok. Kiedy mnie zobaczył, pytał: „Ira, po co?”. Podczas tego spotkania Żenia głównie milczał, opuścił głowę, prawie nic nie mówił. Siedziałam obok i czułam, że cały się trzęsie. Mam świadomość, że jego zdaniem powinnam była siedzieć w Krasnojarsku i czekać. A ja przyjechałam i postawiłam go przed wyborem: Ukraina czy Rosja, ja czy mama.

Zaskoczyło to panią?

– Kiedy po nim jechałam, byłam przekonana, że po tym, jak na własnej skórze odczuł, jak rosyjskie władze traktują ludzi i że widzą w nich mięso armatnie, wszystko zrozumiał. Tym bardziej, że wiedziałam już wtedy, że chłopaki z jego oddziału nagrywali filmiki, w których skarżyli się na ciężkie warunki, na brak amunicji.

Myślałam, że po takich doświadczeniach nie będzie nawet myślał o powrocie do Rosji i że zostanie ze mną w Ukrainie. Ale on mówił głównie o tym, że ja mu tylko przysporzyłam problemów, że będzie miał przez moją działalność i przyjazd kłopoty. Powiedział też, że nie chce po wyjściu z niewoli mieszkać w Ukrainie. Szybko okazało się, że inne kraje też nie wchodzą w grę, bo kiedy powiedziałam mu, że można postarać się o to, by wyjechać gdzie indziej, odmówił.

Później się rozstaliście.

– Tak, bo Żenia chce wrócić do Rosji, a ja nie mam tam powrotu. I nie chcę tam wracać, dopóki obowiązuje tam reżim. Z kolei Żenia mówi, że nie chce być zdrajcą i że chce wrócić do ojczyzny, do rodziców, którzy są już starzy i go potrzebują. Tłumaczył mi też, że nie jest cywilem, tylko wojskowym i że ma w związku z tym zobowiązania. Ja go nie rozumiem, bo skoro jest przeciwko wojnie, to czemu nadal czuje się żołnierzem? Ostatnio widzieliśmy się w maju. Powiedział mi wtedy: Gdybym wiedział, nigdy w życiu nie poszedłbym na tę wojnę. Zrobiłbym wszystko co w mojej mocy, żeby na nią nie pójść.

Jak pani się z tym czuje?

– Jest mi trudno, chodziłam przez pewien czas na terapię. No i nadal mu pomagam. Przecież Jewgienij, mimo wszystko, nie jest mi obcy. Wysyłam mu regularnie paczki

Dzisiaj jest pani znana – w Telegramie obserwuje panią kilkadziesiąt tysięcy osób. „Nasz wychód” [Nasze wyjście], ukraińska organizacja, której pani szeptuje, pomaga uzyskać rosyjskim jeńcom wojennym oficjalny status w Rosji i powrót do domu. Władze rosyjskie uznały panią za „agenta zagranicy”. Jak powstała ta organizacja?

– Zrozumiałam, że mam możliwość pomagania Rosjankom, które są dzisiaj w takiej sytuacji, w jakiej byłam ja. W Ukrainie mam więcej możliwości. „Nasz wychód” założyłam z mieszkającymi w Ukrainie Rosjankami – działaczką Olgą Rakową i dziennikarką Wiktorią Iwlewą. Uruchomiliśmy grupy na Telegramie, na Facebooku, kanał na YouTube. Teraz współpracujemy z projektem „Chcę znaleźć”. Daje nam rzetelne informacje o jeńcach wojennych, których Rosjanie nigdzie indziej nie mogą uzyskać.

A co to za projekt?

– To jest państwowy ukraiński projekt, który powstał przy Koordynacyjnym Sztabie ds. Spraw Jeńców Wojennych. Można się do nas zgłaszać przez specjalny czat. Zbieramy wszystkie niezbędne informacje: nazwisko, imię, imię ojca, datę urodzenia, miejsce, gdzie zaginął, przybliżoną datę zaginięcia, numer znaczka, numer telefonu kon-

taktowego, zdjęcie, szczególne cechy. Zbieramy także kontakty do krewnych, by – jeśli uda nam się daną osobę w obozie dla jeńców odnaleźć – móc zadzwonić. Pomagamy też krewnym zmarłych. To bardzo trudne, wielu nie wierzy. Ale pomagamy, jak możemy, aby mogli odzyskać ciała i pochować je.

Pani jest ukraińskim władzom potrzebna?

– Uważam, że tak. Rosja nie udziela Ukraińcom żadnych informacji na temat tego, kogo więzi. W procesie wymian bardzo często wracają Ukraińcy, o których nikt nie wiedział – ani koordynacyjny sztab, ani krewni – że są w niewoli. Jedyną szansą Ukrainy na odzyskanie swoich ludzi są wymiany jeńców. I im więcej rosyjskich jeńców wojennych będzie miało w Rosji status jeńców, tym większa szansa na powrót Ukraińców do domu: chodzi o to, by ta pula do wymiany była oficjalnie jak największa, a więc zgodna z rzeczywistymi liczbami.

Rosyjskim władzom zależy na czymś dokładnie odwrotnym. A jak odnoszą się do pani zwykli Rosjanie?

– Do mnie piszą głównie żony, matki i siostry rosyjskich żołnierzy, którzy albo są w niewoli, albo zaginęli. Często podkreślają, że jestem ich ostatnią nadzieją, bo władze – tak jak i mnie wcześniej – odsyłają je z kwitkiem. Mówią przy tym, że ich zastraszano. Urzędnicy podkreślali, że do mnie nie wolno się zgłaszać, ale one i tak to robią, bo czują, że nie mają innego wyjścia. Zdarzają się historie, kiedy ktoś zgłasza się po raz drugi. Ostatnio napisała do mnie pewna kobieta: „Irina, nie myślałam, że kiedykolwiek jeszcze do pani napiszę”, zaczęła. Okazało się, że jej syn, który jakiś czas temu został wymieniony, znów trafił na front i przepadł bez śladu. Ta kobieta była zrozpaczona, podkreślała, że nie dali mu wyboru, że nawet go nie widziała. Po tym, jak wrócił do Rosji odesłali go z powrotem. To powszechna praktyka.

A może ci ludzie chcą wrócić na front?

– Nie, nie znam takich. Nie brakuje wręcz takich, którzy składają oświadczenie, w którym odmawiają udziału w wymianie i czekają na zakończenie działań wojennych. Bo rozumieją, że lepiej, żeby posiedzieli w niewoli i przeżyli. Tacy też są. Wiem, że 99 proc. chce wrócić do swoich bliskich. Przeżyli wojnę, przeżyli niewolę, i marzą o spokojnym życiu. Ale władze traktują ich jak mięso armatnie.

Pani jest w stanie zrozumieć, dlaczego ludzie w Rosji na to przyzwalają?

Po pierwsze się boją. I boją się nie od dzisiaj. Pamiętam, jak chciałam wyjść na protest, kiedy Aleksiej Nawalny wrócił do Rosji i kiedy od razu go aresztowano. Mój mąż mi wtedy zabronił. Nie dlatego że uważał, że

władze postępują słusznie. Tłumaczył mi, że co mi to da, jeśli wyjdę? Mówił, że pobią mnie, zatrzymają, wsadzą, a co z dziećmi, skoro on ciągle wyjeżdża? Kiedy jeszcze mieszkalam w Krasnojarsku, miałam wrażenie, że ludzie wokół mnie nie zauważają, że wojna w ogóle trwa. Nikt o tym nie mówił. A kiedy wyjechałam i stało się jasne, gdzie jestem, zaczęli pisać do mnie wiadomości, wyrażać poparcie. No i – będę brutalna – część ludzi władze zwyczajnie kupiły. Żołnierze dostają duże wynagrodzenie. A za poległych władze wypłacają teraz ogromne pieniądze. Wiele osób ze wsi i wiosek nigdy w życiu takich pieniędzy nie widziało. Niezależnie od tego, co stanie się z ich bliskim, ta wojna, to możliwość zmiany ich poziomu życia na znacznie lepszy.

Nawet, jeśli mąż zginie?

– Jeśli spojrzy się na to z dystansu, to można to jakoś zrozumieć. Weźmy taką żonę, której mąż pije, bije ją, poniża, nie zarabia. I nagle idzie na wojnę. Nie dość, że taka żona odetchnie, bo w końcu w domu jest spokój, to jeszcze on zarobi pieniądze, dzięki którym ona może żyć komfortowo. Oczywiście są rodziny, które się kochają i dla których ta wojna, śmierć bliskiego człowieka, to największa tragedia.

Jeździ pani do ośrodków, w których przetrzymywani są jeńcy wojenni. Jacy oni są?

– Usprawiedliwiają się, mówią, że są niewinni, że nie wiedzieli, nie myśleli. Na początku wierzyłam. Ale kiedy porozmawiałaś już z tysiącem jeńców wojennych, a oni wszyscy mówią, że nie zabili ani jednego Ukraińca, no to dociera do ciebie, że coś tu jest nie tak. To jak to w takim razie możliwe, że tylu ich zginęło? Z kim bym nie rozmawiała, nikt nie zabijał. Dopiero niedawno, dosłownie jeden mężczyzna powiedział mi, że tak, zabił. Że zrobił to, by jego nie zabito. Najczęściej to ludzie bez wykształcenia albo po szkole średniej. Powiedziała-bym, że to osoby, które nie bardzo się czymkolwiek w życiu interesują, nie czytają wiadomości, nie rozumieją polityki. Uważam, że Rosjanin, który cokolwiek rozumie, zrobił wszystko, co w jego mocy, aby nie pójść na wojnę.

Na froncie są ci, którzy nie rozumieją i którymi łatwo można zarządzać. Wśród nich bardzo dużo jest też byłych więźniów. Kiedy z nimi rozmawiam, to niemal zawsze słyszę, że nie chcieli walczyć, że myśleli, że będą kopać okopy. Usprawiedliwiają się po prostu.

Usprawiedliwiają się jak pani Żenia.

– On jednak został zmobilizowany przymusowo. Mam nadzieję, że nie jest takim człowiekiem.

Jak pani widzi swoją przyszłość?

Na razie w ogóle o tym nie myślę.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34390895

REKLAMA

MECENASI
STRATEGICZNI:

 PANATTONI

 ROBERT
DOBRZYCKI
fundacja

MECENAS:

 ORLEN

WSPÓŁORGANIZATOR
GALI:

 TVP

Najważniejsza polska nagroda literacka:

- nominowane książki
- recenzje
- wywiady z autorami

 Nike
Nagroda Literacka

 wyborcza.pl /nike

Budowa po 60 latach dyskusji

NA SYCYLIĘ
BEZ PROMÓW

• Odpowiadający w rządzie za infrastrukturę minister Matteo Salvini (z lewej) prezentuje projekt mostu nad Cieśniną Mesyńską w programie stacji RAI

FOT. MARCO RAVAGLI/
FUTURE PUBLISHING
VIA GETTY IMAGES

Premier Giorgia Meloni wraca do kontrowersyjnego projektu wielkiego mostu łączącego Kalabrię z Sycylią za 13,5 mld euro. Ale łatwo nie będzie.

Lorena Pachó

EL PAÍS

KORESPONDENCJA Z RZYMU

Parlamentarna opozycja krytykuje marnotrawstwo publicznych środków. Ekolodzy ostrzegają przed ryzykiem dla natury związanym z inwestycją, o której zaczęto mówić we Włoszech już w XIX w. A rząd zamierza uwzględnić budowę mostu w... wydatkach na obronność.

Projekt mostu nad Cieśniną Mesyńską, łączącego wyspę Sycylię z Półwyspem Apenińskim, jest jedną z najdłuższych, najdroższych i najbardziej kontrowersyjnych inwestycji w historii Włoch. W ciągu ostatniego półwiecza wszystkie kolejne rządy zajmowały się tą sprawą w taki czy inny sposób, jedne wspierając ze środków publicznych budowę najdłuższego mostu wiszącego na świecie, inne próbując ostatecznie pogrzebać ten plan.

Prawicowy rząd Giorgii Meloni, z poparciem jeszcze bardziej populistycznego Matteo Salvini jako ministra transportu i infrastruktury, osiągnął jak dotąd największy postęp w realizacji kontrowersyjnego projektu. W środę most otrzymał zielone światło organu zatwierdzającego wydatki na duże roboty publiczne, Międzyresortowego Komitetu ds. Planowania Gospodarczego i Zrównoważonego Rozwoju (Cipess).

Jednak do rozpoczęcia budowy jeszcze długa droga i chociaż Salvini zapewnił, że prace mogą rozpocząć się we wrześniu, to nie wydaje się realne.

Trybunał Odrachunkowy musi jeszcze zatwierdzić plan, ponieważ prace będą kosztować – to początkowe założenie – 13,5 mld euro, w całości ze środków publicznych; należy opracować projekt wykonawczy, czyli ostateczny i konkretny plan działania, uwzględniający postulaty władz lokalnych i komisji, która ocenia wpływ budowy na środowisko; należy przeprowadzić wywłaszczenia gruntów niezbędnych do budowy mostu i sieci dróg pomocniczych, które zarówno na Sycylii, jak i w Kalabrii będą się z nim łączyć.

A przede wszystkim otwarto już możliwość wnoszenia odwołań dla właścicieli wywłaszczanych nieruchomości lub gruntów. Do tego organizacje ekologiczne i inne stowarzyszenia sprzeciwiające się projektowi zapowiedziały już, że wykorzystają wszelkie środki, łącznie z najwyższymi instancjami wymiaru sprawiedliwości.

Ostatni akord jednoczenia kraju

Pomysł połączenia Sycylii z półwyspem pojawia się od czasu zjednoczenia Włoch w drugiej połowie XIX w. Konkretny projekt budowy mostu nad Cieśniną Mesyńską jest dyskutowany od 1968 r.

Silvio Berlusconi należał do największych zwolenników realizacji tego pomysłu – i podczas swojej drugiej kadencji na czele rządu w 2002 r. ogłosił, że osobiście położy kamień węgielny pod inwestycję – ale nie zrealizował tej obietnicy.

W 2012 r., po wielu perypetiach, projekt ponownie popadł w zapomnienie: premier Mario Monti, stojący na czele rządu technicznego, odłożył go na półkę, bo kraj borykał się poważnym kryzysem gospodarczym.

W ciągu ostatnich trzech lat, odkąd rząd Meloni ponownie podjął temat budowy mostu, liczne stowarzyszenia lokalne i ekologiczne protestowały i wysłały kilka skarg do instytucji Unii Europejskiej w związku z szacowanym wpływem mostu i prac budowlanych na środowisko naturalne w rejonie Cieśniny Mesyńskiej.

Dziennik „Il Corriere della Sera” podaje, że Bruksela „analizuje dokumentację” przesłaną w czerwcu przez Włochy w sprawie projektu, aby upewnić się, że jest on zgodny z unijną dyrektywą siedliskową, która chroni różnorodność biologiczną w miejscach o kluczowym znaczeniu dla UE. Komisja Europejska „w odpowiednim czasie oceni, czy i jak należy zareagować”.

„Jeden z największych błędów w historii Włoch”

Opozycja również ostro skrytykowała projekt, ale zwłaszcza ze względu na wysokie koszty, jakie poniesie budżet centralny. Według Angela Bonello, rzecznika partii Europa Verde, most nad cieśniną stanowi „największy prezent dla prywatnych przedsiębiorstw budowlanych w historii Republiki”: „14 miliardów euro z funduszy publicznych, podczas gdy jeszcze w 2005 r. koszt budowy, przyznany w drodze przetargu, szacowano na 3,88 miliarda. Nawet Berlusconi, który uczynił most swoim priorytetem, nie posunął się tak daleko”.

Rzecznik Partii Demokratycznej i członek parlamentarnej komisji transportu, Anthony Barbagallo, również potępił decyzję rządu: „Ogromne marnotrawstwo związane z tą inwestycją ma charakter historyczny: miliardy euro przeznaczone na bezużyteczną inwestycję, która zostanie zapamiętana jako jeden z największych błędów w zarządzaniu włoskimi środkami publicznymi” – oznajmił.

Najczęściej powtarzanym argumentem przeciwników projektu jest to, że realizacja tak ogromnej inwestycji publicznej w regionie takim jak Sycylia – gdzie transport ludzi i towarów na samej wyspie jest utrudniony, a infrastruktura słabo rozwinięta – jest po prostu źle zaadresowanym i przeskalowanym wydatkiem. To samo zresztą dotyczy

również innych regionów południa Włoch, takich jak Kalabria czy Apulia. „To wstyd, że priorytetowo traktuje się projekt taki jak most, podczas gdy brakuje środków na infrastrukturę kolejową, której rozbudowa utknęła w martwym punkcie, więc podróż pociągami z południa kraju do stolicy trwa aż 20 godzin” – protestował senator Ruchu 5 Gwiazd Pietro Lorefice.

Barbara Floridia, senator z tej samej partii, jeszcze ostrzej krytykuje plan rządu.

„Rozpoczęli największą operację marnotrawstwa i nadużycia władzy, jaką widzieliśmy w ostatnich dekadach. Nie ma projektu wykonawczego. Nie ma pewności co do rzeczywistych kosztów, wpływu na środowisko, ryzyka sejsmicznego ani alternatywnych rozwiązań w zakresie mobilności i transportu na wyspę. Jedyne, co jest pewne, to szkody: dla obywateli, terytorium i skarbu państwa”.

Most w ramach NATO-wskich wydatków na obronę

Premier Meloni, która broni mostu jako „projektu strategicznego dla rozwoju całego kraju”, chce, aby część kosztów projektu została zaliczona do wydatków na obronę, ponieważ mostem będą mogły przejeżdżać również pojazdy wojskowe.

Premier twierdzi, że Włochy wypełniłyby w ten sposób sojusznicze zobowiązanie do zwiększenia wydatków na obronę do 5 proc. PKB, zgodnie z ustaleniami NATO. Rząd argumentuje, że powstałby strategiczny korytarz do szybkiego przemieszczania żołnierzy i rozmieszczania sprzętu na południowej flance Sojuszu Atlantycznego, i zaliczył go do „infrastruktury poprawiającej bezpieczeństwo”.

Jednak także ten chwyt spotkał się z licznymi krytycznymi opiniami. Kilka tygodni temu grupa ponad 600 naukowców podpisała list, w którym sprzeciwiają się klasyfikacji mostu jako obiektu wojskowego i wskazywali, że takie postanowienie wymagałoby dodatkowych ocen w celu ustalenia, czy most wytrzymałby użytkowanie wojskowe. Eksperti ostrzegają również, że przy takim założeniu inwestycji, most stałby się celem potencjalnych ataków, niczym rosyjski most na Krym.

Czy mafia skorzysta na budowie i eksploatacji

Nawet ważniejszym problemem jest zgola co innego. Mimo że lider Ligi Salvini obiecał, że najwyższym priorytetem jest utrzymanie przestępczości zorganizowanej z dala od realizacji projektu, obawy dotyczące możliwego przeniknięcia mafii do firm budowlanych są duże, a prokuratura od dłuższego czasu bada ryzyko takiej sytuacji. Śledczy już wykryli podejrzanę liczną przypadki tworzenia nowych firm, które mogą służyć klanom do otwarcia sobie drogi do zleceń dla podwykonawców.

Projekt przewiduje budowę najdłuższego na świecie mostu wiszącego o jednym prześle: jego całkowita długość wyniesie 3660 metrów, a długość przęsła wiszącego – 3300 metrów.

W ostatnich latach kwestie związane z odpornością na wiatr i trzęsienia ziemi, a także szacunki dotyczące liczby samochodów i pociągów, które będą po nim jeździć, były przedmiotem licznych sporów między zwolennikami i przeciwnikami projektu.

Obszar ten charakteryzuje się wysokim ryzykiem sejsmicznym i silnymi prądami morskimi. W 1908 r. silne trzęsienie ziemi i związane z nim tsunami poważnie zniszczyły miasta Mesyna i Reggio di Calabria, położone po obu stronach cieśniny.

Z trzema pasami ruchu dla pojazdów w każdym kierunku, oraz dwukierunkową linią kolejową, most mógłby obsługiwać 6000 pojazdów na godzinę i 200 pociągów dziennie. Czas przeprawy przez cieśninę pociągami skróciłby się z obecnych 120 minut (pociągi obecnie także przeprawiane są promami) do 15 minut. Podróż samochodem trwałaby około 10 minut, w porównaniu z obecnymi 70 minutami podróży promem. ● tłum. Łukasz Grzymisławski

Ten most to będzie największy błąd w historii Włoch?

Magnat kontra prezydent

Czy Murdoch pomoże obalić Trumpa?

Wolność prasy w Stanach Zjednoczonych zawisła na człowieku, który przez dziesięciolecia był oskarżany o psucie dziennikarstwa i destabilizowanie demokracji. Magnat medialny Rupert Murdoch odwraca się od Donalda Trumpa.

Robert Stefanicki

Siedemnastego lipca „Wall Street Journal” napisał, że 23 lata temu Donald Trump stworzył sroński rysunek i życzenia dla Jeffreya Epsteina, który zorganizował sieć wynajmu kobiet, w tym nieletnich, swoim sławnym i bogatym znajomym. Kartka miała trafić do albumu urodzinowego przygotowanego dla Epsteina przez jego partnerkę Ghislaine Maxwell, która odsiaduje 20-letni wyrok za handel ludźmi w celach seksualnych.

Rysunek dla Epsteina

„WSJ” nie opublikował zdjęcia listu, lecz go omówił: para małych luków symbolizuje piersi kobiety, a podpisem przyszłego prezydenta jest falisty napis „Donald” umieszczony poniżej talii, imitujący włosy łonowe.

Wewnątrz sylwetki widnieją napisana na maszynie notatka zawierająca żartobliwą wzmiankę, że „zagadki nigdy się nie starzeją”, zakończona słowami: „Przyjacieli to wspaniała rzecz. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – i oby każdy dzień był kolejnym cudownym sekretem”.

Dwa dni wcześniej dziennik skontaktował się z biurem prezydenta, informując o zamiarze publikacji. Trump od razu zadzwonił do redaktor naczelnej „WSJ” Emmy Tucker, a także do Ruperta Murdocha, który stworzył imperium medialne, do którego należy gazeta. Przekonywał, że list jest fałszywy: on nie wyraża się w ten sposób, rysowanie też nie jest w jego stylu.

Murdoch – według relacji Trumpa – odparł, że „coś z tym zrobi”, lecz nie powstrzymał publikacji.

Trump żąda 10 miliardów

Następnego dnia Trump oświadczył, że artykuł jest „fałszywy, złośliwy, zniesławiający” i złożył pozew, w którym domaga się od „WSJ” i jego właścicieli co najmniej 10 miliardów dolarów.

Sprawa Epsteina wyrosła na największy kryzys tej prezydentury. Może to wydawać się dziwne, bo wcześniejsze skandale obyczajowe z udziałem Trumpa nie wznuszały jego zwolenników, a sam Epstein od sześciu lat jest martwy (jego śmierć w więziennej celi uznano za samobójstwo).

Jednak wokół życia i śmierci podejrzanego finansisty, przyjaciela moźnych, narosła jedna z ważniejszych teorii spiskowych poruszających MAGA, czyli najsilniejszą bazę wyborców Trumpa. Epstein miał być w centrum spisku pedofilskiego, w który zaangażowane było tzw. „głębokie państwo”,

w tym elity Demokratów, na czele z demonizowanymi Clintonami.

Zakres znajomości Trumpa z Epsteinem jest niejasny, a rząd wbrew obietnicy ociąga się z ujawnieniem „akt Epsteina” – czyli dokumentów ze śledztwa i (nie wiadomo czy istniejącej) listy klientów. Dla MAGA to policzek. Podniosły się tam głosy, że może sam Trump jest częścią spisku.

Republikanie uznali sprawę za tak niewygodną, że pod koniec lipca odroczyli obrady Izby Reprezentantów, aby uniknąć głosowania nad ujawnieniem akt Epsteina.

Starcie tytanów

Trump miał więc prawo uznać, że Murdoch wbija mu nóż w plecy. I pozwał go, mimo że formalnie dwa lata temu 94-letni Australijczyk oddał władzę w News Corp swojemu synowi Lachlanowi. „Starcie tytanów”, jak nazywają je media, jest drugim gwałtownym zwrotem akcji w otoczeniu Trumpa, po rozwodzie z Elonem Muskem.

Rupert Murdoch mocno przyczynił się do wyniesienia Trumpa do władzy, lansując go w swojej telewizji Fox News, która władę umysłami konserwatywnych Amerykanów. Fox nadal jest dla Trumpa jak TVP za rządów PiS. Z tą różnicą, że stacja znakomicie na tym zarabia. Na początku swojej drugiej kadencji prezydent przeciągnął z niej do swojego gabinetu kilka gwiazd, na czele z sekretarzem obrony Pete’em Hegsethem, który był gospodarzem programu Fox & Friends.

O ile Fox daje Murdochowi władzę nad masami, „Wall Street Journal” zapewnia mu wpływy w kręgach biznesowych i politycznych. Ta szanowana gazeta przemawia do wykształconych i zamożnych, którzy są raczej sceptyczni wobec chaotycznej i protekcyjnej polityki ekonomicznej Trumpa.

Na czele „WSJ” Murdoch postawił Emmę Tucker, Brytyjkę, wcześniejszą naczelną „The Sunday Times”, która nie podziela prawicowych, pro-brexitowych poglądów reprezentowanych przez inne media News Corp. Poszczególnym grupom odbiorców koncern serwuje wiadomości w odmienny sposób, jednak przekazy nie są ze sobą jawnie sprzeczne. Fox News po prostu bagatelizuje doniesienia o związku Epsteina z Trumpem.

Murdoch i Trump mają wiele wspólnego: obaj są bezwzględni, transakcyjnymi, żądnymi władzy samcami alfa. Ich relacja jest długotrwała, ale zawila.

Kiedy Trump ogłosił swoją kandydaturę w 2015 r. i nazwał imigrantów z Meksyku „gwałcicielami”, Murdoch zapytał go na Twitterze: „Kiedy przestaniesz kompromitować swoich przyjaciół i cały kraj?”. W styczniu 2016 Murdoch namawiał Michaela Bloomberg’a, byłego burmistrza Nowego Jorku i także magnata medialnego, do startu w wyborach. Niemniej przez całą swoją długą karierę na styku mediów i władzy, założyciel News Corp niezmiennie dążył do opowiadania się po zwycięskiej stronie.



• Ostatnie jak dotąd spotkanie Trumpa z Murdochem, w Gabinetce Owalmym 3 lutego 2025 FOT. CRAIG HUDSON FOR THE WASHINGTON POST VIA GETTY IMAGES

Gdy Trump wysunął się na prowadzenie w sondażach, Murdoch uznał, że może to pomóc w rozwoju Fox News jako prawicowej CNN – i pomógł wylansować nowojorskiego dewelopera jako kandydata antyelitarnego.

Murdoch tęskni za Reaganem

Wybory w 2020 r. ponownie ich rozdzieliły. Trump obraził się na Murdocha za odmowę zablokowania w Fox wiadomości, że Joe Biden wygrał w kluczowym stanie Arizona. „Chcemy, aby Trump zniknął”, napisał Murdoch do dyrektora swojej stacji po ataku zwolenników przegranego prezydenta na Kapitol. W kolejnych prawyborach w 2024 r. promował Rona DeSantis’a, rywala Trumpa. Ale kiedy Trump zdeklasował konkurencję, Murdoch popłynął z nurtem.

Lecz nigdy go nie poważał. Bohaterem politycznym Murdocha zawsze był Ronald Reagan, a Trump przecież zaorał partię Reagana, całkowicie ją sobie podporządkowując. Ze swej strony Trump podczas ostatniej kampanii wyrzekł na „globalistę, który próbuje mnie zniszczyć”. Po wygraniu wyborów ugościł go wprawdzie w Gabinetce Owalmym, jednak ich związek zawsze miał charakter transakcyjny, a uśmiechy, jakimi obaj panowie się obdarzali, były nieszczerze. Trump chciałby kontrolować Murdocha. Murdoch chciałby kontrolować Trumpa.

Wynik tego starcia będzie kluczowy w wojnie prezydenta z mediami w USA.

Niepokornym Trump wycofuje fundusze federalne, odmawia dostępu reporterom i wszczyna wielomiliardowe pozwy o zniesławienie. Już przeczołgał m.in. „Washington Post”, ABC News i CBS, które albo zmieniły swoją politykę redakcyjną, albo godziły się zapłacić dziesiątki milionów dolarów w ramach ugód.

Trump ma na Murdocha także inny bat: mógłby przekierować wielbiących go widzów Fox News do innego medium. Ta obawa była głównym czynnikiem, który skłonił szefów stacji do rozpowszechniania kłamstwa o sfalszowanych wyborach w 2020 r. Było to kosztowne. Fox musiał zapłacić 787,5 mln dol. odszkodowania firmie produkującej sprzęt do głosowania elektronicznego, Dominion Voting Systems. Trumpiści zarzucili jej, że

stanowi część międzynarodowego spisku, który rzekomo ukradł wybory na rzecz Bidena, a Fox News emitowała te kłamstwa, mimo że – jak ujawniły zapisy wewnętrznej komunikacji – dyrektorzy i prezeszy w nie nie wierzyli.

Co kieruje Murdochem, że się postawił Trumpowi? Najbardziej fantastyczna teoria głosi, że dostrzegł okazję do odebrania mu rządu dusz. „On testuje: czy Trump traci swoją bazę? I gdzie musi być on, żeby pozostać w sercu bazy?”, powiedział były współpracownik Murdocha w rozmowie z „Financial Times”.

Motywy może być też osobisty. Autor biografii Michael Wolff powiedział „Guardianowi”, że to „zemsza starego człowieka” za to, że afera z kłamstwem wyborczym podzieliła jego rodzinę i doprowadziła do sądowego sporu o spadek.

Poza tym, sugeruje Wolff, magnat medialny chce się zemścić na Trumpie za to, że został prezydentem „pomimo tego, że Murdoch zrobił wszystko, aby tak się nie stało”.

Jedność ruchu MAGA niepewna

Możliwe, że Murdoch jest szczerzy w chęci obrony dziennikarstwa przed naciskami polityków – we własnym interesie, a nie dlatego, że na starość postanowił odpokutować własne grzechy. Trump przejawia silne skłonności do absolutyzmu i obchodzenia prawa. Można sobie wyobrazić, że kiedy już zmarginalizuje sądy, podporządkuje Kongres i zastraszy krytyków, wówczas zechce położyć rękę na firmach takich jak News Corp.

Co dalej? Większość obserwatorów zgadza się, że ani Trump, ani Murdoch nie są zainteresowani długą i wyczerpującą walką sądową. Ale też obaj nie wykazują chęci do ustępstw. Po pozwie „WSJ” podtrzymał swoje rewelacje, następnie dołożył z drugiej flanki, publikując doniesienia,

Murdoch i Trump mają wiele wspólnego: obaj są bezwzględni i żądni władzy. Ich relacja jest długotrwała, ale trudna

jakoby nazwisko Trumpa pojawiło się „wielokrotnie” w dokumentach związanych ze sprawą Epsteina.

Nie ma całkowitej pewności czy Trump jest autorem rysunku. Media Murdocha mają długą historię głośnych reportaży, które były wyszane z palca, począwszy od „Dzienników Hitlera” z 1983 r., o których Rupert Murdoch wiedział, że są fałszywe, zanim polecił publikację.

Jednak akurat „Wall Street Journal” słynie z rzetelności, tak jak jego naczelna. Nawet jeśli rysunek dla Epsteina jest fałszywką, to Trump, aby wygrać proces, musiałby udowodnić, że gazeta działała z „rzeczywistą złośliwością” – czyli że redakcja miała co najmniej poważne wątpliwości co do prawdziwości tego artykułu, a mimo to go opublikowała.

Trumpowi pozew służy jako ostrzeżenie dla każdego medium, które próbowałoby wyciągać trupy z jego szafy. Kryzysy wizerunkowe zażegnaje strategią maksymalizowania częstotliwości skandali, tak żeby medialna pralka szybko wypłukiwała z głów poprzednie.

Aferę Epsteina usiłuje przykryć oskarżaniem Baracka Obamy za wszczenie śledztwa w sprawie ingerencji Rosji w wybory z 2016 r. Czy się uda? Cykle informacyjne są teraz coraz krótsze, podobnie jak zdolność do skupienia uwagi. Ludzie oswoiili się z bezwstydem, kłamstwem i manipulacją, jeśli tylko służą pognębieniu politycznego wroga.

Tym razem jednak Trump nie walczy z zewnętrznym przeciwnikiem. Sprawa Epsteina podzieliła ruch MAGA od wewnątrz, zarzuć przeciwko Trumpowi o tuszowanie skandalu wytoczyły wpływowe postacie, jak Tucker Carlson – notabene była gwiazda Fox News, człowiek, którego Murdoch wyrzucił ze stacji.

Jest jeszcze „zdrajca” Musk, który w ciągu doby po opublikowaniu artykułu w „WSJ” zalał platformy społecznościowe krytyką Trumpa za ukrywanie dokumentów Epsteina, a już kilka tygodni wcześniej zasugerował, że nazwisko prezydenta się w nich pojawia.

Czy da się z tego ulepić jakąś koalicję konkurencyjną wobec Trumpa? Bardzo wątpliwe. Musk i Carlson mają wielu fanów, a Murdoch tradycyjnie, coraz mniej znaczące media, ale to Trump ma charyzmę, władzę i wyborców. Bez niego MAGA stałaby się tylko sektą wielbicieli teorii spiskowych.

Trump i Murdoch „mają motywację, by się pogodzić i sprawić, by ich związek przetrwał” – powiedział „Washington Post” były współpracownik Trumpa, mający dogłębną wiedzę o imperium Murdocha. „Obaj chcą znaleźć sposób na wyjście z sytuacji”.

Póki co mamy kuriozalną sytuację, gdy obrońcą wolności prasy, ostatnim sprawiedliwym, jest człowiek powszechnie krytykowany za tabloidyzację mediów, psucie debaty publicznej, zacieranie granicy między prawdą a fikcją, między dziennikarstwem a polityką, oraz za wspieranie populistów na trzech kontynentach. ●

Z TOMKIEM LIPÍŃSKIM
ROZMAWIA KRYSZYNA ROMANOWSKA

Twoje pożegnanie się z Warszawą rok temu było jakimś symbolicznym zamknięciem?

Pytasz o teraźniejszość? Bo ja jestem teraz mentalnie w latach siedemdziesiątych – właśnie domykam pierwszy tom swojej autobiografii.

Nie wiem, czy symboliczne, raczej praktyczne. Ale może – rzeczywiście było w nim jakiś rodzaj zakończenia etapu. Po czterech i pół roku pracy w ZAiKS-ie, prowadzeniu firmy i wynajmowaniu dużego studia na Żoliborzu, w którym pandemia zatrzymała wszystkie plany, poczułem, że trzeba ten etap zamknąć. W Sopocie stało mieszkanie mamy, które latami czekało. Na początku 2024 roku usiadłem, policzyłem wszystko i zdecydowałem: oddałem wynajmowane mieszkanie w Warszawie, przekazałem część studia koledze i 1 lipca przeprowadziłem się do Sopotu na stałe.

Porządkowanie papierów?

I to jak! Najpierw musiałem przygotować to mieszkanie, bo od śmierci mamy stało nietknięte, pełne jej rzeczy: niewyobrażalnej liczby drobiazgów, papierów, bibelotów, które gromadziła przez lata. Były tu też rzeczy moich córek, które kiedyś pomieszkwały w Sopocie, przyjeżdżały na wakacje, zostawiały ubrania, książki, pamiątki.

Wszystko to wypełniało szafy, półki, pudła, a ja przez pierwsze miesiące przyjeżdżałem co jakiś czas, żeby stopniowo się z tym uporać. Później założyłem tu na stałe swój „obóz” i zacząłem pracę na poważnie, docierałem do kolejnych ścian, porządkowałem każdy kąt. Część rzeczy wyrzucałem bez sentymentu, część wywoziłem do garażu, inne oddawałem znajomym lub potrzebującym. To trwało długo, ale w końcu mieszkanie nabrało porządku, zyskało przestrzeń, w której można było normalnie żyć. Wciąż w stanie bardzo elementarnym, czekające na generalny remont, ale już moje – z widokiem na zatokę, przy lesie, gotowe na nowy rozdział.

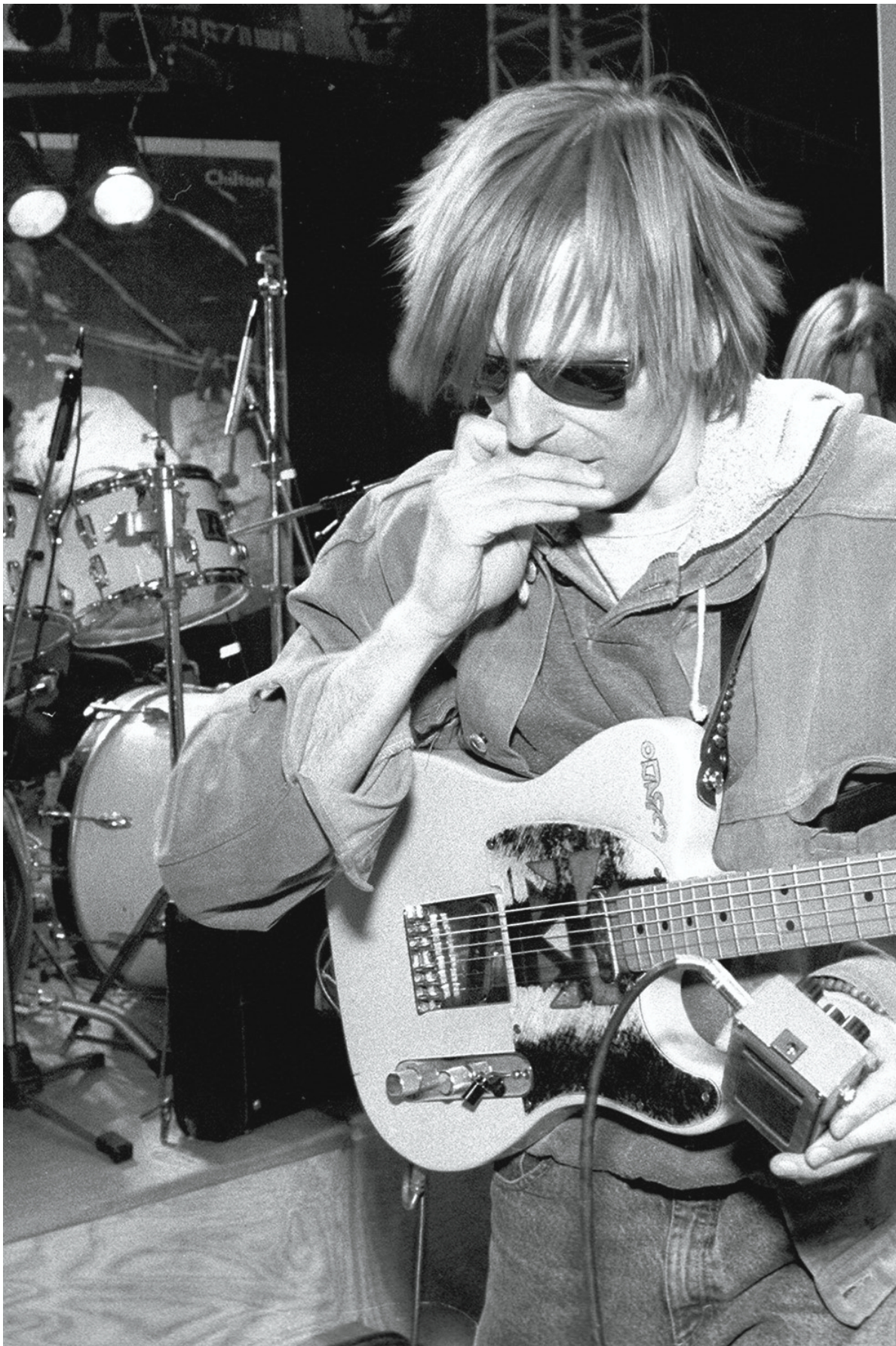
Ale po drodze miałeś też wypadek, który wejście w ten nowy rozdział trochę opóźnił.

Zawsze dużo jeździłem na rowerze i to jest taki element w moim życiu, który mnie trzyma w formie. Długo się wahałem, czy kupić rower ze wspomaganie elektrycznym, ale wreszcie znalazłem model, który naprawdę mi się spodobał. Mieszkam wysoko, parter mojego budynku jest ponad sześćdziesiąt metrów nad poziomem morza, a sopockie góry wydawały się coraz bardziej strome, więc perspektywa łatwiejszych podjazdów była kusząca. Radość trwała jednak krótko. Zaledwie po dwóch, trzech tygodniach jazdy, 15 listopada, zdarzył się wypadek.

Był mokry dzień, ulice przykrywała gruba warstwa zbutwiałych liści – wiedziałem, że są śliskie jak lód, sam ostrzegałem innych. Skręcałem wolno w boczną uliczkę, pochyliłem się w lewo i w tym momencie przednie koło wjechało na te liście. Ułamek sekundy i koło uciekło, a ja upadłem na lewy bok, przygniatając udo między krawężnikiem a ramą roweru. Od razu poczułem, że to nie jest zwykłe otarcie. Pomógł mi przechodzić, ale gdy stanąłem, ból był tak silny, że omal nie zemdląłem. Pogotowie zawiozło mnie na Zaspę w Gdańsku, gdzie okazało się, że mam złamanie przekrętarzowej kości udowej, tuż pod stawem biodrowym – najgrubsza kość w najgrubszym miejscu, złamana w kluczowym punkcie. Był piątek, więc udało się zaplanować operację jeszcze tego samego wieczoru. Zespółono kość tytanową sztabą z trzema czopami przechodzącymi przez kość.

Ból po operacji był największy, jakiego doświadczyłem w życiu. Na oddziale leżało nas czterech połamanych, w nocy wjeżdżał wózek z lekami, każdy brał, co potrzebował, ale ulga była tylko częściowa. Przez trzy miesiące byłem na silnych środkach przeciwbólowych, pilnując regularnego przyjmowania dawek co sześć godzin. Pierwsza „wyprawa” po powrocie do domu – kilka metrów do toalety i z powrotem – zajęła mi czterdzieści minut. Chodziłem przy pomocy chodzika z kółkami i hamulcami, pożyczonego od lokalnego ośrodka opieki. Od dnia wypadku uczyć się cierpliwości – znowu chodzę samodzielnie, czasem wspierając się laską, staram się robić codziennie po kilka kilometrów, żeby wrócić do formy i znów wsiąść na rower, który czeka na mnie w garażu. Kupiłem sobie też kijki do nordic walkingu.

To zdarzenie uświadamia, że wystarczy moment i nagle człowiek, który jeszcze przed chwilą decydował o wszystkim w swoim życiu, staje się kimś, kto właściwie nie decyduje o niczym. Jedyne, co możesz



Jestem. w stanie samorwolki

Patrzysz wokół i widzisz, że wielu twoich znajomych już odeszło, inni właśnie odchodzą. I człowiek przestaje się wygłupiać – rozumie, że każda chwila to czas, który mija bezpowrotnie.



Tomek Lipiński: Najgorsze, co można zrobić narodowi, to pozbawić go języka – bo wtedy traci się nie tylko słowa, ale i pamięć, myśl, całą swoją tożsamość

• **Tomek Lipiński podczas próby przed koncertem Rock for AIDS - Tolerancja, który w 1992 roku odbył się w Hali Gwardii**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Tilt w Klubie Muzycznym Stacherczak w Częstochowie, luty 2013 roku**

FOT. GRZEGORZ SKOW- RONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wybrać, to czy zgadzasz się na operację, a cała reszta dzieje się już bez ciebie. Jesteś nieruchomy, rozbierają cię, myją, zaglądają w dupę – ale robią to z taką uprzejmością, że naprawdę trudno mieć pretensje.

Powoli wracasz do swojej codzienności. Siedzisz tu, w Sopocie, patrząc z okna – widzisz bardziej morze czy przeszłość?

Oba obrazy naraz. Morze jest zawsze inne, ale jednocześnie zawsze takie samo. Można się wpatrywać godzinami i za każdym razem zobaczyć coś nowego, a jednak mieć poczucie, że to jest twój stały punkt. Uspokaja, porządkuje dzień. Ale na biurku leżą listy sprzed czterdziestu, pięćdziesięciu lat, teczki z rysunkami z liceum, zdjęcia, pamiętnik mamy. To wszystko wciąga mnie w przeszłość. To dziwne uczucie – jakby twoje życie rozpadło się na kilka planów czasowych, a ja wchodzę w każdy z nich bez ostrzeżenia.

W książce można wszystko uporządkować, ale wspomnienia przychodzą w przypadkowej kolejności. Jak radzisz sobie z tym chaosem, kiedy próbujesz z niego ułożyć swoją historię?

Pisanie autobiografii jest czymś znacznie trudniejszym, niż się na początku wydaje, bo to nie jest tylko spisywanie faktów, to jest konfrontacja z samym sobą w najczystszej postaci. Nie da się tego robić w międzyczasie, w przerwie między telefonem a codziennymi sprawami, bo kiedy już wejdzie się w ten proces, on zaczyna żyć własnym życiem. Intelkt przejmuję kontrolę, wchodzi w tryb samowolki i książka pisze się w głowie nawet wtedy, gdy idę po herbatę albo patrzę przez okno. To wymaga bycia w tym stanie nieprzerwanie, bo każde wyjście na dłużej przerywa ciąg myśli i trzeba długo wracać.

Praca nad tekstem sprowadza się do grzebania w przeszłości, a ta przeszłość nie jest obojętna – to listy, fotografie, stare notatki, z których nagle ożywają twarze i głosy ludzi, których już nie ma. Wracają sceny, o których myślałem, że są przepracowane, a one uderzają z taką siłą, że muszę odłożyć pióro, wstać od stołu, przejść się po lesie albo zamknąć się w ci-szy, żeby to przetrawić. Niektóre obrazy przychodzą w takiej ostrości, że aż trudno złapać oddech, pojawiają się szczegóły, których nigdy wcześniej nie znałem, albo takie, o których wolałbym nie pamiętać.

Ten proces jest uskrzydlający, bo pozwala odzyskać części siebie, które gdzieś po drodze zaginęły, ale też obciążający, bo każde takie spotkanie z przeszłością jest wymagające, jakby te wszystkie dawne historie domagały się pełnego opowiedzenia, a ty musisz zdecydować, co zostawić, a co przemilczeć. Kiedy wchodzę w ten stan, przypomina to trans – słowa układają się same, ciągiem, a ja tylko je zapisuję, mając wrażenie, że w głowie toczy się ciąg dalszy, nawet gdy nie ma mnie przy biurku. Mogę nie zapisać ani słowa, a i tak wiem, że kiedy usiądę, wszystko wypłynie.

To trudniejsze niż pisanie muzyki?

Podobne. Pisanie zaczyna się od wejścia w ten dziwny, osobliwy stan – rodzaj głębokiego flow, który wciąga bez reszty. Angażuje wszystko: umysł, emocje, pamięć. W innych sztukach jest inaczej – mam porównanie do muzyki i malowania. Malowanie potrafi być abstrakcyjne, oderwane, ale wciąż podsyte myślą. Muzyka natomiast jest czystym przeży-





• 12.06.2003 r. Dwie muzyczne legendy, twórcy Brygady Kryzys: Tomek Lipiński i Robert Brylewski (zmarł 3.06.2018 r., nie wybudził się ze śpiączki, która była efektem pobicia)

FOT. KRZYSZTOF MILLER / AGENCJA WYBORCZA.PL

Tomek Lipiński: Urodziłem się w mieście, które wciąż było powojenne. Warszawa pachniała trupem, gruzem, spalonym drewnem.

ciem, niemal poza rozumem, jakby płynęła z miejsca, do którego intelekt nie ma dostępu.

W studiu muzycznym, po kilku dniach intensywnej pracy, zdarza mi się doświadczać tego na własnej skórze. Kiedy inni już nic nie słyszą, ja wciąż wyłapuję niuanse, delikatne dźwięki na granicy ciszy. A potem wracam do domu, kładę się, zamykam oczy – i zaczyna się coś, co trudno opisać. Prywatne halucynacje. Słyszę muzykę, której nikt inny nie słyszy. To nie jest wyobrażenie ani wspomnienie – to jakby mózg, przesycony dźwiękami, sam odtwarzał coś zupełnie nowego. Linie melodyczne rozwijają się w nieskończoność, harmonii przybywa jak fal na morzu, a każda nuta jest doskonała. To jest ta niebiańska muzyka, o której czyta się w książkach – taka, którą raz doświadczysz, a potem całe życie wiesz, że już jej nie odzyskasz w tej samej postaci.

Pisanie działa podobnie, tylko zamiast dźwięków pojawiają się obrazy, zdania, frazy. Ale za każdym razem, kiedy wracam do kluczowych momentów, czuję, że obok radości tworzenia jest też koszt, który trzeba ponieść, żeby ta historia mogła być naprawdę uczciwa.

Kiedy spisujesz swoje życie, musisz je opowiedzieć komuś, kto zna wszystkie tajemnice – sobie sprzed lat. Jak wygląda taka rozmowa?

Jest cholernie trudna – bo nie wiesz tak naprawdę, z kim rozmawiasz. Po latach w ogóle nie pamięta się, co się pisało; dopiero kiedy tworzysz te kartki do ręki i przeczytasz, wszystko wraca. I to nie byle jak – nagle widzisz siebie sprzed lat, co cię wtedy zajmowało, co wkurzało, co cieszyło. To trochę jak spotkanie z kimś, kogo niby dobrze znasz, ale patrzysz na niego z dystansem i dostrzegasz szczegóły, których wcześniej nie widziałeś. Jest też spory problem: nie wiem, czy w tych listach widzę siebie, czy kogoś, kogo wtedy wymyśliłem. Bo w listach zawsze jest trochę kreacji, trochę chęci pokazania się w określonym świetle, a po latach trudno oddzielić, co było szczere, a co zmyślane. I zaczynasz się zastanawiać,

czy to, co pamiętasz, to naprawdę pamięć, czy już opowieść, którą sam sobie przez lata opowiadałeś.

Czasem wychodzi coś, o czym wcześniej nie miałem pojęcia – jak historia mojej mamy. Powiem tylko, że to historia z elementami sensacyjnymi, zaczynająca się w 1945 roku, która tłumaczy wiele z mojego dzieciństwa. To wątek na tyle wyjątkowy, że wymaga odpowiedniego kontekstu i czasu na opowiedzenie.

Czasem wracają rzeczy, które sam kiedyś zapisałem, ale dawno o nich zapomniałem – jak listy do siostry z czasów liceum. Opisywałem koncerty, na których byłem, książki, które przeczytałem, co się działo w klasie, kto się z kim pokłócił, w kim się zakochałem. Widzę chłopaka, który stał na rozdrożu. Mógł pójść w różne strony – sztuki plastyczne, muzykę, teatr, zwykłą pracę. Nic nie było przesądzone. I gdzieś między tym wszystkim pisałem też, że chciałbym wyjechać z kraju, że Polska mnie uwiera, że chciałbym zobaczyć, jak to jest gdzie indziej. Zwykle, młodzieżowe zapiski, ale dziś czytam je inaczej – jak małe kapsuły czasu, w których zamknąłem swoje ówczesne marzenia, lęki i nadzieje.

Pokażesz jakieś swoje zdjęcia z dzieciństwa?

Tutaj, popatrz [Tomek pokazuje zdjęcie, na której grupa uśmiechniętych chłopców siedzi na wozie zaprzężonym w konia]. Mama brała dodatkowe roboty, chałtury, pracowała i odkładała na wakacje, które jak na tamte czasy były całkiem ekskluzywnie. Zwykle to były wyjazdy przez kilka lat z rządu, od 1960 roku. Taka pani z Saskiej Kępy zbierała grupę znajomych – z redakcji czy z innego środowiska – młodych ludzi z małymi dziećmi. Wszyscy byli wtedy częścią tego największego powojennego wyżu demograficznego.

Jechaliśmy do Karwi, która wtedy była małą wioską na końcu świata, i to bez prądu. Siedzieliśmy tam całe lato. To musiało kosztować, ale dla mnie najważniejsze było to, że nie trzeba było codziennie wchodzić w nowe relacje. Od ma-

łego źle znosiłem zbiorowe wyjazdy – wymuszałem zostawanie w domu, nawet jako małe pacholę (dziś moja mama pewnie miałaby kłopoty z opieką społeczną) i kolonie były dla mnie koszmarem. W Karwi było inaczej – kameralnie, prawie co roku w tym samym gronie, znaliśmy się i znaliśmy wszystkie kąty. Karwia do tej pory mi się śni – z jej piaskiem, zapachem smażonej ryby i tym uczuciem, że świat jest mały, ale bezpieczny.

Albo to zdjęcie [Tomek pokazuje mi zdjęcie, w którym jako maluszek leży w łóżeczku w towarzystwie mamy i dentystki]. Ma wynajęła mnie do sesji zdjęciowej promującej higienę osobistą. Jest też taki portret, na którym mam chyba rok. I zdjęcie w moim pierwszym łóżeczku. A tu rok 1974 [Zdjęcie nastolatka, w którym można już rozpoznać charakterystyczny uśmiech Tomka Lipińskiego] – liceum. Tu jest moja pierwsza klasa liceum, stoję po lewej stronie dosyć skromnie. Ciekawostka: obok mnie stoi moja koleżanka Jola Rzaczkiewicz (zmarła w 2012 roku), która potem została pielęgniarką i we wszystkich prawie polskich filmach, w których jest rola pielęgniarki, ona ją zagrała. Spotkaliśmy się kiedyś nawet na planie u Zanussiego w filmie „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową”.

Masz poczucie, że opowiadając o sobie, opowiadasz też o Polsce?

Urodziłem się w mieście, które wciąż było powojenne – Warszawa pachniała trupem, gruzem, spalonym drewnem. Wystarczyło przejść parę ulic, żeby zobaczyć puste oczodoły kamienic, a między nimi życie, które uparcie wracało. Urodziłem się jeszcze za Bierutą. Dzieciństwo – Gomułka. Do liceum poszedłem we wrześniu, a w grudniu był już Gierek i wydarzenia grudniowe. Kilka lat później – matura i kartki na cukier, potem na wszystko, kolejki, i cały ten system zaczął się sypać. Założyłem pierwszy zespół – wtedy rodziła się Solidarność. Drużyna – i bach, stan wojenny.

Jak patrzę na to z boku, to widzę, że moje życie to właściwie kalendarz Polski: od

powojennych ruin, przez złudzenia Gierka, po bunt i zmianę. Żyłem w mieście, którego część była żydowskim cmentarzem, na którym zbudowano nowe osiedle. Zwłoki zostały tam pod tymi górami, hałdami gruzów. I oni tam są ciągle. Nigdy nie lubiłem tej części miasta. Dotknąłem więc jeszcze Zagłady i nagle w 1968 roku, mam 13 lat, pierwszy sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, król Polski, przemawia w Sali Kongresowej w taki sposób, którego by się nie powstydzili Joseph Goebbels. Nagle z Polski wypycha się moich kolegów i ich rodziny – tylko dlatego, że są Żydami. To był dla mnie szok. Do tamtej pory nie istniała dla mnie kategoria „pochodzenie etniczne”. Człowiek to człowiek. Tamten rok był momentem utraty niewinności. Po raz pierwszy zobaczyłem, że Polska potrafi odrzucać własnych obywateli, a ludzie potrafią klaskać, słuchając słów, które wykluczają innych. Byłem w 263 Warszawskiej Drużynie Harcerskiej i Zuchów. Okazało się, że spora część kadry miała pochodzenie żydowskie. Ale to byli Polacy – wszyscy. Tyle że świadomi swojego rodowodu, tak jak ktoś, kto ma ojca Niemca czy dziadków Szwedów, a mieszka w Polsce.

To jest świadomość o przodkach, a nie definicja tego, kim jesteś. Ja sam wśród pradziadków miałem babkę Saksonkę, babkę Niemkę – wszystko wymieszane. Dlatego kiedy słyszę o „etnicznie czystych Polakach”, to nie mogę wyjść ze zdumienia. Tworzenie takich terminów jest kompletnie oderwane od rzeczywistości. Trzeba nie mieć wiedzy o świecie, albo nie chcieć jej mieć, żeby w ogóle mówić w ten sposób. Zwłaszcza tutaj, na tych równinach – od Łaby po Dniepr – wszystko mieszało się w jedną i drugą stronę. Każdy ma w sobie coś z innych narodów: niemieckiego, ukraińskiego, rusińskiego, litewskiego, czeskiego, szwedzkiego, rosyjskiego, holenderskiego... i jeszcze wielu innych. Tu po prostu wszyscy są wymieszani.

Skoro to wszystko się tak przez wieki mieszało i język też to wchłaniał, to jak patrzysz na to, jak mówimy dzisiaj? Bo

mam wrażenie, że coś się jednak popsulo...

Język jest narzędziem. To tak, jakbyś miał najlepszy śrubokręt – jeśli będziesz nim wbijać gwoździe, zniszczysz i narzędzie, i gwoźdź. Ze słowem jest tak samo. W radiu słyszę profesorów, ludzi publicznych, którzy popełniają błędy, jakie w mojej podstawówce byłoby nie do pomyślenia. To nie jest kwestia snobizmu – to precyzja. Bez precyzji komunikat się rozmywa, a wtedy łatwo nim manipulować.

Język kształtuje myślenie. Jeśli pozwalamy sobie na bylejałość w słowie, pozwalamy też na bylejałość w myśleniu. Od początku widziałem język jak rodzaj kodu, układanki, w której, żeby oddać to, co się czuje czy myśli, trzeba znaleźć odpowiednie elementy i ułożyć je w odpowiedni sposób, modyfikując tam, gdzie trzeba, żeby całość trzymała się kupy. Polska gramatyka – cała ta złożona, skomplikowana konstrukcja – weszła mi jakoś sama, nie wiem którędy. Nigdy w życiu nie nauczyłem się w szkole rozbioru zdania, bo uznałem, że skoro już to umiem, to nie potrzebuję nowych pojęć, które tylko by mi przeszkadzały. Jak ktoś, kto od lat układa kostkę Rubika z zamkniętymi oczami – po co mu instrukcja?

W podstawówce trafiłem na cudowną wychowawczynię i polonistkę – młodą, mądrą dziewczynę, która to rozumiała. Nie kałtowała mnie, nie zmuszała do robienia gramatycznych rozbiorów, choć moje zeszyty były pełne rysunków, a nie notatek. Pisałem poprawnie, mówiłem poprawnie, właściwie nie popełniałem błędów gramatycznych. I od tamtej pory jestem bardzo wyczulony na to, jak inni posługują się językiem polskim. My się porozumiewamy głównie mówieniem, a mówienie to tak naprawdę śpiewanie. W melodii jest ukryte znaczenie, emocja, która ułatwia zrozumienie. Ale coraz rzadziej słyszę tę melodię. Dużo słucham radia i nie mogę się nadziwić, kiedy profesorowie czy doktorzy, ludzie, którzy przemawiają publicznie, popełniają błędy, które w siódmej klasie byłoby nie do przyjęcia. Rozumiem potoczność, slang – sam go używam – ale jeśli ktoś uczy studentów, jest dziennikarzem, politykiem, to język jest jego narzędziem. Jeśli go nie opanował, jest po prostu kiepskim fachowcem.

Jasne, język się zmienia – tak jak zmienia się angielski, który obserwuję od lat. Ale bez względu na to, jak brzmi, jedno pozostaje niezmiennie: trzeba o niego dbać, bo, jak narzędzie zostawione bez opieki, stępuje i przestanie działać. A najgorsze, co można zrobić narodowi, to pozbawić go języka – bo wtedy traci się nie tylko słowa, ale i pamięć, myśli, całą swoją tożsamość.



FOT. MARTYNA NIECKO/AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tomasz Lipiński

• ur. 21.08.1955 r. w Warszawie, absolwent LO im. Tadeusza Czackiego, studiował w warszawskiej ASP. Muzyk, tekściarz, wokalista, gitarzysta, kompozytor. Współzałożyciel i lider Brygady Kryzys, Tiltu i Fotonessu, nagrywał też albumy solowe oraz utwory do filmów, m.in. „Psy 2”, „Słodko gorzki”, „Reich”. Syn znanego grafika i karykaturzysty Eryka Lipińskiego.

Pierwszy tom swojej autobiografii kończysz na stanie wojennym. Co będzie w drugim?

Drugi tom będzie opisywał życie od momentu, kiedy opuściłem dom rodzinny – wszystkie zespoły, trasy, nagrania, ale też tło polityczne i obyczajowe tamtych czasów. Chcę, żeby to nie było tylko o mnie, ale też o tym, co się wtedy działo w Polsce i na świecie. I pewnie skończy się to na roku 2000, bo po tym czasie zaczyna się zupełnie inna opowieść – inne realia, inny świat, inne media. Może kiedyś też to opiszę, ale to będzie już zupełnie inna książka.

Na razie jednak jestem w momencie, kiedy było po pierwszej w nocy z 12 na 13 grudnia, wychodziliśmy z Robertem Brylewskim z jakiejś imprezy. On miał skręcać na Pańską, ja kawalek dalej, na Muranów. Zatrzymaliśmy radio-taxi, chociaż w środku siedział już pasażer, ale wtedy tak się jeździło. Ruszyliśmy w ciszy. Po chwili taksówkarz odzywa się: „Słyszycie, panowie, co się dzieje?”. Mówimy, że telefony wyłączone – to już wiemy. A on: „Właśnie wiozłem go-

ścia, który wyskoczył przez okno z Woronicza. Cały budynek zamknięty, obstawiony. Nie wpuszczają, nie wypuszczają. Program radiowy idzie z taśmy, Jedynka nadaje marsze wojskowe z jakiejś nie wiadomo jakiej radiostacji. Dyspozytorki mają info od maozowieckiej Solidarności: żeby informować wszystkie warszawskie zakłady pracujące w trybie ciągłym, że ludzie po nocnej zmianie mają zostać na miejscu, bo coś się dzieje”. Dojechalśmy pod dom Roberta. Mówi: „Wiesz, w takiej sytuacji lepiej mieć telefon, żebyśmy wiedzieli, co się dzieje, a ja mam telefon”. Poszliśmy. Robert rzucił się na kanapę, ja rozłożyłem materac. Radio w tle, cichutko, marsze wojskowe brzęczały przez całą noc. A rano... szósta czy siódma – hymn. Potem przemówienie. I tak kończy się pierwsza część książki.

Co czujesz do małego Tomka ze zdjęć? Tkliwość, czułość?

Wiesz co... to chyba nie jest tak, że ja siedzę i rozczulam się nad tym chłopakiem ze zdjęcia. Bardziej mnie fascynuje sam pro-

ces. Bo w pewnym momencie życia zaczynamy czuć, że ten czas jest policzony, nie musisz o tym codziennie myśleć, żeby wiedzieć, że to gdzieś za rogiem. Patrzysz wokół i widzisz, że wielu twoich znajomych już odeszło, inni właśnie odchodzą. I człowiek przestaje się wygłupiać – rozumie, że każda chwila to czas, który mija bezpowrotnie.

To spotkanie z dawnym sobą jest... no właśnie, przede wszystkim ciekawe. Gdybym miał w nim nie być, wiedząc już to, co wiem, żałowałbym. To mnie uspokaja, choć muszę przyznać, że na początku wcale nie było tak gładko. Przez dwa miesiące nie byłem w stanie nic pisać – siadałem, patrzyłem w kartkę i koniec. A do tego dochodzi prosta biologia – po sześćdziesiątce człowiek czuje, że ma mniej pary niż kiedyś, a utrzymanie formy wymaga coraz więcej czasu i wysiłku.

Ktoś powie: „A Mick Jagger? A Paul McCartney?”

Właśnie o to miałam spytać?

Paul McCartney to dżentelmen. Chodzi po ulicy bez obstawy, jest normalny. Ale jest multimilionerem. Jagger ma sztab ludzi, którzy dbają tylko o to, żeby był szczęśliwy. On może w wieku 80 lat tańczyć na scenie, jak w młodości, bo ktoś codziennie układa mu plan ćwiczeń, diety, regenerację. Ja nie mam sztabu. Mam siebie i swoją energię. Jagger może w wieku osiemdziesięciu lat biegać po scenie i tańczyć jak dawniej, bo spędza dziesiątki godzin tygodniowo na ćwiczeniach, a resztę spraw ktoś załatwia za niego. On nie dźwiga zakupów z bazaru, nie sprząta mieszkania, nie musi zarobić na życie, bo już zarobił. Ja nie. Mieszkam w pięćdziesięciometrowym mieszkaniu w bloku i nie mam balonu z napisem „wieczna młodość” podtrzymywanego przez armię asystentów. U mnie proces starzenia po prostu toczy się swoim rytmem – bez filtrów i retuszu.

Ludzie, co zrozumiałe, chcą słyszeć przede wszystkim to, co znają najlepiej. Tak jest wszędzie na świecie. Więc grasz stare numery, próbujesz je odświeżać, zmieniać aranżację, żeby samemu się nie zanudzić, ale po latach to też zaczyna nużyć. Dlatego od kilku lat konsekwentnie wygaszam działalność koncertową. Wciąż jednak spotykam ludzi, którzy cenią mnie za to, co zrobiłem. To ważne i budzi moją szczerą wdzięczność, bo każdy twórca, choć rzadko się do tego przyznaje, miewa momenty, kiedy poczucie własnej wartości artystycznej spada. I wtedy taki sygnał od publiczności: „Coś jesteś wart” – działa jak zastrzyk energii. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34376931

DO 21 SIERPNIA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej”

— na wrzesień u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



CENA
179,90 zł**
OSZCZĘDZISZ
CO NAJMNIEJ
40 zł



Dostęp także do
Wyborcza.pl*

* Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. Zapraszamy. ** Różnica ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.



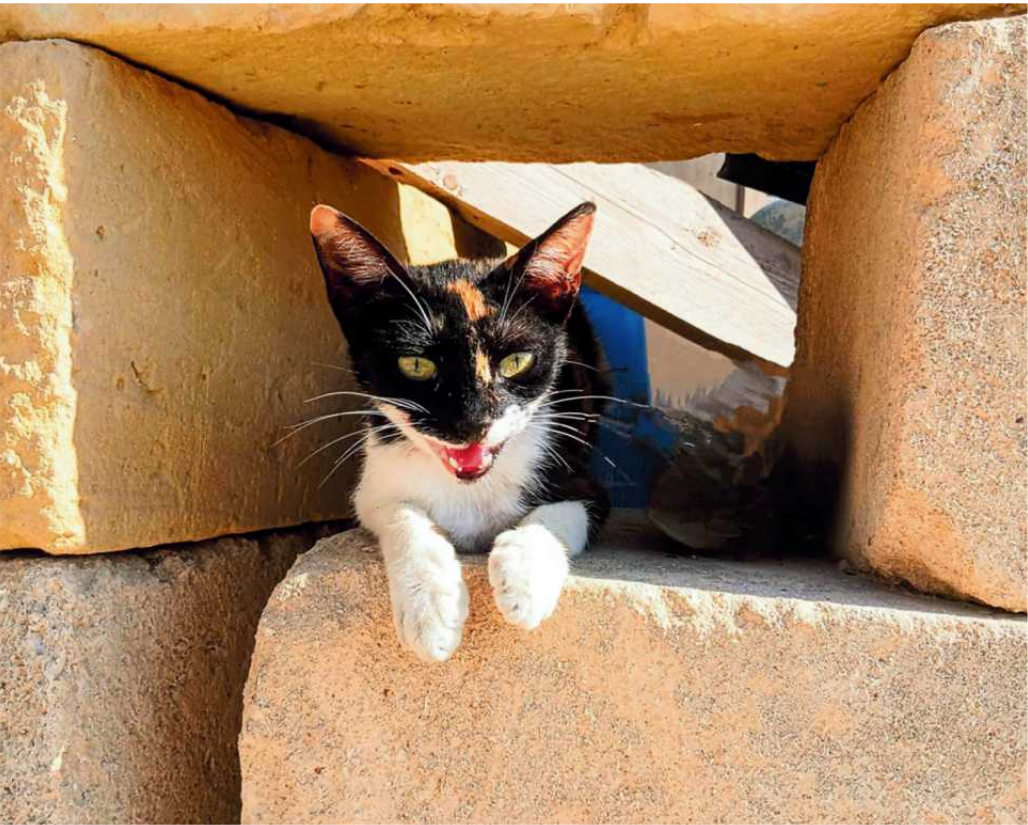
• Gozo to wyspa kotów, biegam więc zawsze ze specjalnym plecaczkiem-coolerem, w którym mam 2-3 puszki z kocim jedzeniem, suche granulki, okrawki mięsne, oraz, w lecie, półtoralitrową butelkę wody

Strach to mój trener

Kiedy się pojawia, przyspieszam, biegnę jak kenijski albo somalijski biegacz.

Tekst i zdjęcia:
Piotr Ibrahim Kalwas





męczący niepokój, kłopoty z zasypianiem i niespokojne sny. Pamiętam też, że ksiądz kładł nacisk na wieczność tych mąk, na ich nieskończoność, niemożność ich ukrocenia, podkreślał wiekiistość i permanentność bólu.

Co bardziej krnąbrne i niesłuchające go dzieci bił linijką po dłoniach, ale – przyznaję – lekko i z uśmiechem. O raju mówił dużo rzadziej, te klimaty zdecydowanie mniej go interesowały.

Ten religijny strach mnie naznaczył. To trochę jak z Dexterem Morganem, bohaterem mojego ukochanego serialu „Dexter”. Born in blood, urodzony w krwi...

Kto nie oglądał, to wyjaśnię: urodzony w krwi, ponieważ jako małe dziecko Dexter był świadkiem morderstwa swojej matki, spędził trzy doby w kałuży jej krwi, co miało ogromny wpływ na jego późniejsze życie i skłonność do zabijania, a dokładniej mówiąc: mordowania i ćwiartowania najgorszych morderców. Zdawałoby się więc, że to psychopata-morderca, ale to nieprawda, Dexter to obrońca niewinnych, mściciel, człowiek w każdym calu dobry, sprawiedliwy, przepełniony miłością, Dexter to anioł urodzony w piekle dzieciństwa.



Od dziewięciu lat mieszkam na małej wyspie na środku Morza Śródziemnego, to Gozo, wyspa należąca do Malty: 14 na 7 km, ok. 40 tysięcy mieszkańców. I tu jest mój raj.

Oprócz wyspy składają się nań jeszcze: bieganie, koty i muzyka. Straszanie piekłem to chyba był pierwszy impuls, który spowodował, że zacząłem poszukiwać raju. To było dawno, miałem wtedy z 10-11 lat, a straszyl mnie ksiądz M. Chodziłem na lekcje religii, a ksiądz, skądinąd miły człowiek, miał duże parcie na piekło. To znaczy tym piekłem straszyl dzieci.

Na każdych zajęciach w niedużej sali na zakrystii parafii na warszawskim Powiślu rozwijał przed nami wizję wiecznego potępienia. Bardzo szczegółowo opisywał, co nas czeka w piekle, jeśli się tam dostaniemy, a dostaniemy się, jeśli nie będziemy czyścić tego i owego, a unikać tego i tamtego.

To było trochę tak, jakby opowiadał nam najstraszniejsze kinowe horrory – wywoływały one we mnie drżenie rąk, dziwny,

Ksiądz M. naznaczył małego Piotra strachem, ale te jego potworne – no tak, z piekła rodem – bajdurzenia uprawiane przed grupą przerażonych dzieciaków, zrodziły też coś dobrego: rozpoczęły Wielką Ucieczkę Piotra, zapoczątkowały poszukiwania dobra, spokoju duszy, niestrachu. Boję się, że co poniektórzy zwolennicy straszenia i bicia dzieci (klapsy, klapsy!) zakrzykną teraz: „O, właśnie, tak trzymać!”.

Bieg po Wino

Opowiem wam, jak dzisiaj żyję. Najpierw więc o bieganiu. Biegam od prawie 5 lat, ale przedtem przez mniej więcej 6 lat uprawiałem chodździarstwo. Amatorskie, bez trzymania się tych wszystkich chodździarskich zasad, taki power walking. Po 10-20 km dziennie, ale nie codziennie. Ciągłe myślenie o bieganiu, ale się bałem, tym bardziej że znajomy lekarz powiedział mi: „Zapomnij, w twoim wieku – miałem wtedy ponad 50 lat – zniszczysz sobie nogi i serce, pozostan przy marszach”.

Dzisiaj mam lat 61 i przebiegam 30 km. Codziennie.

Po co? Dlaczego? Dlaczego tyle? Nie wiem, ale jedno jest pewne: kiedy biegam,

czuję się jak w raju. Bo raj to haj. Tak, już pierwsze metry biegu powodują u mnie skok adrenaliny i wylew endorfin, czuję, że wszystko, cały świat z jego kłopotami i złem, zostaje daleko, obok, poza. Bieganie to narkotyk.

Ten haj podczas biegania to zresztą nie jest wcale tylko metafora, to też fizyczność. Nałogowi biegacze cieszą się możliwością odczuwania runner’s high, euforii biegacza, czyli stanu podobnego do ekstazy, dzięki wytwarzanym w organizmie endokannabinoidom i endorfinom. Substancje te działają podobnie jak marihuana. U mnie runner’s high pojawia się zazwyczaj gdzieś tak na 20. km, a zawsze po 30.

Mam trzy cykle biegania: najkrótszy „do kwiatu”, to jest bieg 18-20 km, dłuższy, czyli „trzydziestka”, no i „mara”, czyli maraton: minimum 42,2 km.

Raz w miesiącu staram się też zrobić „pięćdziesiątnicę”, czyli przebiec 50 km, ale to nie zawsze mi się udaje. Do tego w miesiącach zimowych – zima na Gozo jest inna niż ta w Polsce – raz w miesiącu robię Tydzień Maratonu, czyli siedem maratonów z rzędu.

W lecie – lato na Gozo jest także inne niż te w Polsce – zawieszam Tydzień Maratonu, bo to już zbyt duży hardcore. Ten biegaczy grafik daje mi średnią 30 km dziennie, w skali miesięcznej 900 km minimum, a w niektóre miesiące przekraczam 1000.

Nie biegam szybko, przy takich osiągnięciach nie można kozaczyć jak Usain Bolt. Biegam raczej wolno, ale za to daleko.

Latem maraton robię dwa razy w tygodniu, zazwyczaj w środy i soboty. Ten drugi, sobotni maraton, jest także Biegiem po Wino, albowiem raz w tygodniu, aby jeszcze dokręcić rajska śrubę, wypijamy razem z żoną i synem po flaszce wina na głowę.

Dwie flaszki są nabywane w okolicach domu, po tę główną, najlepszą, biegnę na drugi koniec wyspy, do sklepu z dobrymi winami. Potem z nią wracam w plecaczku i wbrew temu, co mówią oburzeni konesery, wino wstrząsane podczas biegu wcale nie traci nic a nic ze swojej jakości.

Jestem więc „naćpany” codziennie, a co więcej, ta biegacza euforia wcale się nie kończy po powrocie do domu, w wypadku tego nałogu, nie ma zejścia i kaca, no przynajmniej w moim wypadku.



*Dekadę temu byłem stary
i brzydki. Teraz potrafię stać
przed lustrem na golasa,
szepcząc: „Boże, Boże, jaki ja
jestem piękny i młody”*

Stan radości z biegania w dużo mniejszym stopniu, ale jednak, trwa także po biegu. Kiedy uda mi się przebiec kolejny maraton – zrobiłem ich kilkaset, ciągle się zbieram do ich zliczenia, bo każdy maraton odnotowuję – radość z tego faktu przelewam na wszystko, co żyje, i oczywiście na samego siebie.

Bieganie jest dla mnie formą raju, bo jest ucieczką przed metafizycznym strachem, także przed piekłem księdza M. Czyż nie tak właśnie funkcjonują narkomani?

Gozo to wyspa kotów

Ale biegam nie tylko dla haju czy po wino, jest jeszcze jeden powód mojego biegania: koty.

Koty kocham do szaleństwa, od 10. roku życia, od kiedy w moim domu pojawił się pierwszy kot. Od tego czasu nie było żadnej przerwy w moim życiu z kotami, to znaczy: zawsze mam przynajmniej jednego, a zazwyczaj więcej. Mój rekord to pięć kotów, aktualnie mam ich cztery. Uważam kota za boskie zwierzę, a siebie samego za reinkarnację egipskiego kapłana kotów. Mój raj jest pełen kotów.

Gozo to wyspa kotów, jest ich tu bardzo dużo, Gozycanie je karmią, są dla nich do brzy i łagodni, no i je sterylizują. Te dzikie koty są wylapywane przez lokalną organizację opieki nad zwierzętami, poddawane systematycznej sterylizacji w myśl buddyjskiej zasady: mniej istnienia, mniej cierpienia, a potem odozwone na miejsce, z którego zostały zabrane.

Na mojej głównej trasie znajdują się dwa stadka liczące po kilkanaście osobników i osobniczek oraz kilka kotów samotników. Karmię je codziennie, one na mnie czekają, nie mogę ich zawieść. No, precyzyjnie mówiąc: czekają na jedzenie, które im serwuję.

Biegam więc zawsze ze specjalnym plecaczkiem-coolerem, w którym mam 2-3 puszek z kocim jedzeniem, suche granulki, okrawki mięsne, które przynosi ze sklepu pracująca w tym sklepie moja żona, oraz, w lecie, półtoralitrową butelkę wody.

Oprócz tego w plecaku mam też napoje dla mnie, telefon, portfel i miniapteczkę. Wybiegam więc obciążony co najmniej 6-7 kg.

Od kilku miesięcy biegam też „do kwiatów”. To stokrotka afrykańska, którą odkryłem na jednej z odnóg mojej trasy głównej. Rośnie przy murze starego domu, w dziurce w asfalcie, niedaleko drugiego stada.

Ja się zawsze wzruszam, widząc rosnące kwiaty na betonie, asfalcie, w szparze między krawężnikami, na murze itp. Jest coś pięknego w takiej roślinie. No i ta stokrotka stała się kiedyś na mojej drodze.

Z tej wody dla kotów zostawiam więc trochę dla stokrotki i codziennie ją podlewam, inaczej by umarła, na Gozo w lecie panują potworne upały. Czuję się jak Mały Książę podlewający różę na planecie Gozo.

Zawsze do niej coś mówię, kiedy ją podlewam, a ona mi odpowiada, naprawdę. Możecie się śmiać, ale tak jest, ja ją słyszę, chociaż nie rozumiem. Bo na przykład, kiedy rozmawiam z kotami, a one mi odpowiadają, to większość ich miauków rozumiem, trudno się dziwić, przebywam nieprzerwanie z kotami od 10. roku życia.

Niektórzy teolodzy uważają, że Adam i Ewa rozmawiali w raju ze zwierzętami, zanim zostali z niego wypędzeni. Jako argument podają fakt, że Ewa w ogóle się nie zdziwiła, kiedy wąż przemówił do niej ludzkim głosem.

Wierzę, że będzie tak kiedyś znowu w raju na ziemi, kiedy człowiek nauczy się i będzie potrafił się posługiwać językami wszystkich istot nieludzkich. Już komunikujemy się dźwiękowo z delfinami czy małpami, z roku na rok rozumiemy się coraz lepiej, a od kilku lat naukowcy, wykorzystując sztuczną inteligencję, prowadzą badania nad zrozumieniem języka niektórych zwierząt.

To szybko idzie. Poza tym przecież już 200 lat temu doktor Dolittle znalazł języki zwierząt, nauczyła go papuga Polinezja. Pewnego dnia więc ciałem się stanie prorocstwo Izajasza:

„I będzie wilk gościem jagnięcia, a lampart będzie leżał obok kozłęcia. Cielę i lwiatko, i tuczeń bydlę będą razem, a mały chłopek je poprowadzi. Krowa będzie się pasła z niedźwiedzią, ich młode będą leżeć razem, a lew będzie karmił się słomą jak wół. Niemowlę bawić się będzie nad jamą żmii, a do nory węża wyciągnie dziecię swoją rączkę. Nie będą krzywdzić ani szkodzić na całej mojej świętej górze, bo ziemia będzie pełna poznania Pana jakby wód, które wypełniają morze” (Iz. 11:6-10, Biblia Warszawska 1975).

Nie ma biegania bez muzyki

No dobra, dobra, odleciałem trochę, piszę te słowa ciągle na lekkim haju, bo niedawno wróciłem z „trzydziestki”. Ale... pszczoły porozumiewają się za pomocą tańca. Nieprzypadkowo wspominam o pszczołach, zastanawiałem się kiedyś, jak biegam, to znaczy: jaki mam styl, bo biegacze mają swoje style biegania. I doszedłem do wniosku, że primo: przede wszystkim biegam tak, żeby nie płościć jaszczurek, a secundo: biegam, tańcząc, ewentualnie tańczę, biegnąc.

Zrozumiałem to, oglądając film „Northern Soul”. To film o muzyce o tej samej nazwie, jednym z moich ulubionych gatunków. Kiedy zobaczyłem na tym filmie tańczących ludzi, to poraziło mnie: tam ludzie tańczą, jakby biegali, tak jak ja biegam, jakbym tańczył.

I tak od biegania, przez koty i kwiaty dotarliśmy do kolejnego filaru mojego raju – muzyki. Nie ma u mnie biegania bez muzyki, biegam zawsze z muzyką na uszach. Bez muzyki tracę dużo sił, znaczna część mojej energii znika jak rozładowana bateria.

Są nawet specjalne playlisty dla biegaczy w sieci. Próbowałem w nimi biegać, ale niestety, aby dobrze biec, całą muzykę muszę ułożyć sam. Mam w odtwarzaczu kilkadziesiąt moich playlist, każda po 50 piosenek. Mam też kilka playlist tematycznych typu Synthpop Britannia, Latino Disco, Deutscher Schlager Hit Mix, Polska, Electronica, Chillout i jeszcze kilkanaście innych.

To nie są tylko dynamiczne i rytmiczne piosenki, niektóre to wolne kawalki, które jednak mają jakiś podskórny rytm, bo rytm, ale niekoniecznie dosłowny, to dla mnie najważniejsza rzecz w muzyce biegaczej. Rytm ukryty, pulsujący nawet w, zdawałoby się, bardzo spokojnej balladzie.

I hipnoza, coś, co powoduje, że szybko wkręcam się w trans biegu, zatracam się w rytmie, zaskakuję na niego i mogę z taką muzyką biec bez końca. Slave To The Rhythm, jak śpiewa Grace Jones. Tak, tak, to też narkotyki.

Niedawne badania wykazały, że muzyka powoduje, że mózg uwalnia dopaminę, podobnie jak marihuana. Kiedy biegnę z mu-

U mnie runner's high pojawia się zazwyczaj gdzieś tak na 20 kilometrze, a zawsze po 30

zyką na uszach, otula mnie boskie światło, to jest to samo rajskie światło, które John Milton opisuje w „Raju utraconym”. Podwójne naćpanie więc: runner's high połączone z dopaminą muzyki, jest jazda, naprawdę.

Oprócz playlist mam w odtwarzaczu zawsze dużo płyt najróżniejszych wykonawców. Playlisty są stałe, natomiast albumy rotacyjne oprócz jednego: podwójnej płyty Johnn'ego Casha, to dla mnie album święty. Słucham muzyki bardzo różnej, właściwie to każdej.

Kiedyś słuchałem tylko poważki w stylu jazzu, etno, awangarda itp., ale od kiedy zacząłem biegać, otworzyłem się na Jedną Muzykę, czyli każdą. John Coltrane, Oasis, Papa Dance, Enrique czy Julio Iglesias, sanah, Kendrick Lamar, PRO8L3M, The Weeknd, Pitbull, Myslovitz, Ed Sheeran, Mata, Dua Lipa, Masny Ben, Sławomir, Sabrina Carpenter, funk, soul, rap, northern soul czy no-madic techno.

Powrót Abby i Boney M

Ale jeden rodzaj muzyki działa na mnie najmocniej, to znaczy daje mi największego kopa, wstrzykuje w moje ciało i duszę najlepszą i najmocniejszą energię, daje haj jak żadne inne dźwięki. To muzyka dzieciństwa, pop i disco z lat 70. i wczesnych 80. To prawdopodobnie podświadomość cierpienia i strachu powodującego chęć ucieczki, szybkiego biegu do bezpiecznego miejsca. Zaraz to wyjaśnię.

Abba, Bay City Rollers, The Teens, Kiss, Boney M, Smokie, Eruption, Slade, całe Hit-parade z „Brava” jeszcze po niemiecku. Jest ich Legion. To muzyka już po księdzu M., a jeszcze przed punk rockiem, tylko 2-3 lata słuchania, potem już skórzana kurtka, czerwone włosy od utlenionej wody i cały ten

W poszukiwaniu raju

tu, na Ziemi, wyruszamy właściwie nieustannie.

- Zbyt często bywa rajem chwilówką, jak ten dopaminowy, o którym opowiadała Agnieszka Jucewicz dr Anna Lembke.
- Albo rajem utraconym – napisał o nim Michał Rusinek. Jego zdaniem Polak w raju musi mieć telefon.
- Piotr Ibrahim Kalwas (powyżej) uważa, że to droga do biegania, muzyka i koty.
- Marzena Filipczak odnajduje czasem raj w podróży, patrząc na buzię renifera.
- A rajska romans na rajskiej plaży? Pytała o niego Aga Kozak.

Wszystkie te teksty znajdziecie na wyborcza.pl/magazyn

A gdzie jest, czy był, wasz raj – prawdziwy lub zwodniczy? Gdzie i kiedy czuliście się jak w raju? Podzielcie się swoją historią. Piszcie: magazyn@wyborcza.pl

punk, no bo jak inaczej, byłem już przecież dorosły, wstyd było słuchać Boney M i Abby.

Ale to wróciło. Wróciło, kiedy pięć lat temu kiedy zacząłem biegać. Zrobiłem pierwszą kidlistę. I kiedy tylko zacząłem biec i zapuściłem sobie moje ukochane piosenki z czasów, kiedy miałem 14-16 lat, dostałem tak niesamowitego speeda, że aż się przestraszyłem.

Ułożyłem jeszcze dziewięć podobnych kidlist, mam więc łącznie 450 piosenek z czasów dzieciństwa i już żaden maraton nie jest mi straszny.

A ta podświadomość cierpienia i strachu? To tym razem nauczycielki z liceum przysły do mnie niedługo po księdzu M. Potwory, monstra. One mnie tak prześladowały i dręczyły, że wryły się we mnie już na zawsze.

Te piosenki były moim ratunkiem wtedy, moim azylem. One i książki podróżnicze dla młodzieży typu „Tomek na tropach Yeti”, „Biwak na Borneo” czy „Kajakiem przez Afrykę”. Do tych książek zawsze wracałem i wracam, kiedy mam doła, z muzyką zagrało tak samo, a nawet dużo mocniej.

Boże, Boże, jaki ja jestem piękny i młody

Bieganie to dziecięcy archetyp, a ja noszę w sobie tego dzieciaka, nigdy nie dorosłem, nie dojrzałem, chociaż kiedyś niepotrzebnie raz i drugi próbowałem.

Ale to też objawia się w formie fizycznej, bo kiedy patrzę w lustro po takim kilkudziesięciokilometrowym biegu, to widzę nie zmęczoną 61-letniego faceta, tylko uśmiechniętego dzieciaka.

Jeszcze trochę ponad dekadę temu ważyłem 110 kg, miałem trudności z wejściem po schodach na piąte piętro. Nie dość, że byłem stary, to jeszcze byłem brzydki, pamiętam, że unikałem lustra, nie mogłem na siebie patrzeć.

Teraz ważę 75 kilo i jest odwrotnie: potrafię stać długo przed lustrem na golasa i wpatrywać się w siebie z uwielbieniem, szepcząc: „Boże, Boże, jaki ja jestem piękny i młody”.

Śmiejecie się, szydzicie czy parszacie z ironią? Od kiedy zacząłem zamieszczać na Facebooku posty o moim bieganiu, stając się coraz chudszy, coraz bardziej uśmieśniony, coraz młodszy i piękniejszy, spotkałem się z tak straszną falą szydery, ironii, hejtu,

jakiej nie doświadczyłem nigdy przedtem w życiu.

Na początku bardzo się tym przejmowałem, spać po nocach nie mogłem, a biegacz niewyspany to słaby biegacz. I nagle, nawet nie pamiętam, kiedy to było, zorientowałem się, że zawiść i zazdrość dają mi kopa, że lepiej, dalej, szybciej i dłużej mi się po nich biega.

Zrobiłem sobie T-shirt z napisem: „A żebyś złamał nogę, głupi chuju”. Tak napisał pewien pan pod moim postem-relacją z mojego jubileuszowego 100. maratonu. Lubię biegać w tej koszulce.

Tak, wiem, jestem beczelny jak każdy nieśmiały i bojaźliwy człowiek.

Kiedy biegnę, strach znika. Świat staje się drogą. Czasami myślę że chciałbym umrzeć w biegu, roję sobie, że mimo, iż upadnę, to będzie tylko mgnienie oka i już sekundę potem będę biegł dalej, w raju, TAM. Ktoś kiedyś powiedział, że każdy trafi do raju takiego, jaki sobie zamarzył. Wymyślam sobie więc ten raj TAM bardzo precyzyjnie, drobniawo, zaprojektowałem sobie nawet tam dom z ogrodem, no i rzecz jasna trasy do biegania.

Ten raj TAM jest bardzo podobny do raju tu, czyli do Gozo. Tylko zieleni jest dużo więcej, wszystkie koty są zdrowe i najeżone i nie ma zmiażdżonych kołami aut szczurów i jaszczurek. Zawsze świeci słońce, ale nie ma upałów, pada deszcz, ale nie ma ulew. Powietrze jest przejrzyste i czyste i nikt nie strzela do ptaków, bo wszyscy myśliwi są w piekle.

Chociaż nie zawsze jest tak rajsco, czasami są dni, kiedy biegnę i czuję na karku dyszący oddech tego dawnego strachu, ale od kiedy zamieszkałem na Gozo, z roku na rok tego strachu jest mniej.

On się pojawia nagle, czasami pod wpływem jakiegoś impulsu zewnętrznego, np. zabitego szcúra, zmiażdżonej przez koła jaszczurki, szybko oddychającego skulonego gołębia o zamkniętych oczach, którego widzę kątem oka, czasami z jakiejś ciemnej, katastroficznej myśli, która nagle, na sekundę, wpadła do mojej głowy, a czasami pojawia się zupełnie bez żadnego powodu w oślepiającym blasku słońca odbijającego się w turkusowych wodach morza, wzdłuż którego biegnę.

Ten strach ma też dobrą stronę: to mój trener. Kiedy się pojawia, dostaję kopa i przyspieszam, biegnę naprawdę szybko, jak kenijski albo somalijski biegacz. Uciekam, oglądam się za siebie: widzę gnające za mną moje nauczycielki. Wrzeszczą coś, słyszę swoje imię, wygrażają mi pięściami. Widzę też księdza M., biegnie na froncie i też coś pokrzykuje, macha linijką. Krzyczy o winie, karze i piekle. Jak on umie tak szybko biegać w sutannie? Ta myśl przelatuje mi przez głowę, przyspieszam, dźwięki muzyki zagłuszają ich wrzaski, po chwili wszystko zanika, jest tylko skąpana w słońcu droga wysadzana palmami i bugenwillami.

Z murku okalającego pole zeskakuje Biegaczek, ruda kotka, która przebiega ze mną ostatnie 200-300 metrów. Biegniemy razem. ●

* Piotr Ibrahim Kalwas

- powieściopisarz, dziennikarz, weganin, biegacz. Był jednym ze scenarzystów „Świata według Kiepskich”. W 2000 przeszedł na islam, powiedział o sobie: „Krytykuję moją religię codziennie – jestem znany polskim muzułmańskim islamofobem – i codziennie ją praktykuję, odmieniła ona moje życie o 180 stopni, odmieniła na lepsze”. Dwukrotnie nominowany do Nagrody Literackiej „Nike”. W 2016 przeprowadził się z rodziną na wyspę Gozo. W 2023 roku przebiegł drogę ze Szczecina do Warszawy w koszulce z napisem „Nie głosuj na PiS” w ramach protestu przeciwko rządowi Prawa i Sprawiedliwości. Rok temu, w 80. rocznicę lądowania w Normandii przebiegł z Paryża na plażę Omaha Beach, by uczcić poległych aliantów



KEBAB pozarł kartacze

Podlaski Kebab, Habibi Kebab, Empire Kebab, Kebab Premium King, Kamczatka Kebab. Spędziłam lipiec na Podlasiu.

Tekst i zdjęcia: **Anna Wyrwik**

W ale bociany wydają irytujące dźwięki, bo już wcale nie są takie małe, a większe, ale wciąż czekają w gniazdach, żeby te duże im przyniosły jedzenie. Duże bociany za jedzeniem chodzą od rana po polach, a na polach jeszcze rośnie. Traktory już wyjeżdżają na drogi, zaraz wyjeżdżać będą kombajny. Ale to w głąb sierpnia. Tymczasem wciąż koniec lipca jest na Podlasiu.

Bo gdzie w lipcu, jak nie w Polskę, bo gdzie w Polskę, jak nie na Podlasie, bo kie-

dy, jak nie pod koniec lipca, gdy już wszystko rozkwitło, się rozmnożyło, urosło, urosło i rozwija się pięknie, co można z zą zbóż, jeszcze nie ściętych, w przykucach oglądać.

Podlasie w lipcu. Bociany latają, drobia i skrzeczą, dzięcioły stukają, psy szczekają, robotnicy siedzą w słońcu przy jednej z wielu nowo budowanych za unijne dróg. Cerkwie rozgłaszają, że Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny obchodzi 100-lecie, a koszulki Ochotniczej Straży Pożarnej suszą się na sznurkach z praniem.

Stół, przy którym łapie internet

Letnicy... Tak, wiem, że turyści, ale jak na nich patrzę, to „letnicy” slysze i „letnicy” myślę. Więc letnicy snują się w krótkich portkach i czapkach z daszkami, z ławki na hamak, z hamaka na huśtawkę, z huśtawki na spacer, ze spaceru do stołu, przy który łapie internet, i hop! Laptop *turn on*.

Ja też siedzę przy tym stole, przy którym łapie internet, piszę właśnie o tym, że internet łapie. Letnik zaś coś grzebie w laptopie, słuchawki zakłada, włącza i dopiero trzeciego dnia pobytu zauważam, że Kanał Zero przez ten cały czas, skubany, oglądał, a nie żadna zdalna.

Letniczka w tym czasie snuje się i opowiada, że spokoju potrzebuje, że ciszy od miasta, że odpoczynku, i szuka zajęcia, kontaktu z nim, ze mną, z kimkolwiek. Sensu szuka w tym całym urlopie, żeby a nuż, za żadne skarby go nie zmarnować.

On bierze łyk Łomży i zaciąga się IQOS-em. Ona snuje się, kwiatki ogląda i głowi się, jak tu tę magię Podlasia, cholera, najefektywniej wykorzystać.

„A może? A może na Bachmaty?” – śpiewają chłopaki z Bielska Podlaskiego i zespołu Berek, więc jadę na Bachmaty. Na Bachmatach para kłóci się o to, w którym miejscu ręcznik rozłożyć. Tu robak, tu słońce, tu woda, wszędzie źle. Żołnierze popijają energetyki w przerwie od joggingu, kaczki pływają, wędkarz czuwa, niczym indiańska czujka, z kamienną twarzą ignorując rejdach.

Lipiec na Podlasiu. Kartacze. Babka ziemniaczana. I kebaby. Podlaski Kebab, Habibi Kebab, Empire Kebab, Super Kebab, Kebab Premium King, Kamczatka Kebab. „Przy naszym kebabie zapomnisz o schabie”. Dziś więcej w Polsce niż przydrożnych kebabów jest chyba tylko krzyży przydrożnych. Na Podlasiu również tych z trzecią belką.

I przy drodze, i ku czci, chwale, pamięci ofiar oraz poległym, bo tu jak pomnik, to obok krzyża katolickiego stoi prawosławny, pomiędzy nimi gwiazda Dawida. I gwiazda nie spada, trzecia belka nie urywa się, nie zasłania ich piana z gaśnicy ani sprej.

Takie jest to Podlasie, przez które maszerują jak nie młodzi „wyklęci” o białoruskich nazwiskach, to reżyser polityk o niemieckim nazwisku, i nie tylko w lipcu.

Środowy bifer

Ale w lipcu Podlasie to samochody z całej polski. EBE, SK, RZE, ZSD, OPO. Jeżdżą od cerkwi do cerkwi. „Pielgrzymować będę od stacji do stacji” – śpiewa Karolina Czarnecka w moim samochodzie KK. Karolina jest z Sokółki, „będzie zawsze szła pod wiatr”, a ja jadę pod rozsądki prąd nad Zalew Sie-mianówka. Tam już nie Karolina gra. Tam króluje Radio Jard i disco polo niesie się z głośników z passata na białostockich blachach. Ludzie palą papierosy, te prawdziwe, nie cyfrowe, i grille palą.

– Tyskie chciałem, a nie, kurwa, kasztelana – niesie się głos po wodzie.

Dzieci się kąpią, dorośli robią *before*, bo dopiero 14, bo dopiero środa. W najbliższy weekend szykuje się „Potańcówka”, jak gło-



• W jednej z wsi powiatu hajnowskiego reklamują kebab w Hajnówce

sza plakaty, Dobryje Grajki się szykują i DJ Sakuś, ludzie na plakacie bawią się super.

Podlasie w lipcu. Zamknięte kioski z blachy, otwarte sklepy przydrożne, „U Romana”, „Alicja”, „Sklep u Wojewody”. Billboardy nieliczne, liczni zaś żołnierze, którzy biegają po okolicy dla formy lub z rozkazu i wysypują się po lasach nagle z ciężarówek, by potem godzinami stać i na te lasy ku wschodowi patrzeć. Auta wojskowe pędzą przez przyrodę, terenówka żandarmerii tankuje na Orlenie. Obok facet leje benzynę do sześciu plastikowych beczek w bagażniku starej lady nivy.

Podlasie w lipcu. Pronar, Pronar, wszędzie Pronar, stacje benzynowe Pronar i zakłady Pronar w Narewce. Gdy spytasz kogoś w okolicy o pracę, to tylko „Pronar” i „Pronar” słyszysz w odpowiedziach. „Dziś jesteśmy liderem na rynku maszyn rolniczych, komunalnych i recydingowych” – pisze o sobie Pronar w internecie.

A za oknem jak nie Pronar, to żubry. Żywe żubry w puszczy, żubr na billboardzie Żubra centralnie wkomponowanym w pejzaż, plastikowy żubr przed sklepem Chorten, bo tu Chorteny to są po prostu sklepy, „idę do chortenu, co wziąć?”, bo się te Chorteny wywodzą z Podlasia.

Z Narwi drogą na Ordynki, gdzie w jedynej prawosławnej pustelni w Polsce kilka lat temu mnich mnie zaczepił. Wielki, gruby, brodaty, cały zakurzony i ironiczny, zupełnie nie jak z obrazka i wyobrażeń mieszczaucha inteligenta, cały wspaniały i ironicznie tego wszystkiego świadomy, z ironiczną opowieścią prowadził mnie po Skicie św. Antoniego i Teodojusza Kijowsko-Pieczerskich.

Dziś prawdziwych kartaczy już nie ma

Ale dziś do niego nie skreć, umówiłam się na obiad w Narewce, zajazd... nie zdradzę jaki, bo podali *fake* kartacze, farsz mięsny do krokietów w kluskach śląskich w kształcie kartaczy.

– Nie ma już prawdziwych kartaczy, nie znajdzie pani – zaciąga podlaskim policjant, który mnie lizakiem zza krzaka zhałtował.

– Jeśli pani chce prawdziwe, to jedynie w domu ktoś może jeszcze pani zrobić.

200 złotych mnie ta informacja kosztuje, bo po *fake* kartaczach, przez wysoki-pienny, gęsty las pięć kilometrów jadąc, nie wiedziałam, że zabudowanym jadę. Cóż, Podlasie, nie tylko w lipcu.

Więc już wolniej, choć łżejsza, toczę się do Hajnówki, gdzie „Duch Puszczy” oraz „Wrota Lasu”. Miasto, w którym i turyści dają radę, i mieszkańcy, chyba już ostatnie takie, trochę sanatorium, trochę PTTK, stare Tatry, młodsze Bieszczady, pasowałyby tam w czasy przedeweloperskie, w epoce ante-SPA ta Hajnówka.

Cale szczęście, że wciąż tu jest i że choć wisi w powietrzu jakaś inwestycyjna at-

mosfera oraz kurz wzniesiony przez jelicze „murem za polskim mundurem”, wypadające z wyrąbanych przez Puszczę przecinek, obliczonych przez wojskowych drogowców w sam raz na ruski T-90, to wciąż bardziej Simona Kossak niż *all inclusive*. PRL-owskie prowincjonalne klocki instytucji, drewniane chaty, wciąż mieszkalne, jeden Orlen i zieleni.

– A pani pierwszy raz na Podlasiu? – pyta mnie letniczka, ta, co się tak snuje i bratać chce, bo tak, bratać chcą się letnicy, więc patrzą, wypatrują, pytają. Każdy moment chcą wykorzystać do bratania się, każdą lukę do opowieści o domach i zawodach, o dzieciach i o tym, że nie pierwszy raz są na Podlasiu, drugi raz w tej wsi, tutaj drugi raz, ale na Podlasiu to drugi nie, oj nie. Na Podlasiu już byli przed pandemią, niektórzy nawet w 1999 byli.

Po raz kolejny są. I byli nawet na Polesiu. – Wie pani co to?

– No wiem – myślę, lecz nie mówię.

– A pani pierwszy raz na Podlasiu?

– Nie.

– A który?

– Siódmy – mówię, choć nie wiem, czy piąty, ósmy, czy dwudziesty, ale siódemka jakoś tak ładnie brzmi, tak biblijnie.

– Aha – letnik trochę gąśnie, ale zaraz odżywa i opowiada mi, jak w cerkwi byli, o co ich lokals zapytał i gdzie następnym razem pojedą. On opowiada. Ona patrzy. Ja też patrzę. On zaciąga się IQOS-em, w zadumę popada, po czym głosem zmęczonym życiem stwierdza: – Nie wiem, gdzie. Wszędzie już byliśmy. Może w końcu ten Dubaj.

Chaty ze „Znachora”

Podlasie w lipcu, Orla z całą okolicą w dwóch językach zapisana, po polsku i po białorusku, tablice informują z dokładnością do 100 metrów, ile jeszcze do wsi, bo tak się kierowców informuje na Podlasiu, więc jest na przykład „Orla (Орля) 0,4 km”.

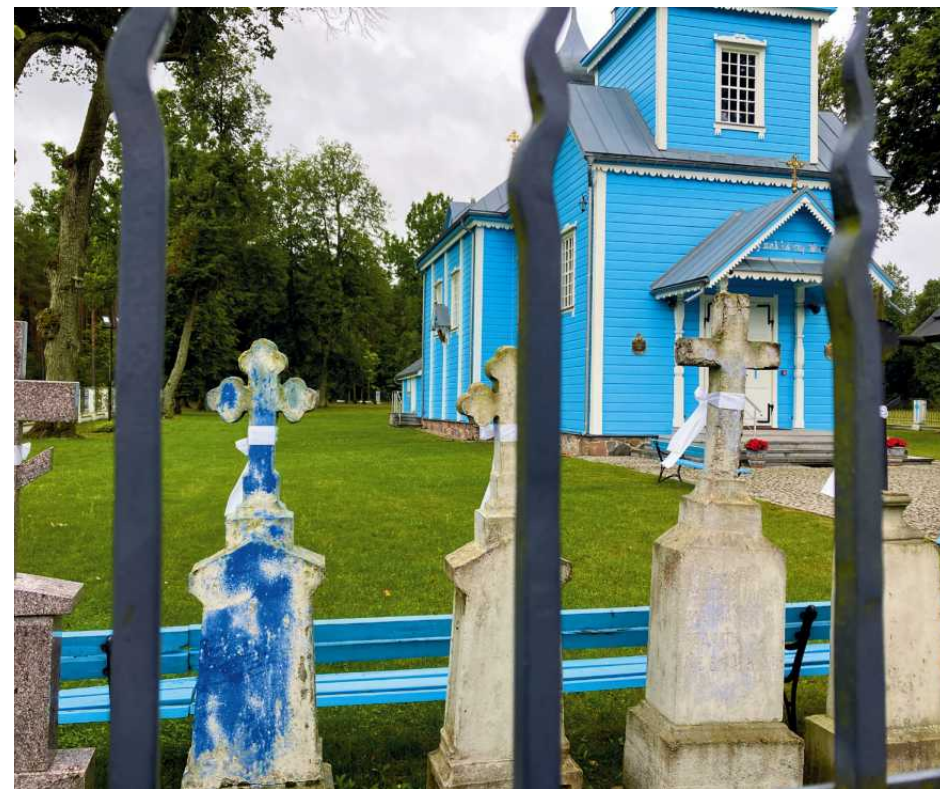
A na końcu tych 0,4 km jest synagoga z XVII wieku, magiczna, może dlatego, że bez tabliczki, ile mierzy metrów, wokół niej wystawa zdjęć, w środku surowe mury i przewodnik opowiadając, że w 1938 roku spaliła się wraz z większością Orli. Odbudowywali dzięki pieniądzą z Ameryki w dużej mierze i odbudowali, a tu trach! 1939. Chodzę po synagodze, oglądam wystawę, menory, makiety wsi i zdjęcia tych, których w Orli przestało być za wcześnie.

Podlasie w lipcu, ludzie siedzą przy drogach i sprzedają z koszyczków, co zebrali w lasach. Kobiety w chustkach, chłopcy w adidasach. Siedzą na przystankach, na parkingach, pod Chortenami i robią handel, a tylu ich jest, że spokojnie mogliby związek zawodowy założyć.

Podlasie w lipcu, Podlasie w Bielsku Podlaskim. Taki jest ten Bielsk, że gdy staniesz w jednym miejscu, to masz wszystko na raz.



Podlasie w lipcu. Zamknięte kioski z blachy, otwarte sklepy przydrożne, „U Romana”, „Alicja”. Billboardy nieliczne, liczni zaś żołnierze, którzy biegają po okolicy dla formy lub z rozkazu



• Cerkiew Podwyższenia Krzyża Pańskiego w Werstoku (gmina Dubicze-Cerkiewne)



Jaga, Jaga, wszędzie Jaga.
Tu w Bielsku Podlaskim. Z lewej mural
upamiętniający wkroczenie do miasta
wojsk polskich w 1919 r.

Patrzę na godzinę 11 i mam drewniane chaty, które grały w „Znachorze” (tym prawdziwym z Bińczęckim). Patrzę na godzinę 11:30 i street art widzę. Obracam się i zerkam na godzinę 17, a tu socjalizm plus kapitalizm wczesnego Balcerowicza, galeria reklam w najtiszszej kolorystyce i li-ternictwie. Na godzinie 16 pastelowy blok z lat 90, na godzinie 13 apartamentowiec, deweloper przeszklony i na biało.

W prawo na godzinie 15 Muzeum Obo-
ga Narodów, a w nim na ścianie odezwa
z roku 1927 „Do Wyborców Katolików”.
Ciekawe, myślę, więc czytam. „Głęboka tro-
ska przejmuję sumienie każdego prawego
Polaka i katolika, za kim należy oddać swój
głos, aby się nie zmarnował...”.

„Księża Biskupi” polscy napisali list pa-
sterski, który czytany był „ze stopni ołta-
rzy” ze wskazówką odnośnie katolicko-
ści BBWR-u, takiej postpilsudczykowskiej
Zjednoczonej Prawicy na sterydach, w sur-
dutach, rogatywkach i ostrogach.

A jakby dobrzy ludzie nie byli pewni, czy
dobrze ją zinterpretowali, to jeszcze jest ni-
niejsza odezwa, która odpowiada na wątpli-
wości, a odpowiedź jest „łatwa i jasna z sa-
mego Orędzia, że aż dziwne, iż można jej
nie wiedzieć”. Należy być posłusznym rzą-
dom, „anarchji” „Księża Biskupi” mówią
„nie”, „ogół obywateli jest obowiązany nie-
tylko uznawać powagę rządu, ale także
sprzeciwiać się prądom opozycyjnym”.

Dalej stoi o tworzeniu listy kandyda-
tów katolickich, dobrych i rozumnych, „że-
by cała ludność katolicka, mogła na nią ze
spokojnym sumieniem głosować”. Oraz
że „należy wpływać w sposób odpowied-
ni, aby głosy wszystkich zebrać właśnie na
tę listę”. 1927, ledwie wczoraj, a to już tak
dawno, już 98 lat minęło, a jednak tak nie-
dawno, ledwie wczoraj i jak dziś.

Podlasie w lipcu. Bociany i Hajda Ban-
da w głośnikach. „Niepraudivaya kali-
na” i „Od cymbalistów”. Nowe place zabaw
przy drogach, wszystko na unijny sznyt
zrobione: plac zabaw + siłownia + parking
dla rowerów + trzy miejsca parkingowe dla
samochodów, w tym jedno dla kierowców

z niepełnosprawnością + regulamin. Do-
minujący w małej architekturze, na oko ze
40 punktów.

„Tu już nie ma ludzi”

Europa, nie ma co gadać, „rozwija się Pol-
ska” – mówią ludzie, „pięknieje” – odmie-
niają przez przypadki, „parki robią, ławki,
mini skwerki” – mówią, „za unijne pieni-
dze” – powtarzają po wsiach, „domy kultu-
ry, centra, biblioteki”. A robotnicy już sie-
dzą w słońcu, tylko wylewają asfalt na dro-
gę w podlaskim lesie.

Gładki i czarny jak noc, aż kuriozalnie
wyglądają te szwajcarskie drogi w podla-
skim lesie, ale wojsko ma po czym jeździć,
a ja muszę się pilnować w trosce o kolejne
200 złotych.

Podlasie w lipcu. Bociany, sarny, kro-
wy, letnicy po rundzie w badmintona, „Cze-
mu w plot?”, „Żle uderzasz!”, „Prawie w sa-
mochód trafiłaś!”, idą na rundę z mikrofa-
lą, w której rozkręca się, jeszcze uwięzio-
ne w opakowaniach, biedronkowe taglia-
telle lub zafoliowane w tackach schabowe
z ziemniaczkami i kapustą lub buraczkami,
w Chortenie do wyboru.

Podlasie w lipcu i Turośń Kościelna, Mu-
zeum Fotografii Wiktora Wołkowa, moje
odkrycie, nikt nam tego Podlasia tak jak on
nie pokazał.

– Używał tylko aparatu analogowego
– tłumaczy przewodniczka. A ja czytam na
ścianie słowa Wołkow: „Piechotą, rowerem,
łódką, motorem, samochodem i samolo-
tem przemierzałem drogi i bezdroża Podla-
sia i próbowałem zarejestrować ginący kra-
jobraz.

Po latach pracy aparatem fotograficznym
zrozumiałem, że sprzęt i materiał są spra-
wą drugorzędną. Najważniejsze to myślenie.

Pracując sprzętem analogowym, ma się
do dyspozycji ograniczoną liczbę kadrów
i nad każdą kłatką trzeba się mocno zasta-
nowić”.

Oglądam zdjęcia Wołkowa i prezentacje
jego slajdów do muzyki, w kolejności i z ta-
kim soundtrackiem, jaki sam wybrał. Roz-
poznaję, Kitaro, to „Mandala”!



• Asfalt gładki i czarny jak noc, wojsko ma po czym jeździć. Droga w gminie Narew

Podlasie w lipcu, w miasteczkach
i wsiach stoją ławki przed domami.
Na wciąz, jak w 1920, 1940, 1960 i 1990,
i w 2000, siedzą ludzie. Starsza pani, star-
szy pan, rzadko para w wieku starszośred-
nim, jeszcze rzadziej dziewczynka, spora-
dycznie dwóch nastolatków nad komórką,
częśćniej kot. W Krywiatyczach mężczyzna
siedzi, w ciemnobrązowej marynarce, pod-
party prawie, jak „Myśliciel” Rodina, przed
nim stoi jego balkonik, a na nim wisi od-
blaskowa kamizelka, bo zaraz zakręt jest.
We wsi niedaleko Dubicz Cerkiewnych ko-
bieta siedzi w chustce na głowie, a w gło-
wie pamięć wszystkich 87 lat spędzonych
na tych ziemiach.

– Nie ma ludzi – powtarza. – Tu już nie
ma ludzi.

Siedzą ci ludzie na ławkach, a ja my-
ślę sobie, że nie wiem, czy jeszcze gdzieś
w Polsce ludzie potrafią tak siedzieć
po prostu.

Podlasie w lipcu, „Jaga” w sercu teraz
i zawsze, i na wieki wieków. Podlasie jest
jak nie w barwach Pronaru i Chortenu, to
w barwach żółto-czerwonych Jagiellonii
Białystok. Jaga, Jaga, wszędzie Jaga. Sklepy
w pasy, ściany w graffiti, dzieci w koszul-
kach. „W mieście Białystok, w tym, w któ-
rym żyję, oddałem serce drużynie”.

Geograficzny środek Europy

A na wjeździe do Białegostoku z południa
stoi on, stadion. Prawie jak sławna Bayern
Arena, ładniejszy nawet, tylko mniejszy,
Chorten Arena się nazywa i Jaga na nim gra.
Jadę dalej, a po obu stronach drogi
w mgnieniu oka wyrastają budynki. Jesz-
cze rok temu mijalam krzaki, zagajnik, ka-
pliczkę, opuszczony silos, poprzemysło-
wy klocek z wyblakłym transparentem
ku chwale pracy i Polski Ludowej w ro-
ku 1986.

Rośnie jak na drożdżach bimber, ten
Białystok, piękny i czysty, reprezentacyj-

ny. Deptaki, kawiarnie, odrestaurowane
kamieniczki i zakonserwowane drewnia-
ki, i sztuka. Idę na Joana Miró do Muzeum
Podlaskiego. Litografie katalońskiego ar-
tysty są jak to Podlasie, myślę sobie, cha-
os i humor jest, kolory i czerni, tajemni-
ca, magia, zabawa. Ekspresjonizm. To jest
to słowo.

Podlasie w lipcu, te bociany, żubry, po-
ła w złote zboża i niebieskie niebo, folk-
lor z kebabem, żołnierze nad zalewem,
terenowe ciężarówki mknące przez lasy
i obok kebabów, w cieniu starych wierzeń,
pod okiem starych ludzi na ławkach i przy
dźwiękach nowe disco. Ekspresjonizm.

Podlasie w lipcu. Didżeje Roks-M w sa-
mochodowych głośnikach informują
mnie po rosyjsku o korkach w Mińsku,
że prospekt Puszkina stoi, więc to stanie
w korku umilają białoruską muzyką dys-
kotekową, przy której pędzę między pola-
mi pszenicy i kukurydzy pod tym niskim
przedburzowym podlaskim niebem, gdy
140 na godzinę wyprzedzają mnie audi na
BS i BI blachach.

Wkurza mnie ten Mińsk, więc na Bia-
łoruskie Radio Racja przełączam, w nim
polski rock i przy tych polskich riffach ja-
dę przez Dolistowo Stare, przez Karpowi-
cze, przez Suchowolę jadę i tam hamuję,
żeby obejrzeć wielkie półkole z krzyżem,
które sobie na rynku postawili.

Łuk triumfalny, autentyczny z ołtarza
papieskiego, przy którym modlił się nasz
papież na lotnisku Krywlany w Białym-
stoku w 1991 roku. A to nie wszystko, bo
w Suchowoli mają też budynki cały w Po-
pieluszkę, bo ksiądz z Okopów, wsi w gmi-
nie Suchowola pochodził.

Oraz mają kamień ze słońcem, krzy-
żem i koniem. Który wszystko wyjaśnia
może nawet lepiej niż Miró. Z tego kamie-
nia dowiaduję się, gdzie jestem.

W lipcu na Podlasiu jestem w geogra-
ficznym środku Europy. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl

Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych
oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania
i skracania.

Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych
osobowych: iod@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;

PIERWSZY ZASTĘPCA,

REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL:

Roman Imielski;

ZASTĘPCY:

Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński;

MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla

WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski
(szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wie-
czorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski,

Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska

GRAFIKI: Paweł Kapusta, Tomasz Lebioda,
Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rud-
nikowski; FOTOEDYCJA: Marta Błażejewska,

Dominik Gajda (ale Historia)

LICENCJE NA TREŚĆ: licencje@wyborcza.pl

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska

8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan

WICEPREZES ZARZĄDU: Joanna Kwas

Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44

Rozpowszechnianie redakcyjnych
materiałów publicystycznych
bez zgody wydawcy jest zabronione.



Zaginione pięć miesięcy

**Podjęcie, że jest adoptowana, pojawiło się w gimnazjum.
Wiktorja czeka na osiemnastkę, idzie do USC. I szok**

Aleksandra Wróbel



FOT. GETTY IMAGES

Słuchaj się mnie, słuchaj się mamusi. Świat przeraża, strach się bać. Słuchaj się mnie. Nie chcę, by córusi mogło złego coś się stać” – śpiewa na ekranie Gertruda głosem Danuty Stenki.

– Ale franca, no popatrz, Wikusiu. Co za matka... – szepcze mama do dziewięcioletniej Wiktorii podczas oglądania „Zapłątanych”.

„Zapłątani” to animacja Disneya o porwaniu Roszpunki przez złą Gertrudę. Zamknięta w wieży dziewczyna nie może opuścić jej murów, bo według przybranej matki świat na zewnątrz jest bardzo zły. Roszpunka nie wie, że Gertruda ją porwała, a świat wcale nie jest taki okrutny. Córeczka po prostu nie może wiedzieć, że nie jest jej dzieckiem.

Kiedy w 2011 roku Wiktoria siada z mamą przed telewizorem, żeby poznać losy Roszpunki, nie wie jeszcze, ile mają ze sobą wspólnego.

Stoję tu i od razu wiem

Urząd Stanu Cywilnego w G. Miesiąc po swoich 18. urodzinach Wiktoria idzie sprawić sobie prezent. Zamówiła go przez internet, kosztował 33 złote. Trzyma właśnie w ręce swój akt urodzenia, nie byle jaki. Sporządzony zaraz po jej narodzinach w marcu 18 lat temu. Ma w rękach spokój, a przynajmniej tak o nim myśli. Żegnaj, matko, żegnaj, mój stary, bo ja już wiem wszystko.

Wbija wzrok w kartkę. Imię i nazwisko: Wiktoria Wolska. Wbija jeszcze bardziej. Imiona rodziców: Agata i Tobiasz.

Nasza bohaterka nazywa się Wiktoria Wolska. Bo nie jest adoptowana, jak myślała od pięciu lat. Czy tego chce, czy nie, jest córką nadopiekuńczej Agaty, a także Tobiasza, który porzucił je parę lat temu. Nawet gdy mieszkali pod jednym dachem, rzadko bywał w domu, a jeszcze rzadziej rozmawiał z córką.

Rozczarowana musi teraz wrócić do domu. Tam, gdzie zaraz będzie na nią czekać jej wścibska babcia Maria, która wychowuje ją razem z mamą.

Zakończ dramy, siedź u mamy

Podejrzanie, że jest adoptowana, pojawiło się, kiedy była w gimnazjum. Po pierwsze, dlatego że nie lubiła wybuchowości swojej rodziny. Po drugie?

Ma ciemne włosy, brwi, oczy. Agata jest bladą blondynką, Tobiasz też nie ma na głowie czarnej burzy loków, tylko – jak mówi Wiktoria – „świński blond”.

Poza wyglądem znajdowała inne argumenty. Mówi, że jest opanowaną, spokojną i miłą osobą. Rzadko kiedy się unosi, krzyczy, w ogóle denerwuje. Nie pamięta, kiedy ostatni raz się z kimś pokłóciła.

– Agata jest wybuchowa, niestabilna, kompletnie niedojrzała – opowiada Wiktoria. – Zawsze wzbudzała we mnie poczucie winy. Krzyczała, klóciła się, obrażała o najmniejsze drobności.

Agata zawsze była zdana na swoją matkę. Mieszkają w jednym domu, jeżdżą razem na wakacje, zakupy, podejmują razem decyzje. Nawet dzieckiem podzieliły się na pół. Wiktorię wychowywała babcia, ponieważ mama większość dni spędzała w pracy.

Obie bezustannie kontrolowały dziewczynę. Wiktoria musiała się ze wszystkiego tłumaczyć, meldować, wysyłać zdjęcia ze spotkań z koleżankami, aby mama z babcią miały pewność, że nie są okłamywane. I Wiktoria zawsze sumiennie wykonywała polecenia. Nie chciała popaść w nielaskę.

Mamci się posłuchaj

O ojcu Wiktora nie mówi za dużo. Nie dlatego, że nie chce albo jest to dla niej temat tabu. Po prostu go nie zna. Nawet dokładnie nie pamięta, kiedy wyprowadził się z ich domu. Początkowo zniknął na parę dni, aż w końcu nie pojawił się tam nigdy więcej. To, że tak łatwo ją porzucił, było dla niej sygnałem, że może jest adoptowana i dlatego mu nie zależy.

Kiedys Tobiasz powiedział Wiktorii: „Wiesz, jest jedna sprawa pomiędzy mną a matką dotycząca ciebie, o której na razie nie mogę ci powiedzieć. Ale jak już się dowiesz, o co chodzi, to wszystko zrozumiesz”.

Nie pytała wtedy, ale była pewna, że albo ją adoptowali, albo nie jest jej ojcem.

Co stracone, znajdź

W domu Wiktorii jest kilka albumów z jej zdjęciami od okresu niemowlęcego aż do teraz. Często siadały w trójkę i Agata z babcią komentowały: „No cała mamusia...”, „Oczka masz po babci”. Był jednak jeden problem. I nie chodzi o to, że Wiktoria podobieństwa nie widziała. Zdjęcia były podpisane zawsze z datą, a najwcześniejsza fotografia małej Wikusi była z sierpnia 2002, pięć miesięcy po jej urodzinach 16 marca.

Agata robiła jej zawsze miliony zdjęć. Widać to po jej profilu na Facebooku i ścianach w domu. Ale nie robiła ich przez pierwsze pięć miesięcy życia córki. I brakowało zdjęć w ciąży.

W gimnazjum nurtowało ją to na tyle, że rozpoczęła śledztwo. Kartkowała albu-

my, szukała kolejnych zdjęć. Znalazła swoją książeczkę zdrowia. Pierwsze daty badań czy szczepień pochodziły z sierpnia 2002 roku.

Postanowiła porównać grupy krwi. Wiktoria ma A Rh-. Zapytała więc matki: „Jaką masz grupę krwi, bo muszę na biologię napisać?”. Usłyszała: „Wymyśl jakąś losową, co tą babę to obchodzi?”.

Czekam i czekam, aż przyjdą nowe dni Jeszcze dziwniej się zrobiło, kiedy od jednej ze swoich koleżanek w gimnazjum usłyszała: „A ty wiesz, że jesteś adoptowana?”. Koleżanka miała na to niezbity dowód.

Przed narodzinami Wiktorii jej ojciec pracował u pana Andrzeja, jak się później okazało – wujka owej koleżanki. Żalił mu się, że Agata nie może zająć w ciążę, bardzo chcą, ale się nie udaje. Parę miesięcy później Andrzej zobaczył w centrum miasta Agatę z Tobiaszem, spacerowali z dzieckiem w wózku.

Wiktoria przyjęła początkowo tę historię z rezerwą. Wyobrażnia gimnazjalistów nie zna granic, a wujek Andrzej i cała jego rodzina byli znani z szerzenia plotek. Dało jej to jednak dziwne, ale realistyczne potwierdzenie, że jej poczucie bycia „inną” niż rodzina, wcale nie musi być tylko wymysłem. Miała 13 lat.

„Jak sprawdzić, czy jestem adoptowana?”. Przeważnie jest to jeden, odświeżany raz na pięć lat internetowy wątek z komentarzem: „I co?”.

Praktyczne porady: zapytać rodziców albo poprosić w USC o pełen odpis aktu urodzenia. W Polsce żadne prawo nie nakazuje rodzicom informować dzieci o tym, że są adoptowane. To wyłącznie ich decyzja, chociaż zaleca się, by dla dobra dziecka mu o tym powiedzieć.

Każdy pełnoletni obywatel ma prawo złożyć wniosek o pełny odpis aktu urodzenia. Może też ubiegać się o uzyskanie informacji o adopcji w ośrodku adopcyjnym i domu dziecka, w którym przebywał, lub w sądzie, który pośredniczył w adopcji.

Pięć lat później Wiktoria stała pod urzędem w G., patrząc zdruzgotana na akt, który miał zmienić jej życie.

Tyle chwil patrzeć i nie widzieć

Po powrocie do domu tamtego dnia Wika popatrzyła na dokument jeszcze raz. Jedna rzecz wydała się jej dziwna. Powracający motyw sierpnia 2002. Dokument sporządzono właśnie wtedy. Znowu wychodziło na to, że pięć miesięcy nie istniała.

Według polskiego prawa urodzenie dziecka należy zgłosić w ciągu 21 dni od wystawienia karty urodzenia. Kartę wystawia upoważniona do tego osoba, która odebrała poród – lekarz lub położna. Powinno się ją przekazać do USC najpóźniej trzy dni od jej wystawienia. Jeśli w ciągu 21 dni rodzic nie zgłosi się do urzędu, kierownik USC sam wybierze imię dla dziecka i zarejestruje jego urodzenie.

Z jednej strony Wiktoria miała dziwny akt urodzenia, zaginione pięć miesięcy jej życia, historię wujka Andrzeja, słowa jej ojca.

Z drugiej – na akcie widniało: Agata i Tobiasz. Jedyne, co mogła wtedy zrobić, to zapytać u źródła. W rodzinie. Z ojcem i dziadkami nie miała kontaktu. Bardzo się bała, że matka się dowie, że coś podejrzewa.

Była jednak pewna osoba z dalszej ro-

dziny. Kuzynka mamy, która nigdy nie mieszka się w rodzinne awantury i czasami kontaktuje się z Wiktorią. Inne niezaprzeczalne atuty: mieszka w Niemczech, jest skłócona z Agatą.

Ciocia Ewelina zapraszała Wiktorię wcześniej do siebie, bezskutecznie, bo Agata nie mogła znieść myśli, że jej córka mogłaby jechać do „Niemki”. Ale po 18. urodzinach dziewczyna postanowiła twardo negocjować odwiedziny u ciotki.

Miesiąc później Wiktoria jechała za granicę. Nie miała żadnej gwarancji, że Ewelina jej coś powie. Ale miała pewność, że nie doniesie mamie.

Pod koniec pobytu u ciotki postanowiła spytać. Zaczęła od sprostrzeżeń, że nie wygląda jak Agata i Tobiasz, zachowuje się inaczej, potem przeszła do opowieści swojej koleżanki. Cały ten czas Ewelina miała pokerową twarz, nie dało się z niej nic wyczytać. Padło pytanie: „Więc: czy ja jestem adoptowana?”.

Po chwili mocnego wahania usłyszała: – Adoptowali cię, jak miałas parę miesięcy, mniej niż pół roczku. Wzięli cię z ośrodka adopcyjnego w P. Twoja rodzina cię oddała, ale nie wiemy, co to za ludzie. Nikt nigdy ci o tym nie powiedział, bo Agata zagroziła każdemu, że jak się kiedyś dowiesz, to papla źle skończy.

Cieszę się, że zeszlam z wieży

Minęły już cztery lata od tej rozmowy z ciotką. Po powrocie do Polski Wiktoria nie powiedziała matce, że wie. Zamierzała to zachować na czarną godzinę, w której musiałaby walczyć o swoją wolność szantażem. Bała się, że nadopiekuńcza matka nie pozwoli jej wyjechać na studia i spełniać marzeń.

Po potwierdzeniu, że jest adoptowana, miewała sporo trudnych myśli. Kim jest jej prawdziwa rodzina? Czy ma rodzeństwo? Czemu ją oddali? Jeśli nie chcieli dzieci, to spoko, ale co, jeśli biologiczna mama umarła przy porodzie? Aż chciałaby ją za to przeprosić. Skąd pochodzi? Bo nie wygląda na Polkę. Może spotkali się kiedyś na ulicy? Czy powinna ich szukać?

Niedługo po wizycie w Niemczech zdała maturę, wyjechała na studia do S., o dziwo

Agata nie miała z tym problemu. Na drugim roku przeprowadziła się tam z najlepszą przyjaciółką. Odkąd nie mieszka z matką i widzą się raz na parę tygodni, jest między nimi dużo lepiej.

Pozostała kwestia, kim oni są. To był męczący, nieodkryty rozdział powodujący nieustanne kryzysy tożsamości.

W Polsce adoptuje się rocznie około 2,5 tys. dzieci. Brakuje natomiast danych na temat świadomości adopcyjnej dzieci w Polsce. Nie wiadomo, ile z nich nie wie, że są adoptowane.

Wiktoria ponownie weszła do Urzędu Stanu Cywilnego w G. Zamierzała szukać, aż znajdzie prawdziwy akt urodzenia. Bo jeśli w tym urzędzie dostała zmieniony, to gdzie jest ten pierwszy?

W urzędzie w G. dowiedziała się, że oryginalny, przedadopcyjny akt urodzenia znajduje się w miejscu zgłoszenia go, a więc najczęściej w mieście urodzenia dziecka. „Wersja demo” tego, kim adoptowane dzieci stają się później.

Każdy pełnoletni obywatel ma prawo o taki poprosić. A że Wiktoria urodziła się w P., to po prostu szukała go w złym mieście. Po

wizycie w urzędzie w P. i złożeniu wniosku o wydanie jej pełnego aktu urodzenia, dostała ten papier, którego od tyłu lat szukała.

Oto, co znajduje się na odtaśnionym akcie urodzenia z ksiąg:

Niniejszy akt urodzenia skreśla się na podstawie art. 48 prawa o aktach stanu cywilnego i nie podlega ujawnieniu.

Nasza bohaterka nazywa się naprawdę M.L., urodziła ją kobieta imieniem B., dane ojca zostały zmyśnione. Jeśli tożsamość ojca dziecka pozostała nieznana, pracownik urzędu rejestrujący dziecko wybiera dla ojca losowe imię. Tak żeby rubryka nie była pusta. Wybrał też imię dla naszej dziewczynki, bo skoro matka postanowiła od początku, że ją odda, to jej nie nazwała. Na podstawie art. 50 ust. 2 Prawa o aktach stanu cywilnego nadano dziecku wymienionemu w tym akcie imię M. z rzekomym ojcem J. Na podstawie art. 42 ust 2. Prawach o aktach stanu cywilnego wpisano nazwisko L. jako nazwisko i nazwisko rodowe ojca i z urzędu imię J. jako imię ojca.

Według aktu, kiedy B. urodziła Wiktorię, miała 40 lat. Znalezienie jej na Facebooku było łatwiejsze, niż Wiktorii się wydawało. Na jej profilu znalazła informację, że B. nie ma męża ani nie jest w związku, chociaż doczekała się poza Wiktorią trójki dzieci. Dwóch synów i jednej córki.

– Nie znam ich, ale nie wyglądają na kogoś, z kim chciałabym się kontaktować. Nadal nie wiem, dlaczego mnie oddali, kim jest mój ojciec, ale nie potrzebuję już tego. Teraz najważniejsza jest dla mnie terapia, zażegnanie problemów z tożsamością i poznanie lepiej rodziny Tobiasza.

Agata nie zdaje sobie sprawy, że Wiktoria o wszystkim wie. Jeżeli kiedyś powie matce, to powiadomi ją wyłącznie listem. Kontakt na żywo spowodowałby awanturę, w której Agata nie dałaby jej dojść do słowa.

Kiedy znowu oglądają rodzinnie „Zapłątanych” i Agata komentuje:

– Ale franca, no popatrz, Wikusiu. Co za matka...

Wiktoria, bez emocji:

– No, chora baba. ● Imiona zostały zmienione na prośbę bohaterki.

KONIEC „SKAKANIA PO KANAŁACH”



Tradycyjny model konsumowania telewizji jest skazany na zagładę. Nie oznacza to, że w przyszłości całkowicie z niej zrezygnujemy.

Z DR. **KRZYSZTOFEM GRZEGORZEWSKIM**, MEDIOZNAWCĄ*
ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**

DAMIAN NOWICKI: Telewizja będzie hybrydowa – czyli zarówno z programami tradycyjnymi oraz treściami interaktywnymi, dostarczonymi za pomocą internetu. Media będą zdecentralizowane, wzrośnie rola mniejszych twórców i nadawców. Tak wynika z raportu, który na zlecenie Sony przygotowała firma The Future Laboratory. Czy to oznacza koniec TVN czy TVP w „tradycyjnym” kształcie?

KRZYSZTOF GRZEGORZEWSKI: Jeżeli przyjmujemy, że tradycyjny kształt to taki, w którym proponuje się nadawanie programu, filmu lub serialu do odbiornika konkretnego dnia i o konkretnej godzinie, a jeżeli się go nie obejrzy na żywo, to zostaje jakiś obieg powtórek albo przepada, to nie widzę dla nich miejsca.

Czyli siadanie na kanapie i oglądanie telewizji na zasadzie „zobaczmy, co tam grają” jest nie do obronienia?

– Taki sposób konsumpcji telewizji nie ma żadnych szans przetrwania. Jest historia, która na naszych oczach się domyka. Coraz więcej rzeczy trafia na YouTube, a poza tym forma VOD, czyli mediów na żądanie, rozbiła ramówkowy dyktat, ponieważ jest szalenie wygodna, zwłaszcza dla ludzi o intensywnym tempie pracy. Po sobie widzę, że w ciągu ostatnich lat oferta internetowa bardzo się wzbogaciła, zdywersyfikowała i wzmocniła jakościowo.

Nie oznacza to jednocześnie, że telewizja nagle umrze. Sporo ludzi myśli jeszcze „klasycznymi” kategoriami.

Faktycznie, coraz więcej treści znajduje się już tylko w internecie, ale nawyk do podejrzania, „co tam w telewizji”, wciąż jest obecny. Miliony ludzi mają telewizory, aby gdzieś oglądać te filmy i serie, a skoro internet i kablówka idą w pakiecie, to biorą, a jak już kupili, to włączają. Mam tu na myśli przede wszystkim starszych mileniów w wieku 40+ i wyżej.

To chyba jednak labędzi śpiew „starego świata”. Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji w corocznym raporcie podała, że średni czas oglądania telewizji w Polsce w II kwartale 2024 roku wyniósł 3,5 godz. dziennie. W 2015 roku było godzinę więcej. Poza pandemicznymi lockdownami trend spadkowy jest systemowy i ma jedynie przyspieszyć.

– Owszem, jest to nieuniknione, ale nawet jeśli uwzględnimy naturalną wymianę pokoleń, to proces wygaszania telewizji w Polsce potrwa jeszcze co najmniej kilka dekad. Moim zdaniem z telewizją będzie jak z prasą drukowaną: dzienniki w końcu przesta-

ną istnieć, ale jakieś okazjonalne tygodniki czy miesięczniki będą się ukazywać.

Prędzej czy później telewizja dokona znaczącej transformacji. Skończy się „skakanie po kanałach”, natomiast w swoich paradygmatach przetrwają gatunki telewizyjne. Podobnie jak nadawanie na żywo, ale jaki to będzie miało kształt i format, zdecyduje nie tyle technologia, co ludzka biegłość w jej obsłudze. W sensie, że gdzie i jak, mając – powiedzmy – 70 lat, będę w stanie najpierw znaleźć, a potem odtworzyć dany program.

Polskie Radio i Telewizja Polska nie znikną, jeżeli postawimy na twórców, którzy będą robić niezależne programy. Szansę na publiczne media z misją, co kiedyś robiła tradycyjna telewizja, stwarza właśnie internet. To w sieci znajdziemy dzisiaj wielu ludzi, którzy przyszli tam z zamiarem robienia dobrych programów, a dopiero potem pieniędzy.

To samo dotyczy się oddziałów regionalnych TVP, które moim zdaniem powinny być samodzielnymi osobami prawnymi. Regionalną Trójkę w latach 90. oglądało się namiętnie nie tylko dlatego, że rynek mediów prywatnych dopiero powstawał, ale ponieważ była tam cała masa ludzi robiących znakomite rzeczy, np. Bogumiła Wąder, Wojciech Barczak czy Marek Palczewski. Ten sam mechanizm powinien wydarzyć się w przyszłości, tyle że w internecie, gdzie jest więcej miejsca, oddechu i nie ma tak dużych nacisków jak w tradycyjnych redakcjach.

Ten sam raport podaje, że osoby z grupy wiekowej 13-29 lat spędzały przed телеви-

zorem średnio niewiele ponad godzinę, a widzowie 50+ ponad 6 godzin. Telewizję można już teraz nazwać „medium starszych osób”?

– Populacja się starzeje, a seniorzy już dzisiaj nierzadko traktują telewizję jako zagłuszacz ciszy i samotności na zasadzie „aby ktoś gadał w tle”. Nie zgodzę się z określeniem jej „starczym medium”, ponieważ dotyczy nie tylko seniorów. Trzeba zwrócić uwagę, że oglądalność telewizji jest najwyższa wśród starszych pokoleń Polaków ze względu na historyczne jej funkcje oraz rolę społeczną. Wtedy oglądalność nie tylko była gigantyczna, ale też rytualna, a poszczególne programy, zwłaszcza informacyjne, wyznaczały ludziom rytm dnia. Mam ponad 40 lat i na „tradycyjnej” telewizji się wychowałem, więc rozumiem ludzi, którzy organizowali sobie dzień wokół „Teleexpressu” czy „Wiadomości”.

To, co kiedyś było zaletą, ponieważ powodowało rytualizację życia społecznego, powinno zostać zredefiniowane względem dzisiejszych potrzeb. Kiedy rozmawiam z moimi studentami albo czytam ich prace, to często mowa jest o wspólnym doświadczaniu czy oglądaniu, tylko że jest to np. Netflix.

Oglądanie telewizji, choćby wydarzeń sportowych czy wieczorów wyborczych, stwarza poczucie wspólnotowości. Streaming – czy w ogóle media internetowe – będzie w stanie to robić?

– Budowanie wspólnot i uczestniczenie w nich zostało kompletnie zmienione przez rozwój technologiczny. Telewizja



FOT. SHUTTERSTOCK

przestała być rytuałem, jakim była w jeszcze latach 90., a rolę czynnika wspólnototwórczego przejął internet. Dziś, zamiast przed odbiornikiem, ludzie zbierają się chociażby wokół gier online.

Myślę, że nieistotne będzie już, czy oglądamy coś w telewizji czy w streamie internetowym. Ludzie skupią się bardziej na treści czy gatunku przekazu niż na medium jako takim. To będzie wyłącznie kwestia techniczna bądź preferencyjna. Tworzenie rytuałów i społeczności będzie koncentrowało się wokół zjawisk bądź tego, co będzie się chciało przeżywać.

Pandemia jedynie przyspieszyła atomizowanie się społeczeństwa w kierunku archipelagu mniejszych wspólnot. Co oczywiście przełoży się na produkcję telewizyjną, ponieważ tworzenie programów albo robienie transmisji na ogólnopolską skalę, wedle zasad tradycyjnie rozumianej telewizji, już nie jest możliwe. Czas, gdy jakkolwiek program osiągnął np. 10 milionów widzów, skończyły się razem z XX wiekiem.

Ludzie nie chcą też już tylko biernie konsumować mediów i „jedynie” oglądać lub słuchać, ale w czasie rzeczywistym komentować, szerować czy recyklingować treści.

– Warto dodać, że takie przekonanie panuje nie tylko wśród dzisiejszej młodzieży, ale też osób w średnim wieku. Współczesny świat pokazuje dwa bardzo poważne ograniczenia telewizji, z których pierwszym jest bycie medium towarzyszącym, czyli przeznaczonymi do biernego odbioru. Fakt, że nie możemy wybrać, kiedy coś

oglądać, w pewnym sensie narusza wolność do planowania sobie dnia. Internet tych ograniczeń nie ma. Radio się wybryni, bo najczęściej słuchane jest podczas innych czynności, np. jazdy samochodem czy pracy.

Drugim, chyba większym ograniczeniem telewizji są kwestie produkcyjne i techniczne. Weźmy rozmowę przed kamerą: jeśli się klei, bo zarówno prowadzący i gość programu są merytoryczni i charzmatyczni, to może trwać i trwać, a zaniekawieni odbiorcy wytrzymają do końca. Jakość się obroni nawet, gdy ma trzy godziny albo i więcej.

To długo, ale VOD czy internet dają widzowi możliwości zrobienia przerwy, obejrzenia tego na raty. W telewizji nie wciśniemy pauzy, za to wszyscy będą krzyczeć, aby kończyć, bo zaraz przerwa reklamowa albo kolejna pozycja z ramówki. I jeśli taka Monika Olejnik dostaje 20 minut rozmowy z jakimś politykiem, to co ona może z tego wyciągnąć? To, że politycy nie mają dzisiaj nic mądrego do powiedzenia, to inna kwestia, ale 20 minut na jakiś poważny temat to jest zwracanie głowy.

Telewizja historycznie pełniła funkcję informacyjną, rozrywkową i edukacyjną. Po rozrywkę idziemy teraz na platformy streamingowe, informacje czerpiemy z serwisów społecznościowych albo z YouTube’a, a programów edukacyjnych chyba nikt już nie ogląda, skoro dzieci i młodzież stanowią najniższy procent oglądalności. Jaką zatem dzisiejsza telewizja pełni funkcję?

– Dobre i ciekawe treści edukacyjne w telewizjach publicznych w Polsce skończyły się na początku XXI wieku, a w prywatnych kilkanaście lat temu. Jeżeli chce pan dzisiaj oglądać formy edukacyjne, to nie będzie ich pan szukał w ramówce TVP, TVN czy Polsatu, ale włączy pan kanał przeznaczony dla tego tematu, który jest przede wszystkim komercyjny. Śmiem twierdzić, że obok całego ładunku cenzury czy propagandy mediów w PRL było mnóstwo programów wartościowych, które wychowywały ludzi kulturalnie, muzycznie czy publicystycznie, ponieważ wartość edukacyjną wpisywano w misyjność telewizji publicznej. Raczując rynek komercyjnej telewizji i radia z początku lat 90. też starały się uczestniczyć w kształtowaniu potrzeb obywateli, zanim przyszło formatowanie i rozrywka na ujednoliconym poziomie.

Dzisiaj telewizja przede wszystkim pełni funkcję opiniotwórczą. Teoretycznie Polacy czerpią informacje głównie z serwisów społecznościowych czy internetu, ale to telewizja dalej jest najbardziej wpływowym ośrodkiem, który kształtuje ludzki osąd na sprawy. Dlatego też programy publicystyczne wciąż są popularne i często plasują się w czołówce rankingów oglądalności, np. Nielsena. Jednocześnie spośród wszystkich mediów telewizja najbardziej sprzyja paralelizmowi politycznemu i kilka sekund po tym, jak pan włączy TVN albo Telewizję Republika, to widać, kogo te media popierają. W krajach, gdzie media są na wyższym poziomie, we Francji, Anglii czy państwach skandynawskich, poziom paralelizmu jest mniejszy.

Inna sprawa, że jako konsumenci mediów lubimy oglądać, jak politycy skaczą sobie do gardeł. Przewracamy oczami, narzekamy, jakie to chamskie, albo śmiejemy się, że jakie to głupie, ale nie oderwemy wzroku. A skoro oglądamy, to nie tylko pozwalamy na takie zachowanie, ale normalizujemy i de facto premiujemy.

Czy to nie pokazuje naszej hipokryzji jako odbiorców? Urozrywkowanie przekazów informacyjnych sprawiło, że kontent musi być mocniejszy, bardziej szokujący i agresywny. Narzekamy na polaryzację i pauperyzację mediów, a jednocześnie kliknięciami

i odsłonami dajemy sygnał, że chcemy oglądać jeszcze większą siećkę.

– To nie jest hipokryzja, ale coś dużo poważniejszego, stale obniżające się normy społeczne, dojrzałość odbiorców i umiejętność korzystania z tych źródeł.

Jeżeli sprecyzowanie własnych potrzeb intelektualnych, informacyjnych czy kulturalnych jest na niskim poziomie, to ta najgorsza strona branży rozrywkowej to wykorzysta.

Sklamalbym, gdybym powiedział, że nie bawi mnie zerknięcie czasem na polityczny kabaret „publicystów”, bo niestety jest to szalenie rozrywkowe, ale jednocześnie wiem, gdzie szukać rzetelnych informacji. Wykonałem trud, aby nauczyć się korzystać z dostępnych źródeł, i mam świadomość, co mnie wzbogaci na poziomie informacyjnym, a co na rozrykowym. Niestety nie wszyscy ów trud wykonują.

W pewnym momencie media, nie tylko telewizja, skomercjalizowały się i zaczęły serwować chłam, bo generuje oglądalność i przychody z reklam. Problem polega na marginalizacji merytorycznych treści o wysokiej jakości, których przecież wcale nie brakuje. Dlatego mimo wszystko przemiany medialne, które obserwujemy, oceniam pozytywnie, ponieważ zachodzi proces ich demokratyzacji. To zabrzmi banalnie, ale dzięki mediom internetowym mamy więcej wolności.



***Populacja się starzeje,
a seniorzy już dzisiaj
nierozadko traktują
telewizję jako
zagłuszczac ciszy
i samotności na zasadzie
„aby ktoś gadał w tle”***

A nie boi się pan, że te „zdrowe” media będą dostępne dla nielicznych, bo próg wejścia będzie tylko rósł, a młodzi ludzie nie będą w stanie zrozumieć zakulisowych mechanizmów, np. jak serwisy społecznościowe manipulują przekazem, oddziałują emocjami itp.?

– Nie, bo niezależnie, czy to jest polityka, kultura, muzyka czy motoryzacja, wszystko zaczyna się od edukacji. Moim zdaniem kierunek, w którym idziemy, jest dobry, ale to się dzieje bardzo powoli i powinniśmy skupić się na edukacji medialnej już w pierwszych etapach szkolnictwa. Nie uczymy młodych ludzi, jak korzystać z mediów, ponieważ panuje przekonanie, że oni „sami to jakoś ogarną”, tak jak moje pokolenie „ogarnęło” w latach 90. I stąd to rozwarstwienie, że z jednej strony są ambitne, trzygodzinne rozmowy, a z drugiej freak fighty.

A może doczekamy się obiegu informacji dwóch prędkości? Z jednej strony będą treści schowane za paywallem, jakościowe, pogłębione i dobrze zrobione, a za darmo zostanie tylko polaryzacja i infotainment.

– Już tak jest, ale jednocześnie, dzięki nam, może tak nie być, jeżeli równolegle z edukacją pojawi się kultura wspierania treści. Gdy śledzę polską mediosferę, wydaje mi się, że coraz więcej osób nie wymaga od twórców postprodukcji na bardzo profesjonalnym poziomie, ale żeby mieli jakiś kręgosłup i osobistą uczciwość, a rzeczy, które robią, wnosily coś więcej niż polaryzację, gniew czy strach. Mam świadomość, że póki co, zgodnie z zasadą „gorszy pieniądz wypiera lepszy”, w internecie jest więcej chłamu niż wartości, ale myślę, że to się zmieni.

Co zmiany na rodzimym rynku medialnym mówią o Polakach? Staliśmy się bardziej świadomymi konsumentami, lepiej i skuteczniej przeszukujemy media czy raczej bezkrytycznie i coraz częściej bezmyślnie je konsumujemy?

– Jedno i drugie. Sam fakt, że już mogę znaleźć mądre treści w tzw. mediach szybkich, czyli rolkach, reelsach czy stiskach na przestrzeni TikToka czy Instagrama, świadczy, że jest lepiej. Jednocześnie mamy do czynienia z coraz częstszą dezinformacją i socjotechnikami, chociażby na Facebooku, ale na to wpływ ma też fakt, kogo się ma w znajomych.

Byłbym ostrożny z demonizowaniem, ponieważ rzeczywistość jest złożona i niejednoznaczna. To, że np. w zakładce „trending” na YouTube w większości jest merytoryczny szrot, nie oznacza, że wszyscy użytkownicy są bezmyślni.

Uważam, że Polacy są coraz sprawniejszymi użytkownikami mediów. Mam wrażenie, że spotykam coraz mniej młodych ludzi, którzy dają się mediom oszukać.

A jednocześnie to młodzi oglądają te wspomniane freak fighty, to młodzi śmieszczą z „orających się” polityków czy dają się złapać na haczyk antyimi-granckiej narracji.

– Owszem, ale nie wszyscy. Co do freak fightów, to uważam, że tu chodzi głównie o ubaw i memy, i mało kto ogląda całe te gale z uwagą. Jednocześnie takie zacie-trzewienie i radykalną polaryzację, że albo polakożerny lewak, albo Polak-patriota, dostrzegam raczej u starszego pokolenia. Jak obserwuję to najmłodsze, które chyba inaczej patrzy na świat i media, to chcę wierzyć, że będzie lepiej. Tak jak kiedyś śpiewał Wojciech Młynarski, „to jest tylko smutne miasteczko, ono kiedyś pojedzie”.

Słucham pana i mam wrażenie, że żyję w paralelnym internecie. Skąd u pana tyle optymizmu?

– Być może wychodzi ze mnie edukator, ale naprawdę uważam, że lepiej będzie zakasać rękawy i pokazać młodszym ludziom dobre wzorce, i sprawić, żeby lepsze, mądrzejsze i zdrowsze media wyparły te toksyczne. Dlatego też w ramach zaliczenia zajęć z nowych mediów proszę moich studentów o stworzenie dowolnego projektu multimedialnego. Mówię im, aby weszli do naszego uczelnianego studia nagraniowego i zrobili jakąkolwiek formę: vloga, podcast, wywiad, sluchowisko. I powiem panu, że coraz więcej osób robi rzeczy, które są na całkiem sensownym poziomie.

Czy pana zdaniem manipulacja informacjami jest łatwiejsza w internecie niż w telewizji czy w radiu? Nie mam na myśli jawnego kłamania czy rozsiewania dezinformacji, ale zacierania granicy między prawdą a fałszem.

– Oczywiście, ale jedyną możliwością walki z nią jest pilnowanie i obnażanie jej mechanizmów. Po to właśnie na kierunkach medialnych są zajęcia z NOK-u, czyli nauki o komunikowaniu, gdzie uczy się perswazji, manipulacji i wielu innych rzeczy, aby młodzi ludzie nauczyli się te mechanizmy wyłapywać. Nauczyciel zawsze będzie miał trudniej od sprawnego demagoga, ale nie ma innego wyjścia. ●

***Dr Krzysztof Grzegorzewski**

• adiunkt w Katedrze Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Łódzkiego i komentator polskiego dyskursu medialnego. Od 2015 r. współpracuje z Centralnym Gabinetem Edukacji Filmowej oraz Łódzkim Centrum Doskonalenia Nauczycieli, prowadząc wykłady o tematyce dziennikarskiej i medialnej dla nauczycieli i młodzi.

Europa Środkowa Milana Kundery

GEOPOLITYKA
I GEOPOETYKA

Europa Środkowa odgrywa na międzynarodowej scenie psychodramę niewinności. A reżyserem jest strach przed prawdą o tym, co mamy na sumieniu.

Przemysław Czapliński*

Lesej Milana Kundery „Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej” ukazał się w listopadzie 1983 r. we francuskim czasopiśmie „Le Débat”. W kwietniu 1984 opublikowano tłumaczenie w „The New York Review of Books”.

Po obu stronach Atlantyku ruszyła wielojęzyczna dyskusja, więc do polskiego przekładu opublikowanego w „Zeszytach Literackich” (nr 5/1984) dodano teksty polemiczne przełożone z węgierskiego, francuskiego i angielskiego. (Cytowane tu wydanie polskie: Kundera, „Zachód porwany...”, przeł. Marek Bieńczyk, Warszawa 2023).

Przez następne lata esej nabierał wagi, aż na początku lat 90. okazało się, że dla Europy Środkowej ma takie znaczenie jak późniejszy o kilka lat „Koniec historii” Fukuyamy dla polityki globalnej.

W eseju Kundera przedstawiał dramat Polaków, Węgrów i Czechów (Słowaków nie wymieniał), którzy w wyniku postanowień jałtańskich znaleźli się po 1945 r. pod dominacją Rosji radzieckiej.

Spółcności te regularnie podnosiły bunt przeciw komunizmowi - na Węgrzech i w Polsce w roku

1956, w Polsce i w Czechosłowacji w 1968, w Polsce w latach 1970, 1976 i 1980. Przyczyną buntów było doświadczanie przemocy, natomiast podstawą oporu - własne dziedzictwo kulturowe.

Europa Środkowa według Kundery chciała być esencjonalnym obrazem Europy z całym jej wielowymiarowym bogactwem. Małą arcyeuropejską Europą, miniaturowym modelem Europy narodów według zasady: maksimum różnorodności na minimum przestrzeni. Jakże zatem nie miał jej przerażać sąsiad - Rosja, która wyrastała z zasady przeciwnej: minimum różnorodności na maksimum przestrzeni?

Po jednej stronie Kundera usytuował zatem arcy-Europę z jej bogactwem narodów, kultur, wier i języków, z charakterystyczną dla niej pochwałą różnorodności i zasadą rozwiązywania konfliktów społecznych bez użycia siły. Po drugiej umieścił anty-Zachód, czyli Rosję, w której jednolitość to obowiązująca zasada tożsamościowa, a przemoc to metoda jej egzekwowania.

Budując tę opozycję - opartą na wyidealizowanym obrazie Europy Środkowej i zhorroryzowanym wizerunku Rosji - pisarz dokonał rzeczy niezwyklej: rozsunął Wschód i Zachód, odsłaniając zapomniany obszar pomiędzy nimi; wprowadził do ogólnoeuropejskiej debaty wizerunek regionu, w którym kultura stanowi o tożsamości zbiorowej; zaproponował pozapolityczną narrację, która wyjaśniała ponadnarodowy opór wobec ZSRR.

Jednocześnie uzasadnił postawę rewindykacyjną wobec Zachodu. Rosja radziecka w jego ujęciu okazywała się kolizatorem obcych sobie kulturowo przestrzeni, Europa Zachodnia zaś wychodziła na zdradczynię, która u schyłku II wojny światowej w zamian za bezpieczeństwo i sytość porzuciła swoją młodszą siostrę. (Młodsza siostra - określeniem tym, które nie pojawia się w eseju Kundery, nawiązując do monografii Jerzego Kłoczowskiego „Młodsza Europa. Europa Środkowo-Wschodnia w kręgu cywilizacji chrześcijańskiej średniowiecza”, Warszawa 1998).

Mimo uproszczeń (a może dzięki nim) Kundera przemienił geopolitykę w geopoetykę. Przez cały okres powojenny mapa Europy była zakładniczką determinant ideologicznych. Zimna wojna opierała się na uznaniu nienaruszalności granic, a więc nienaruszalności narracji. Esej o Europie Środkowej uruchomił wyobraźnię i mapa okazała się pochodną opowieści, a nie polityki.

W licznych polemikach z esejem Kundery (m.in. Adama Zagajewskiego i Jánosa Kisa) kwestionowano jednolity obraz Rosji i kultury rosyjskiej, podważano obraz Europy Środkowej bez prześladowań (Timothy Snyder), rozszerzano obszar o państwa bałtyckie (Miłosz).

Choć jednak spierano się o rozległość i cechy tożsamościowe, zasadniczo w drugiej połowie lat 80. był zwany Europą Środkową uznawano za pełnoprawną inspirację. Nie kwestionowano ani faktyczności samej opowieści, ani jej przydatności w budowaniu przyszłej Europy. Akceptowano cel: opowiedziana przez Kunderę mapa kulturowo-geograficzna ukazywała Środek tożsamy z Zachodem, co prowadziło do przyspieszenia historii, która powinna zakończyć się powtórnym przyłączeniem Środka do Zachodu.

Po rozpadzie imperium sowieckiego i po odzyskaniu niepodległości przez państwa Europy Środkowej stała się rzecz bezprecedensowa - historia regionu zaczęła się toczyć pod dyktando eseju: w 1991 r. Polska, Czechosłowacja (od 1993 - Czechy i Słowacja) oraz Węgry zawiązały sojusz zwany Grupą Wyszehradzką, opierający nowe stosunki między państwami na wspólnej tradycji kulturowej.

Te same państwa w 1992 r. utworzyły CEFTA (Central European Free Trade Agreement, Środkowo-europejskie Porozumienie o Wolnym Handlu) - pierwszy międzynarodowy sojusz posługujący się określeniem „Europa Środkowa” jako pełnoprawną kategorią polityczną. W 1994 r. państwa Euro-

py Środkowej złożyły wniosek o członkostwo w Unii Europejskiej, w 2003 podpisały traktat akcesyjny, a w 2004 oficjalnie (razem z sześcioma innymi państwami) zostały przyjęte do Unii.

20 lat po ukazaniu się „Zachodu porwanego” nastąpił więc moment spełnienia programu geograficzno-kulturowego wyrażonego przez esej: ZSRR stracił swoje imperialne panowanie nad połową kontynentu, a Europa Środkowa połączyła się z Zachodnią. Rok 2004 zakończył dramatyczne dążenia do instytucjonalnego zakorzenienia Europy Środkowej w Unii.

Koniec ten okazał się równocześnie początkiem nieoczekiwanego konfliktu.

Dziś, po kolejnych dwóch dekadach, wznowienie „Tragedii Europy Środkowej” jest zasadne. Równie zasadne albo nawet konieczne wydaje się jednak wznowienie sporu o tekst Kundery, ponieważ lektura „Zachodu porwanego” wywołuje dziś konfuzję.

Z jednej strony możemy dzięki esejowi zrozumieć błyskawiczny proces, który w latach 90. skleił - w gruncie rzeczy niezbyt sobie bliskie - państwa; łatwość, z jaką kroczone ku Zachodowi; wreszcie godność wynikającą z mitu „powrotu do Europy”, który mówił, że państwa Środka nie tyle „są przyjmowane do Europy”, ile odzyskują dawne w niej miejsce.

Z drugiej strony esej nie pozwala zrozumieć dalszego ciągu, zwłaszcza ostatniej dekady. Należy więc skonfrontować go z naszą teraźniejszością i zadać serię pytań „dlaczego?”:

Dlaczego 20 lat po wejściu do Unii prawicowo-nacjonalistyczne partie Polski i Węgier chcą z niej

◀ **Praga, 29 listopada 1989 r., Jesień Ludów, czas odzyskiwania wolności przez kraje Europy Środkowej. Napis na transparencie głosi: „Polska - 10 lat, Węgry - 10 miesięcy, NRD - 10 tygodni, Czechosłowacja - 10 dni”** FOT. KRZYSZ-TOF MILLER / AGENCJA WYBORCZA.PL

ły się raczej państwami agresywnie nacjonalistycznymi). Pisarz przechwycił więc z habsburskiej Europy Środkowej jedną z najważniejszych jej właściwości, jaką było ogromne zróżnicowanie (etniczne, językowe, religijne i kulturowe), a jednocześnie całkowicie arbitralnie wykreślił z historycznej mapy trzy państwa.

Dlaczego tak postąpił? Ponieważ wiedział, że „niezadowolone narody środkowoeuropejskie doprowadziły do rozpadu monarchii w roku 1918, nie uświadamiając sobie, że mimo niedostatków była ona niezastąpiona”.

W tym ciekawym komentarzu - „mimo niedostatków była niezastąpiona” - mieści się kłopot i jego rozwiązanie: autor nie mógł wykorzystać całego państwa habsburskiego, skoro nie wszystkie narody tamtą jedność akceptowały; zarazem nie mógł pominąć ówczesnych nacjonalizmów, skoro rozbili one środkowoeuropejską całość.

Sprytne posunięcie Kundery polegało więc na tym, że jawnie odwołał się do pamięci o c.k. Austro-Węgrzech, a jednocześnie wskazał na Polaków, Czechów i Węgrów jako narody, w których pragnienie przynależności do Europy jest silniejsze od pragnienia państwowej autonomii. W ten sposób za cenę odrzucenia ogromnej połaci Europy Środkowej wyznaczył „prawdziwy” Środek.

Ideę jednoczącą trzy państwa Kundera znajduje w kulturze, którą opisuje, nader ogólnikowo, jako: wyraz zbiorowej tożsamości, inspirację do wspólnych działań, więź społeczną.

Kunderze chodzi mniej więcej o to, że kultura europejska - tworzona i dziedziczona przez narody Europy Środkowej - była dla Polaków, Czechów

Problem w tym, że w kanonach tych poza Hańskim nie ma reprezentacji kultury ludowej, na którą Kundera się powołuje.

Wcześniej udało się odnaleźć w eseju miejsce, w którym autor wykreślił z c.k. Austro-Węgier trzy państwa, a potem przypisał Polakom, Czechom i Węgrom zdolność poskromienia nacjonalizmów i wolę zintegrowania się z Europą. Teraz odkrywamy, że jego koncepcja Europy Środkowej, choć tworzona w imieniu całych narodów, ma swoje klasowe ograniczenie: idea Kundery, podobnie jak estetyka Kantowska, jest inteligencko-mieszczańska. Z myślą o kulturze tej warstwy została stworzona, do niej została zaadresowana, tę warstwę wykorzystuje jako reprezentację społecznych całości.

Mamy już zatem dwie symptomatyczne redukcje: pierwsza, kartograficzna, pozwalała zasugerować, że zakończył się krwawy proces samostanowienia państw i narodów i że mieszkańcy trzech państw utworzyli jednoczącą ideę Europy Środkowej. Redukcja druga wyrażała się w potraktowaniu inteligencji mieszczańskiej jako klasy społecznej stanowiącej wzorzec obywatelstwa i kompetencji kulturowej.

Oznacza to, że koncepcja Kundery pomijała suwerennościowe aspiracje oraz konflikty wewnętrzne społeczne „narodów Europy Środkowej”. Obie dziury zaklejane są przy użyciu mitów idealizacyjnych, a metoda ta decyduje o dzisiejszych kłopotach Europy Środkowej.

Zgodnie z myśleniem Kundery najsilniejszym dowodem przechowania europejskiej tożsamości przez społeczności Środka była gotowość oddania życia za Europę i jej kulturę. Dlatego według ese-

Esej Kundery „Zachód porwany” sprzyja wypieraniu elementarnych prawd o naszym regionie. O antysemityzmie jako więzi społecznej, autorytaryzmie jako metodzie rządzenia, niesolidarności jako zasadzie polityki społecznej

wyść? Dlaczego Polska, Węgry i Słowacja cieszą się złą sławą państw najbardziej nietolerancyjnych dla rozmaitych mniejszości? Dlaczego właśnie w Polsce i na Węgrzech kobietom nie przysługują prawa reprodukcyjne? Dlaczego w naszych państwach sabotuje się unijne plany zielonej transformacji?

Jeśli esej Kundery ma przetrwać, jeśli ma być czymś więcej niż tekstem sycącym nostalgię, trzeba poddać go sprawdzianowi teraźniejszości i zapytać, co łączy go z historią po roku 2004. Krytyczną lekturę zacząć należy od pytania, co autor rozumie przez „Europę Środkową”.

Dość szybko można się zorientować, że Kundera stosuje ów termin wyłącznie do trzech państw - Polski, Czechosłowacji i Węgier. Państwa te nie są u niego synekdochą [figurą stylistyczną polegającą na zastąpieniu nazwy całości nazwą części], która odsyła do Litwy, Białorusi, Ukrainy czy innych krajów leżących między Wschodem i Zachodem. Przeciwnie: trzy państwa to całość.

Pisarz ogólnikowo odwołuje się do Europy Środkowej utożsamianej z Austro-Węgrami oraz do obszaru zajętego po II wojnie przez ZSRR. Jednak żadnego z tych twórców nie włącza w całości do Europy Środkowej. Prowadzi zatem grę w historię i geografę, grę, która pozwala mu zachować znaczną swobodę - by nie powiedzieć: niefrasobliwość - kartograficzną.

Polega ona na tym, że Kundera odwołuje się do c.k. Austro-Węgier, ale przyznaje sobie prawo do arbitralnej selekcji. Gdyby pisarz miał na myśli całe państwo Habsburgów istniejące w okresie 1867-1918, musiałby uwzględnić nie tylko Polskę, Czechy, Słowację i Węgry, lecz także Ukrainę, Rumunię, Chorwację, Serbię i Słowenię. Tylko w odniesieniu do tej konstelacji - 19 narodów i etnosów, 52 mln ludzi, 670 tys. km2 - mógł użyć określenia „maksimum różnorodności na minimum obszaru”.

W międzywojniu Polska, Czechy i Węgry już nie reprezentowały życzliwego zróżnicowania (stawa-

◀ **Czeski pisarz Milan Kundera (1929-2023), Praga, maj 1968 r.**

FOT. PAP/TK PHOTO/PAVEL VACHA

i Węgrów podstawą poczucia przynależności, językiem pozwalającym zrozumieć swoją tożsamość i wyrazić sprzeciw wobec opresji Wschodu. W takim ujęciu kultura jest nie tyle zbiorem dzieł i twórców, magazynem stylów i konwencji, ile codzienną praktyką tożsamościową.

Do kogo jednak należy ta kultura? Kto ją zna, uprawia, tworzy? Kto na niej się wyznaje i kto do niej się przyznaje? Odpowiedź na te pytania pozwala odkryć w eseju kolejną ciekawą sprzeczność: Kundera wyraźnie zaznacza, że w Europie Środkowej, inaczej niż w Zachodniej, kultura łączy całe społeczeństwa - nie tylko jest tworzona jako wyraz wspólnych dążeń, lecz także jest odbierana przez wszystkich. Nie ma charakteru elitarnego - pozostaje bezpośrednim wyrazem zbiorowego życia, a więc jest wspólna.

Kiedy jednak autor podaje przykłady, sięga do tradycji wysokiego modernizmu. Wymienia Schönberga i system dodekafoniczny, praską szkołę strukturalną, Bélé Bartóka, Kafkę, Hańską, Musilę, Brocha, Gombrowicza, Schulza, Witkiewicza...

Sądzić można, że pierwsi czytelnicy eseju - wybitni intelektualiści, historycy, dysydenci - dostrzegli wśród wymienionych twórców „swoich” pisarzy i uznali ich za prawdziwych reprezentantów Europy Środkowej. Musimy jednak zapytać, do jakiej grupy społecznej należą odbiorcy muzyki dodekafonicznej, praskiego strukturalizmu, powieści Musilę i Brocha. Kundera pisze co prawda, że w Europie Środkowej „lud i kultura” są jednością, jednak „ludem” w tekście okazuje się wzorcotwórcza warstwa społeczna składająca się z elit artystycznych i z mieszczańskiej inteligencji.

Warstwa ta na przełomie XIX i XX wieku zaczęła się uczyć rozumienia sztuki modernistycznej, a później wprowadziła ją do edukacji i zapewniła arcydziełom modernizmu trwałe miejsce w kanonicznych zestawach. Bez wątpienia Kafka, Musil, Gombrowicz i pozostali zasługują na miejsce w kanonie.

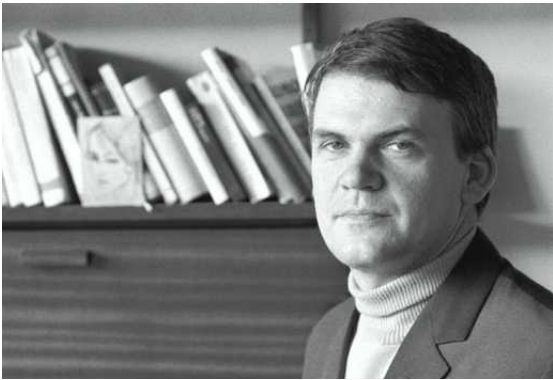
ju buntownicy, którzy protestowali przeciw Rosji radzieckiej, to jedyni depozytariusze idei Europy Środkowej. Autor uznawał zatem, że na przynależność do Europy Środkowej trzeba sobie zasłużyć.

Ta wyjątkowość podpowiedziana przez Kunderę patronowała reaktywacji Europy Środkowej w latach 90. Ale w dalszej perspektywie doprowadziła do antyeuropejskiego zwrotu w polityce polskiej, węgierskiej i słowackiej. I choć tendencja ta w Polsce rządzonej przez koalicję liberalno-katolicką została chwilowo zahamowana, przy innej koalicji rządzącej może powrócić w jeszcze silniejszej wersji.

Kundera nie jest rzecz jasna odpowiedzialny za ów zwrot. Ale podtrzymywanie mitu stworzonego przez Kunderę w logiczny sposób zaostrza konflikt między Europą Środkową i Unią. Pisarz określił bowiem naszą europejskość jako prawdziwszą od europejskiej - opartą na autentycznych podstawach kulturowych, egalitarną, ofiarną. Razem z tym heroiczno-mieszczańskim mitem pisarz wręczył trzem narodom, a ściślej: ich liderom, przywilej definiowania tożsamości europejskiej na podstawie „autentycznej kultury”.

Zgodnie z tymi przekonaniem tożsamości europejskiej nie musi określać język prawa, zasada poszanowania demokracji, troska o słabszych, dążenie do wyrównywania poziomu życia. Jej wyznacznikiem okazuje się misja kulturalna. To ona pozwalałaby prezydentowi Węgier mówić o „moralnej wyższości” Węgier nad „zgniłym Zachodem”, a prezydentowi Polski nazywać Unię Europejską „wymyślaną wspólnotą”. To ona prowadzi do oskarżania Zachodu o przesadę w stosowaniu zasady równości wobec prawa, a także do nazywania zdrajcami ojczyzny ludzi, którzy odwołują się do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości.

Oskarżenie o zdradę własnej ojczyzny kierowane pod adresem kogoś, kto szuka sprawiedliwości w Unii, wydaje się radykalnie przeciwne idei Kundery, który pisał, że w Europie Środkowej „ojczyzna



i Europa to jedno”. Ale droga od proeuropejskiego eseju Kundery do antyeuropejskiej narracji prowadzi przez bramkę wyjątkowości. Kundera wbił przecież Europę Środkową w swoiste poczucie poniżonej wyższości: byliśmy poniżeni podległością wobec ZSRR i równocześnie zostaliśmy wywyższeni nawet ponad Zachód, jako że Europa Zachodnia nie jest już „prawdziwą” Europą.

Właśnie na podstawie takiego myślenia polityczni liderzy z Polski, Węgier czy Słowacji sądzą, że mają prawo dyktować Brukseli swoje warunki, powoływać się na wartości kultury środkowoeuropejskiej i grozić exitem.

Esej Kundery z całą pochwałą Środka sprawia wrażenie odwróconej rozprawy Istvána Bibó „Nędza małych państw wschodnioeuropejskich” opublikowanej w 1946 r. (cytuje dalej za: Bibó, „Eseje polityczne”, przeł. Jerzy Snopek, Kraków 2012). [Bibó - wybitny węgierski myśliciel społeczny i polityczny].

Obaj autorzy byli zgodni tylko co do jednego: dla kształtowania Europy Środkowej kluczowe znaczenie miał lęk przed zniknięciem z mapy.

Wspólny punkt jest zarazem punktem rozstania. Bibó pisał, że „egzystencjalny lęk o wspólnotę” popychał Polaków, Węgrów i Czechów w międzywojniu do stawiania sprawy narodu ponad prawem, a więc do gwałcenia demokracji, stosowania cenzury, ograniczania wolności obywatelskich:

„Pojawiły się rozmaite zmienne formy fałszowania i korumpowania demokracji,

z historią własną Europy Środkowej. Szanse na takie samopoznanie dawał rok 1989, ale skorzystano z niej wedle podpowiedzi Kundery, powtarzając wymyślone przez niego idealizacje. Wynikały one z lęku przed odkryciem prawdy, która dotyczyła, kolejno, środkowoeuropejskiej tolerancji, politycznego ustroju oraz nierówności wewnętrznych.

Pochwała środkowoeuropejskiej tolerancji była możliwa, ponieważ Kundera nie wspomina o Holokauście, a nieobecność Holokaustu zwalnia z obowiązku pamiętania o masowym, kolaboranckim i zbrodnictwym antysemityzmie Polaków, Czechów, Słowaków i Węgrów.

(W 1965 r. do czechosłowackich kin wszedł film Jána Kadára i Elmara Klosa „Sklep przy głównej ulicy” opowiadający o grabieży majątku żydowskiego w Słowacji, dokonywanej pod nadzorem Niemców i przy regularnym udziale społeczeństwa. Kundera musiał znać ten film, tym bardziej że rok później dzieło zdobyło Oscara dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego).

Dzięki tej aktywnej niepamięci Europa Środkowa odgrywa na międzynarodowej scenie trójkątną psychodramę niewinności. Jednak reżyserem tego spektaklu jest strach przed prawdą, a ochrona kłamstwa zawsze wymaga przemocy - popycha do tworzenia prawa mającego cenzurować sztukę i naukę, do prewencyjnego antysemityzmu, do zamazywania śladów i wyświadczenia historii kompensacyjnej.

Drugie źródło lęku tkwiło w historii demokracji. Z eseju Kundery wynika, że państwa Środka są zakorzenione w europej-

skich tradycjach wolnościowych. Tymczasem w drugiej dekadzie międzywojnia Polska i Węgry to państwa autorytarne zmieniające szybkimi krokami ku faszyzmowi: stosowano w nich agresywną politykę asymilacyjną wobec mniejszości, a najtrudniejsze konflikty rozwiązywano metodą przewrotu bądź więzień o zastrzonym rygorze.

Zapomnienie o tych „tradycjach”, ich wyparcie z własnej historii powoduje, że dzisiejsze państwa Środka wracają do dawnych metod, powołując się przy okazji na - zagwarantowaną im przez koncepcję Kundery - wyjątkowość. W imię własnej „prawdziwej” europejskości szukają zatem w Unii miejsca pozwalającego zachować „maksimum korzyści przy minimum odpowiedzialności”.

Przy okazji popelniają samobójstwo separatystyczne na raty: w 2015 r. Polska i Węgry zgodnie odmówiły przyjęcia migrantów z Syrii w liczbie 7 tys. osób, od 2021 Polska wyrokiem TSUE płaci 1 mln euro dziennie za stosowanie przepisów pozwalających Izbie Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego m.in. na uchylanie immunitetów sędziowskich, a od roku 2022 w związku z nieprzestrzeganiem unijnych standardów praworządności Polsce i Węgrom wstrzymano wypłatę środków na Krajowy Plan Odbudowy.

Trzecie źródło lęku spoczywa w historii ekonomicznej. Aby je odsłonić, należy zapytać, dlaczego Kundera nie spróbował - co byłoby zarazem antyradzieckie i solidarystyczne - zrównać Europy Środkowej z obszarem skolonizowanym przez ZSRR.

Dlaczego mimo ustawicznego wskazywania na Rosję radziecką nie powołał się na jedność doświadczenia komunistycznego i - obok Polski, Czechosłowacji oraz Węgier - nie uwzględnił Rumunii, Albanii, NRD, Bułgarii, a także wschodniego pasa Europy, czyli Litwy, Łotwy, Estonii, Białorusi i Ukrainy?

Wynikało to, jak się zdaje, z poglądów na temat komunizmu. Kundera traktował komunizm wyłącznie jako opresję - czysto zewnętrzny ucisk, który ograniczał życie, zabierał wolność, niszczył kulturę, ale niczego nie zmienił w gospodarce, strukturze społecznej czy w praktykach kulturalnych. Takie ujęcie pozwoliło Kunderze stworzyć opowieść o państwach, które po II wojnie nie potrzebowały radykalnych zmian.

Tymczasem państwa te w międzywojniu miały poważne problemy i źle sobie z nimi radziły: w Polsce i na Węgrzech (nie mówiąc o Rumunii czy Albanii) przetrwały resztki struktur feudalnych, między miastami i prowincją panowały ogromne nierówności rozwojowe, brakowało bitych dróg i mostów, uprzemysłowienie było słabe, a bezrobocie wysokie, edukacja średnia była elitarna, a analfabetyzm - masowy, polityka wobec mniejszości etnicznych była coraz okrutniejsza, a polityka zagraniczna coraz mniej racjonalna.

U Kundery żaden z tych problemów się nie pojawia, dzięki czemu autor może sugerować, że komunizm rozumiany jako czysta przemoc panował nad Europą Środkową, ale do jej wnętrza nie przeniknął.

Tymczasem wbrew opowieści Kundery państwowemu Europie Środkowej podobieństwo nadawały przedwojenna bie-

da i zapóźnienie cywilizacyjne. Wyznanie tej prawdy wiązałoby się jednak nie tylko z utratą idealizacyjnego wizerunku, lecz także z koniecznością przyznania, że wojenne reformy - choć nie pod sowieckim bagnetem - były niezbędne.

Jednak po 1989 r. przejęto z eseju Kundery postrzeganie „narodów” Europy Środkowej jako tworów wewnętrznie spójnych i jednolitych, raczej mieszczańskich niż plebejskich, raczej miejskich niż wiejskich. Wynikiem okazało się wyparcie komunizmu i biedy. Było to jednoznaczne z uznaniem, że zróżnicowane klasy i grupy społeczne startowały po roku 1989 na równych warunkach i z równych pozycji.

Skutki objawiły się późno, ale są z nami do dziś pod postacią utrzymujących się rozwarstwień majątkowych i pozrywanych więzi społecznych. A ponieważ jedynym dyskursem zdolnym szachować neoliberalne rządy był katolicyzm sprzymierzony z nacjonalizmem, więc Polska, Słowacja i Węgry to się zbliżają, to oddalają od faszyzmu, który Viktor Orbán nazwał „chrześcijańskim nacjonalizmem”.

To wyliczenie powinno dawać do myślenia: wszystkie cztery państwa kunderowej Europy Środkowej wchodziły po 1989 r. w nowy etap historii pod hasłami demokracji, pluralizmu i praw człowieka; jednak pod rządami nacjonalistycznej prawicy państwa te łatwo ześlizgują się do stanu półdemokratycznego. Ponadto niemalym poparciem społecznym cieszą się tu antyunijne ugrupowania polityczne, które nieodmiennie podkreślają konieczność obrony „prawdziwych wartości europejskich”.

Tak wyglądają konsekwencje nierewidowanej teorii wyjątkowości Europy Środkowej.

Kundera nie jest winien nacjonalizmu w Polsce czy na Węgrzech. Ale jego esej sprzyja wypieraniu elementarnych prawd o naszym regionie. Prawdy te dotyczą antysemityzmu jako więzi społecznej, autorytaryzmu jako metody rządzenia, niesolidarności jako zasady polityki społecznej.

Właśnie dlatego „Zachód porwany” wymaga dziś krytycznej lektury. Ostatnie dekady dowiodły, że mit wyjątkowości Europy Środkowej prowadzi najpierw do zapomnienia o bliskich sąsiadach, potem do gwałcenia demokracji u siebie, a na końcu do kłamliwego nazywania suwerennością stanu niepodlegania europejskiemu prawu. Aby nie wejść w tę koleinę, trzeba poszerzyć rozumienie zagrożeń.

W zakończeniu eseju Kundera dramatycznie pisze, że prawdziwą tragedią Europy Środkowej jest Zachód, który już nie wierzy w kulturę i który w związku z tym „traci poczucie swojej tożsamości kulturowej”. Nie sądzę, aby dla Europy Środkowej wynikała z tego tragedia. Poważniejszym zagrożeniem dla Europy Środkowej jest ona sama.

Ktoś mógłby powiedzieć, że Kundera miał rację przynajmniej wtedy, gdy demonizował Rosję - minęły już ponad trzy lata od momentu zbrojnej napaści Rosji na Ukrainę. Obawiam się jednak, że nawet tu do oczywistego potępienia agresora trzeba dorzucić samokrytycyzm. Zgodnie bowiem z esejem Kundery w 1989 r. Polska, Czechosłowacja i Węgry przedstawiły się Europie jako jedyne państwa Środka.

Gdyby w 1990 r. - wbrew esejowi - związano sojusz środkowoeuropejskich Państw Postkomunistycznych, Ukraina byłaby może dziś częścią Unii i nie stałaby się ofiarą rosyjskiej napaści. Dlatego właśnie sądzę, że poważnym zagrożeniem dla Europy Środkowej jest ona sama - jej niesolidarność wobec Unii i wobec państw sąsiednich, lęk przed prawdami tkwiącymi we własnej historii i obojętność wobec nierówności wewnętrznych.

Dodać do nich należy teraźniejszość - kryzys migracyjny, klimatyczny i demokratyczny. W unijnych odpowiedziach na te kryzysy, czyli w rozwijaniu pomocy po pandemii, we wspieraniu Ukrainy, w relokacjach uchodźców, w wycofywaniu się z gospodarki węglowej, odpowiedziach zawsze niepełnych i niedoskonałych, pojawia się więcej prawdy, solidarności i sprawiedliwości niż w polityce państw Europy Środkowej. Prawdziwa tragedia (a może farsa) polegałaby na tym, że Europa Środkowa odłączy się od tego procesu i spróbuje przecząć historię na uboczu. I wówczas Środek przesunie się na peryferie.



FOT. PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Przemysław Czapliński

• (ur. w 1962 r.) - znany literaturoznawca, profesor UAM w Poznaniu.

• Jego esej (tytuł - „Wyborcza”) pochodzi z książki zbiorowej „Europa Środkowa - co dalej?” pod redakcją autora tekstu i Krzysztofa Czyżewskiego. Ukazała się ona wkrótce nakładem wydawnictwa Pogranicze. Autorami pozostałych esejów są m.in.: Jurij Andruchowycz, Timothy Garton Ash, Edwin Bendyk, Miljenko Jergović, Mykoła Riabczuk, Jacques Rupnik, Marci Shore, Tomas Venclova i Oksana Zabuzko.

Poważnym zagrożeniem dla Europy Środkowej jest ona sama. Jej niesolidarność wobec Unii i sąsiadów, lęk przed prawdami tkwiącymi we własnej historii i obojętność wobec nierówności wewnętrznych

od metod często nieświadomych po najbardziej wulgarnie: wygrywanie przeciw rozwojowi demokracji powszechnego prawa wyborczego, niezdrowy i oparty na niejasnych kryteriach system koalicji i kompromisów (...), wreszcie pucze i przejściowe dyktatury”.

W wyniku tego procesu wykształcił się w Europie Środkowej „fałszywy realista” jako typ polityka, który wywołuje w społeczeństwie „stan hysterii”. Cechuje ów stan brak „równowagi między rzeczami istniejącymi, możliwymi i pożądanymi”. Czyli: przekonanie, że mamy rację w tym, czego chcemy, i że to, czego chcemy, bezwzględnie nam się należy.

Ten sam lęk przed „zniknięciem z mapy” pojawia się u Kundery. Autor zaczyna esej od przywołania depeszy - „Umieramy za Węgry i Europę” - którą dyrektor agencji prasowej wysłał w świat podczas węgierskiej rewolucji w 1956 r. Pisarz wielokrotnie powraca do motywu gotowości umierania za Europę jako dowodu na europejską tożsamość mieszkańców Europy Środkowej.

W ten sposób nadaje radykalnie odmienny charakter lękowi; u Bibó afekt ten deformuje wszystko (demokrację, myśl polityczną, zdolność analizy rzeczywistości, stan psychiczny społeczeństwa), u Kundery lęk przemienia się w fundacyjną odwagę, która nadaje spójność Europie Środkowej i wiąże ją z Zachodem.

Transformacja energii strachu zdaje się jednak raczej zakrywać, niż nazywać problem. Odwaga nie prowadzi bowiem u Kundery do skonfrontowania się

skich tradycjach wolnościowych. Tymczasem w drugiej dekadzie międzywojnia Polska i Węgry to państwa autorytarne zmieniające szybkimi krokami ku faszyzmowi: stosowano w nich agresywną politykę asymilacyjną wobec mniejszości, a najtrudniejsze konflikty rozwiązywano metodą przewrotu bądź więzień o zastrzonym rygorze.

Zapomnienie o tych „tradycjach”, ich wyparcie z własnej historii powoduje, że dzisiejsze państwa Środka wracają do dawnych metod, powołując się przy okazji na - zagwarantowaną im przez koncepcję Kundery - wyjątkowość. W imię własnej „prawdziwej” europejskości szukają zatem w Unii miejsca pozwalającego zachować „maksimum korzyści przy minimum odpowiedzialności”.

Przy okazji popelniają samobójstwo separatystyczne na raty: w 2015 r. Polska i Węgry zgodnie odmówiły przyjęcia migrantów z Syrii w liczbie 7 tys. osób, od 2021 Polska wyrokiem TSUE płaci 1 mln euro dziennie za stosowanie przepisów pozwalających Izbie Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego m.in. na uchylanie immunitetów sędziowskich, a od roku 2022 w związku z nieprzestrzeganiem unijnych standardów praworządności Polsce i Węgrom wstrzymano wypłatę środków na Krajowy Plan Odbudowy.

Trzecie źródło lęku spoczywa w historii ekonomicznej. Aby je odsłonić, należy zapytać, dlaczego Kundera nie spróbował - co byłoby zarazem antyradzieckie i solidarystyczne - zrównać Europy Środkowej z obszarem skolonizowanym przez ZSRR.

Podziękowanie za Nagrodę Księżniczki Asturii (2017)

Kiedy otworzą się bramy wyobraźni

Poezja jest niemodna, modne są grube powieści kryminalne, biografie tyranów, amerykańskie filmy i brytyjskie seriale. Polityka jest modna. Moda jest modna. Modne są relacje, niemodna jest substancja.

Adam Zagajewski

Poezja jest najmniej techniczną ze sztuk, bierze się nie z warsztatu, nie z teorii, nie z nauki (choć, dodajmy, wykształcenie nikomu nie zaszkodzi, nawet poecie), tylko z niedającego się przewidzieć ani zaplanować poruszenia umysłu i serca - kilka lat temu pięknie o tym mówił w tym samym miejscu Leonard Cohen. Dlatego poeci nie znają samych siebie, często żyją w niepewności, czekając cierpliwie na godzinę, kiedy otworzą się bramy wyobraźni.

Nie wiemy, czym jest poezja, chociaż napisano o niej tysiące tomów, które możemy znaleźć we wszystkich większych bibliotekach. Każde pokolenie stwarza własną wizję poezji - chociaż zarazem dochowuje wierności pewnym tradycyjnym formom, nie zrywając ciągłości procesu, który zaczął się jeszcze przed Homerem i trwa do naszych czasów, do Antonio Machado i Zbigniewa Herberta, i dalej.

Owidiusz swoje najpiękniejsze wiersze napisał na wygnaniu, w małym miasteczku czy wiosce rybackiej nad Morzem Czarnym, w Tomi. Nie rozumiał miejscowego języka i tylko - gdy patrzył na nieskończoną taflę wody - ciemne fale przypominały mu barwę Morze Tyrreńskie.

Wisława Szymborska, ktoś głębooko uczciwy, w drugiej połowie lat 50. pisała wiersze w rozpaczyspowodowanej tym, że jako bardzo młoda osoba zdradziła prawdę poezji i sprzymierzyła się z ponurym systemem politycznym.

W dzisiejszym świecie wszyscy chcą mówić tylko o zbiorowości i o polityce, i jest to z pewnością ważne. Ale przecież istnieje też pojedyncza dusza ze swoimi troskami, ze swoją radością, ze swoimi rytuałami, ze swoją nadzieją, wiarą, z olśnieniem, którego czasem doznajemy. Rozprawiamy o klasach i warstwach społecznych, lecz na co dzień żyjemy nie w kolektywie, tylko w samotności. Nie wiemy, co zrobić z chwilą epifanii, nie potrafimy jej utrwalić.

Społeczeństwa laicyzują się szybko, a ci, co bronią dzisiaj religii, sięgają nieraz po obrzydliwe techniki socjopolityczne, religia zbyt często sprzymierza się ze skrajną prawicą.

Czesław Miłosz, poeta żarliwie religijny, katolik i jednocześnie zwolennik społeczeństwa otwartego, demokratycznego, bywa dziś pogardliwie odrzucany przez reakcyjne ugrupowania katolickie.

Nietrudno zauważyć, że jesteśmy w momencie mało sprzyjającym



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Adam Zagajewski

Szanowni dyktatorzy

„nie patrzcie wilkiem na człowieka”
Tadeusz Różewicz

Szanowni dyktatorzy, ciekawe, co się wam tak bardzo podoba w naszym świecie, że wcale nie chcecie odejść.
Czy lubicie filmy o seryjnych mordercach? Kakao? Wolicie psy czy koty? Węże czy owady? To prawda, wasza limuzyna jest najczarniejsza i milkną rozmowy, gdy przechodzicie, to jest oczywiste, nikt się nie ośmieli w to wątpić, nikt wam tego nie odbierze.
Ale też nikt was nie widzi o czwartej nad ranem. A także – czy sny są wam posłuszne? Czy lustra są waszymi przyjaciółmi? Czy w ogóle macie przyjaciół? Jak lśnią wasze sumienia o zachodzie słońca? I jeszcze jedno – czy pamiętacie, że Mozart spożywał posiłki przy stole dla służących?

Wiersz z tomu Adama Zagajewskiego „Trzy czwarte”, opublikowanego po jego śmierci, Wydawnictwo a5, Kraków 2024.



Kiedy byłem dzieckiem, Hiszpania wydawała mi się krajem legendarnym, krajem Don Kichota, rycerzy i księżniczek. A dzisiaj jestem tutaj i jestem gościem księżniczki. Nie mogę się temu nadziwić

poezji. Ktoś, kto od czasu do czasu bierze udział w jednym z licznych festiwali poetyckich w Europie, obojętnie, w jakim kraju, nie może nie spostrzec, że systematycznie topnieje publiczność wieczorów autorskich.

Poezja jest niemodna, modne są grube powieści kryminalne, biografie tyranów, amerykańskie filmy i brytyjskie seriale telewizyjne. Polityka jest modna. Moda jest modna. Modne są relacje, niemodna jest substancja. Modne są wąskie spodnie, suknie w kwiaty, perły na ubraniach, czerwone swetry, płaszcze w kratkę, srebrne botki i ozdobne jeansy.

Modne są rowery i hulajnogi, maraton i półmaraton, nordic walking, niemodne jest zatrzymanie się pośrodku wiosennej łąki i zamyślenie. Bezruch, mówią lekarze, jest groźny dla zdrowia. Moment zamyślenia jest niebezpieczny dla zdrowia, trzeba biegać, trzeba uciekać przed sobą.

Kiedy miałem dwadzieścia kilka lat, pasjonowała mnie poezja krytyczna wobec systemu totalitarnego, jaki panował w moim kraju. Wtedy, w okresie burzy i naporu, powstały przyjaźnie i sojusze, które trwają do dzisiaj. Ale prawie wszyscy poeci, których wówczas połączył sprzeciw wobec niesprawiedliwości, przeszli długą drogę, odkryli też i inne kontynenty artystyczne.

Odkryliśmy dwoistość świata - z jednej strony wyobraźnia, z drugiej oporna realność listopadowego poranka, kiedy opadły już liście z drzew.

Długo nie wiedziałem, co jest ważniejsze, czy to, co jest, czy też to, czego nie ma: ludzie jadący do pracy wczesnym rankiem, niewyspani mężczyźni czytający tłuste tytuły w sportowych gazetach, śledzący porażki i tryumfy

swoich ukochanych klubów piłki nożnej, i kobiety, które drzemały w autobusie - czy może raczej rzeczy ukryte, muzyka i księżyc, miasta, których już nie ma, obrazy dawnych i nowych mistrzów w muzeach. I potrzebowalem wielu lat, żeby zrozumieć, że - ponieważ żyjemy w wiecznej ambiwalencji - trzeba wziąć pod uwagę obie strony tego nierównego dualizmu, nie wolno zapomnieć o cierpieniu ludzi i zwierząt, o złu, które jest o wiele bardziej wytrwale i przebiegle niż marzenie.

Nie wolno zapomnieć o złu, o niesprawiedliwości, która wciąż zmienia kształt, o przemijaniu, ale także i o radości, o przeżyciach ekstatycznych, których nie przewidują opasłe podręczniki teorii politycznej czy socjologii.

Kiedy byłem dzieckiem, Hiszpania wydawała mi się krajem odległym i wspaniałym, wręcz legendarnym, miejscem, gdzie najjaśniej świeci słońce i gdzie cienie są najczarniejsze, krajem Don Kichota, rycerzy i księżniczek. Potem poznałem realną, nowoczesną Hiszpanię, jeden z filarów Unii Europejskiej. A jednak dzisiaj jestem tutaj, w Asturii, i jestem gościem księżniczki - nie mogę się temu nadziwić. Jak wiadać, wszystko się zmienia, ale nic się nie zmienia.

Okazuje się, że mam w Hiszpanii wiernych, uważnych czytelników. To najlepsze, co może się zdarzyć autorowi książek, obojętnie, czy są to zbiory wierszy, czy powieści. Dziękuję za tę nadzwyczajną nagrodę.

Tekst wygłoszony podczas ceremonii wręczenia Nagród Księżniczki Asturii w Oviedo 20 października 2017 r. Tytuł - „Wyborcza”.



Sprawca NIESZCZĘŚCIA KAZIMIERZA DEYNY

W życiorysie Teda Miodońskiego jest wiele białych plam i jeszcze więcej niewiadomych. Pewne jest tylko to, że przez niego jeden z najlepszych polskich piłkarzy w historii stracił fortunę.

Adam Węglowski



• **Kazimierz Deyna i Sylvester Stallone w filmie Johna Hustona „Ucieczka do zwycięstwa” (Escape to Victory) z 1981 roku. Oprócz nich na ekranie pojawiły się inne wielkie gwiazdy kina: Michael Caine, Max von Sydow, a także futbolu: Pele, Bobby Moore, Kevin O’Callaghan i Osvaldo Ardiles**

FOT. MARY EVANS/ALL
FILM ARCHIVE/MGM/
EAST NEWS

Kalifornia, noc z 31 sierpnia na 1 września 1989 roku. Około godziny 1.25 na autostradzie pod San Diego rozpędzony dodge colt uderza w stojącą na pasie awaryjnym ciężarówkę. Osobowym autem kieruje Kazimierz Deyna, gwiazda polskiego futbolu, medalista igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata, jeden z najlepszych piłkarzy w historii Polski. Wracał do domu, w bagażniku auta miał piłki na trening z dziećmi, w kieszeni 50 centów. Nie miał szans przeżyć wypadku.

Deyna był po alkoholu, możliwe, że zasnął za kierownicą. Był też w głębokim kryzysie, miał 42 lata, profesjonalną karierę za sobą, a odłożone pieniądze – przynajmniej kilkaset tysięcy dolarów – stracił przez machinacje człowieka, któremu zaufał. Biznesmen Ted Miodoński obiecywał z zyskiem zainwestować jego oszczędności.

Zmarły w 2024 roku trener i piłkarz Franciszek Smuda, który grał z Deyną w Legii i jakiś czas również mieszkał w Stanach Zjednoczonych, wspominał, że Miodoński lubił przyjeżdżać do Polski na ważne mecze, zarówno warszawskiej drużyny, jak i reprezentacji Polski. „Muszę przyznać, że cieszył się naszym zaufaniem” – opowiadał Smuda.

W OTOCZENIU GWIAZD

Miodoński pomógł Deynie w transferze z Legii do Manchesteru City w 1978 roku, a trzy lata później – do San Diego Sockers. Wydawało się, że Polak podbił Amerykę. Dzięki kontaktom Miodońskiego zagrał nawet w filmie fabularnym słynnego Johna Hustona „Ucieczka do zwycięstwa” (Escape to Victory, 1981). To opowieść o meczu alianckich jeńców i niemieckich okupantów podczas II wojny światowej w zajętej przez hitlerowców Francji (w rzeczywistości prawdziwy „mecz śmierci” odbył się w 1942 roku na

froncie wschodnim). Polak zagrał jeńca ze wschodniej Europy. Pal lichu, że to epizod – za to razem z takimi gwiazdami jak Sylvester Stallone, Michael Caine i Max von Sydow. Na boisku pojawiły się obok niego największe wówczas gwiazdy futbolu, m.in.: Pele, Bobby Moore, Kevin O’Callaghan i Osvaldo Ardiles.

„Scenariusz meczu napisał Pele, więc umieścił w nim sytuację, w której decydującą o zwycięstwie bramkę strzela nożycami. Zazdrosny Stallone zażądał i dla siebie równie efektownej sceny. Nie miał pojęcia o grze w piłkę, myślał, że bramkarz, którego grał (miał zresztą dublera, prawdziwego bramkarza Paula Coopera z Ipswich), też może strzelać gole. Pele wprowadził więc do scenariusza rzut karny w ostatniej minucie meczu. Strzela kapitan Niemców Baumann (gra go Werner Roth, kapitan reprezentacji Stanów Zjednoczonych), ale Stallone broni. Udało mu się to podobno dopiero za piętnastym czy szesnastym razem. Tak przynajmniej pamiętał to po latach Ardiles”, opisywał dziennikarz sportowy Stefan Szczepłek w książce „Deyna, Legia i tamte czasy”.

Po aferze z Miodońskim Deyna miał same kłopoty. Kryzys w małżeństwie, hazard, alkohol i lęk o przyszłość. Pozostały mu mecze pokazowe. Ale co potem?

Smuda również stracił pieniądze przez Miodońskiego, w zależności od źródła – od stu tysięcy do ćwierć miliona dolarów. Był zdruzgotany, że po zakończeniu kariery musi wszystko zaczynać od zera. „Siedziałem w hotelu załamany, dopadła mnie pewna myśl: trzeba skończyć ze sobą! Zacząłem nawet szukać sznurka” – wspominał.

PIŁKA, WOJNA I SAMOLOTY

Ted, a właściwie Tadeusz Jerzy Miodoński, zapewne kochał futbol. Urodził się w Krakowie w 1921 roku. Od roku 1936 do 1937 jego ojciec płk Szymon Miodoński był prezesem Cracovii, która w latach 30. trzykrotnie zdobyła mistrzostwo Polski. W 1939 Szymon Miodoński został szefem intendencji Armii „Kraków”, a po kampanii wrześniowej znalazł się w oflagu. Życie Tadeusza zmieniło się na zawsze. „W czasie działań wojennych został aresztowany z grupą 90 chłopców i osadzony w więzieniu przy ul. Montelupich, a następnie wywieziony do Niemiec. W czasie zakończenia się wojny znalazł się w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Do kraju nie powrócił, a po pewnym czasie wyjechał do USA, gdzie osiedlił się na stałe”, czytamy w jego profilu przygotowanym w 1982 r. przez PRL-owskie służby.

Bezpieka pominęła jednak rzecz podstawową, Miodoński wcale nie spędził ostatnich lat wojny „wywieziony do Niemiec” i nie doczekał tam Amerykanów. W Niemczech, w oflagu w Murnau, przebywał do 1945 roku jego ojciec. Tadeusz wcześniej dostał się do Wielkiej Brytanii i został pilotem Polskich Sił Powietrznych. Jego dane znajdują się w archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.

Badacz i pisarz Piotr Hodyra, zaangażowany w prace nad tzw. listą Krzystka, czyli spisem personelu PSP uważa, że Miodoński do Anglii dotarł w sierpniu 1943, a w styczniu następnego roku wciągnięto go na ewidencję RAF. „Został skierowany na szkolenie z pilotażu, które ukończył już po zakończeniu działań wojennych, we wrześniu 1945”, opowiada Hodyra.

Tylko jak Miodoński dotarł do Wielkiej Brytanii z okupowanego Krakowa? To zagadka.

CZY TED BYŁ NA GIBALTARZE

Swoją teorię na ten temat miał Dariusz Baliszewski, zmarły w 2020 roku znany dziennikarz i historyk. Połączył Miodońskiego z katastrofą na Gibraltarze, w której 4 lipca 1943 roku zginął gen. Władysław Sikorski, premier rządu Rzeczypospolitej na uchodźstwie i naczelny wódz Polskich Sił Zbrojnych.

Z jedenastu pasażerów i sześciu członków załogi brytyjskiego liberatora, który po starcie wpadł do morza, przeżył tylko czeski pilot Eduard Prchal. Wiadomo, że Sikorskiemu na pokładzie towarzyszył świeżo przybyły z Polski kurier AK, Jan Gralewski ps. „Pankrac”. Dotarł na Gibraltar po pięciomiesięcznej podróży przez Francję i Hiszpanię pod rządami Franco, gdzie trafił nawet do obozu koncentracyjnego Miranda de Ebro. Według Baliszewskiego kurierów było więcej i przynajmniej jeszcze jednego z nich też kojarzono jako Gralewskiego. Miał

nim być właśnie Miodoński, który „rzekomo był żołnierzem ZWZ o pseudonimie Ariz” i po wpadce w Krakowie postanowił udać się do polskiego wojska na Zachodzie. Według Baliszewskiego Miodoński wyjechał z Krakowa w towarzystwie Niemki, siostry wysoko postawionego oficera krakowskiej SD – hitlerowskiej służby bezpieczeństwa. Miał „dokumenty, pieniądze i brylanty”, spotkał się po drodze z esesmanami, aż trafił do Paryża. Stamtąd przedostał się do Hiszpanii, a potem – z trzema innymi mężczyznami na niemieckich papierach – przez zieloną granicę do Portugalii...

Nie ma żadnych dowodów na gibraltarski spisek, którego wizję snuł Baliszewski, ani na to, że młody Miodoński brał w nim udział.

O jego konspiracyjnych perypetiach wspominała jednak siostra Lidia, też zaangażowana w działalność podziemną, a po wojnie podejrzewana przez bezpiekę o szpiegostwo i inwigilowana. Donosiciele krążyli wokół niej kilka lat. „Wg orzeczenia Miodońskiej w 44 r. brat jej wyjechał za granicę do Francji, później dostał się do Hiszpanii, a następnie do Londynu. Udając się w tę podróż, otrzymał szyfr z Polski, którego musiał nauczyć się na pamięć i to mu ułatwiało przejście z jednego państwa do drugiego, gdyż wszędzie czekali na niego odpowiedni ludzie. W Londynie brat Miodońskiej był mile widziany przez Rząd Polski”, pisali ubecy w dokumentach jej sprawy w 1950 r., bazując na doniesieniach konfidentów.

Lidia Miodońska miała też twierdzić, że Tadeusz był wówczas w Anglii kapitanem lotnictwa i pracował w wywiadzie. „W okresie okupacji brat Miodońskiej przebywał w Krakowie, pracując w wywiadzie angielskim Intelligence service”. Czy opowiadała znajomym bujdy, mieszała fakty z fikcją? A może donosiciele dodawali sporo do siebie? Jeszcze w 1955 roku komunistyczne władze zarzucały jej kontakty z obcymi ambasadami, pozostawanie „w dobrej komitywie z byłymi agentami Abwehry” oraz „z agentami wywiadu amerykańskiego na terenie Stalinogrodu”. Nic jej nie udowodniono, ale aż do 1957 roku utrudniano imigrację do USA.

PILOT BEZ CELU?

Jak na rzekomego agenta Ted nie zrobił w brytyjskim wojsku kariery. „Przyjęty do służby w Wielkiej Brytanii w stopniu szeregowca, jak na kogoś tak ważnego, jak kurier AK, to chyba dość nisko”, zwraca uwagę Piotr Hodyra. „Ukończone dwie klasy liceum w 1941 roku, zapewne na tajnym nauczaniu. Początkowo służył w sekcji dyspozycyjnej Sztabu Naczelnego Wodza jako łącznik. Awansowany do stopnia kaprała w chwili rozpoczęcia szkolenia z pilotażu i chyba z takim stopniem zakończył swoją »karierę« wojskową w 1946 roku. Brytyjski stopień Sergeant uzyskał po ukończeniu szkolenia w 1945 roku”.

Zwolennicy teorii spiskowych mogą zakładać, że w trakcie wojny i po niej Miodoński pracował dla tajnych służb, co zapewniało mu bezpieczeństwo i kontakty. Albo że imał się podejrzanych zajęć jak wielu polskich weteranów, którzy nie wrócili do kraju i nie mieli z czego się utrzymać na Zachodzie. As myśliwski pplk Jan Zumbach, dowódca Dywizjonu 303, został przemytnikiem, najemnikiem w Afryce, a w 1986 roku zmarł we Francji w niejasnych okolicznościach, śmiertelnie poraniony.

Brak dowodów, by po wojnie Miodoński zaangażował się w jakąś szemraną działalność. Przed bezpieczeńką w Polsce oczywiście nie chwalił się tym, co robił na Wyspach i jak tam się dostał. Służby zaś sprawdzały go, jakby nie zwracając uwagi na to, co wiedziały o nim z wcześniejszej inwigilacji siostry. Wyglądało na to, że był na Zachodzie, wyjechał do USA, ożenił się – jak jeden z wielu polonusów, powojennych emigrantów. Pisał listy do siostry, matki, ojca i innych członków rodziny, skrzętnie kopiowane przez bezpiekę. W Stanach dołączył do niego ojciec, po wyjściu z obozu poddany jeszcze w latach 1950-1951 „kontrolni operacyjnej” przez służby jako były pułkownik Wojska Polskiego, źle życzący władzy ludowej.

KRYPTONIM „BUFFALO”

W 1961 roku Tadeusz znów pojawił się w Polsce, a w latach 70. odwiedzał ojczyznę już regularnie – od 1976 do końca dekady w zasadzie co roku. Bezpieka poddała go kontroli operacyjnej w związku z podejrzeniem o prowadzenie działalności szpiegowskiej.

Nadała mu kryptonim „Buffalo”, od nazwy miasta w stanie Nowy Jork, w którym wówczas mieszkał i pracował. Sugerowano, że pracuje dla „M.P. Waisha, agenta wywiadu amerykańskiego aresztowanego na terenie Polski”. Chodzi o obywatela Indii Mahendrę Prakasha Vaisha przedstawiającego się jako przedstawiciel zachodnich firm i nawiązujące dzięki temu szerokie kontakty towarzyskie.

Bezpieka sprawdziła kontakty Miodońskiego, m.in. znajomego marynarza, kierowcę taksówki, kierownika placówki zajmującej się handlem zagranicznym, a także pewnego dziennikarza sportowego. Sprawdziła też, że jako główny udziałowiec i prezes polsko-amerykańskiej spółki Polanco kręcił się wokół budowy w Krakowie nowoczesnego hotelu. Najwyraźniej nie zapominał o rodzinnym mieście.

Tyle że Cracovia była wówczas w kryzysie i szamotała się między drugą a trzecią ligą. Ted o futbolu jednak pamiętał. Przecież, jak wspominał Smuda, przyjeżdżał na mecze reprezentacji oraz Legii. Co ciekawe, akta bezpieki – choć obejmują lata 1977-1982 – milczą o kontaktach „Buffalo” z Deyną, choć to on pomagał przy transferze piłkarza, formalnie oficera Wojska Polskiego, z Legii Warszawa do Manchesteru City. Sprawa była skomplikowana: dopiero w listopadzie 1978 Deynę zwolniono z zawodowej służby wojskowej, co otworzyło mu drogę do wyjazdu. Wcześniej zarzucano mu, że podczas mundialu w 1974 roku w RFN „bardzo często był widziany w towarzystwie pracownika bazy amerykańskiej w RFN”. Ba, Deyna znał wspomnianego Vaisha oskarżanego o szpiegostwo! Przed zatrzymaniem w roku 1977 miał mu piłkarzowi załatwiać... części do bmw.

Bezpieka zostawiła jednak Miodońskiego w spokoju. W 1982 roku stwierdziła, że od kilku lat nie przyjeżdża już do Polski, a kontrola operacyjna nie przyniosła żadnych istotnych informacji. Sprawę „Buffalo” odłożono do archiwum.

ZNIKAJĄCE DOLARY

Wygląda na to, że PRL-owska szpiegowska afera z udziałem Miodońskiego to dęta sprawa. Na pewno miał szerokie kontakty i potrafił manipulować, lecz to talenty typowe dla fachowców od szemranych biznesów. Nie potrzeba do tego praktyki w tajnych służbach.

„Czarujący – wkradł się w nasze łaski. Zawsze miły, uczynny, zapewniający, że robi wszystko dla twojego dobra. Świetnie potrafił się sprzedać”, wspominał Smuda.

Nawet ostrożna żona Deyny Mariola nie mogła zwalczyć uroku rzutkiego biznesmena. „Cała gra Miodońskiego była ostrożna i wyrafinowana. Najpierw pobrał od Kazimierza pięćset dolarów, by po kilku dniach oddać mu tysiąc, z czego nadwyżka była rzekomym zyskiem. Potem wziął pięć tysięcy, a oddał siedem. W kolejnym podejściu Deyna wręczył mu już dziesięć tysięcy, odbierając w zamian piętnaście. Wszystko układało się pomyślnie i nawet podejrzenia Marioli nie zakłóciły spokoju Kazika. Wręcz przeciwnie. Gdy ostrzegała go, że za bardzo ufa Tedowi, potrafił czynić jej wyrzuty, że ośmiela się podważać wiarygodność człowieka, którego on szanuje jak ojca”, relacjonował Wiktor Bołba w książce „Deyna. Geniusz futbolu. Książę nocy”.

„Przez lata zaufanie rosło. Kiedy Miodoński zaproponował wspólny biznes, i Smuda, i Deyna zgodzili się. Miodoński poprzez spółkę z Liechtensteinu inwestował w budowę hoteli”, pisze Roman Kołtoń w swojej biografii Deyny. Biznesmen obiecywał 20-, 30-procentowy dochód. To było bardzo kuszące. Na dodatek – jak opowiadali koledzy Deyny z Ameryki – ci, którzy stracili pieniądze na interesach z Miodońskim, nie mówili tego głośno pozostałym. Wstydzili się i tłamsili to w sobie.

Kiedy szanowany dziennikarz dochodzeniowy z USA Bill Ritter przeprowadził śledztwo w sprawie machinacji biznesmena, ustalił zadziwiające fakty. „Miodoński zarządzał i kontrolował pieniądze zarabiane przez Deynę. Pełnomocnictwo dał mu Kazik. W związku z tym klub płacił bezpośrednio Kazikowi około 2 tysiące dolarów miesięcznie. Zaś nadwyżkę, około 4 tysiące, wysyłał do Swiss Bank Corporation na firmę Balance Equity Data LTD, zarządzaną przez Miodońskiego. Taką umowę podpisał ówczesny właściciel klubu Robert W. Bell, trener Ron Newman i menedżer Deyny Ted Miodoński z firmą należącą do Miodońskiego. Od wysyłanych pieniędzy nie był potrącany podatek. Na takie warunki zgodził się Kazik. Bell ostrzegał Kazika, że jeśli te pieniądze trafią kiedyś na jego konto, to będzie musiał zapłacić od nich podatek”, cytuje Kołtoń ustalenia amerykańskiego reportażysty.



• **Tadeusz Miodoński z nieznanymi kobietami. To niedatowane zdjęcie znajduje się w teczce Miodońskiego stworzonej przez Służbę Bezpieczeństwa, która znajduje się w zasobach IPN**

FOT. ZE ZBIORÓW IPN

„Profesjonalny oszust”, nazywają Miodońskiego dawni koledzy Deyny. „Znał numery kont bankowych Deynów (za ich zgodą), obracał ich pieniędzmi, pożyczal, ale nie oddawał”, pisze Stefan Szczepiek. Jak opowiada, Mariola Deyna latami sądziła się z Miodońskim. Wygrała, ale już kilka lat po śmierci męża, w latach 90. Biznesmen był winny – razem z odsetkami – ponad milion dolarów, lecz jako bankrut nie miał już ich z czego oddać.

PROCHY I CIE NIE

Kazimierza Deynę pochowano w San Diego. W uroczystości uczestniczyło góra 100 osób. W 2012 roku urnę z prochami sprowadzono do Polski i po podniosłej ceremonii pogrzebano na cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Przed stadionem Legii stanął pomnik legendy.

Ted Miodoński zmarł w Kalifornii w 2001 roku, dwa miesiące przed 80. urodzinami. Pochowany został w Santa Rosa. Niedługo później zmarła jego żona.

Zwolennicy teorii spiskowych nie omieszkają dodać, że także w Kalifornii – w 1984 roku w Calistoga, zaledwie 20 km w linii prostej od Santa Rosa – zmarł Eduard Prchal. Czeski pilot, jedyny ocalały z katastrofy liberatora z gen. Sikorskim na pokładzie, nigdy skutecznie nie rozwiał wątpliwości co do przebiegu wydarzeń z 1943 roku. Ekshumacja szczątków generała przeprowadzona w roku 2008 w ramach śledztwa IPN wykazała, że zginął wskutek obrażeń wielonarządowych. Nie znaleziono ran kłutych i postrzałowych ani śladów po duszeniu. To potwierdza wersję o katastrofie. Ale teorie spiskowe o sabotażu, który miał do niej doprowadzić, wciąż powracają,

podobnie jak sprawa Jana Gralewskiego – kuriera, pod którego rzekomo podszywał się Miodoński. Zwolennicy tych teorii uważają, że tajemnicę mogłaby wyjaśnić ekshumacja pochowanego na Gibraltarze Gralewskiego, wierzą bowiem w nieoficjalne relacje wojskowych, że zginął, ale od strzału w głowę. IPN jednak od tego pomysłu odstąpił. Chcąc nie chcąc, nieszczęsny Gralewski stał się pośmiertnie elementem sporu. Można by rzec, kolejną ofiarą Miodońskiego. Szkoda, że on sam nie opisał swoich wojennych losów. Próby skontaktowania się z jego rodziną w USA spaliły na panewce. ●

Bibliografia: Kazimierz Deyna w katalogu osób rozpracowywanych przez Służbę Bezpieczeństwa PRL, na: <https://ipn.gov.pl/pl/dla-mediow/komunikaty/174490>, Kazimierz-Deyna-w-katalogu-osob-rozpracowywanych-przez-Sluzbe-Bezpieczenstwa-PRL.html; materiały z kwestionariusza ewidencyjnego kryptonim „Buffalo” dot. Teda Miodońskiego, IPN Kr O101/68/J; *Miodoński gibraltarski*, na: <http://www.tunguska.pl/miodonski-gibraltarski/>; Miodoński Tadeusz Jerzy, na: <https://listakrzystka.pl/miodonski-tadeusz-jerzy/>; Sprawa operacyjna dot. Byrne, z d. Miodońska Lidia, IPN Ka 230/6231; Dariusz Baliszewski, *Ludzie z cienia*, w: „Wprost” nr 1/2/2009 (1357); Marek Bobakowski, *Dom, samochód, oszczędności życia. Stracili to wszystko w jednej chwili*, na: [**Nawet ostrożna żona Deyny Mariola nie mogła zwalczyć uroku rzutkiego biznesmena. „Cała gra Miodońskiego była ostrożna i wyrafinowana. Najpierw pobrał od Kazimierza pięćset dolarów, by po kilku dniach oddać mu tysiąc, z czego nadwyżka była rzekomym zyskiem**](https://sportowefakty.wp.pl/pilka-nozna/500599/dom-samochod-oszczednosci-zycia-stracili-to-wszystko-w-jednej-chwili;WiktorBołba,Deyna.Geniuszfulbolu.Książenocy,TheFacto,2014;RomanKołtoń,Deyna,czyliobcy.Amerykańskisem,ZyskiS-ka,2024;StefanSzczepiek,Deyna,Legiaitamteczasy,WydawnictwoMarginesy,2012.</p>
</div>
<div data-bbox=)

GÖRLITZ

WASZE NASZE

Po upadku muru berlińskiego, nastąpiła wręcz erupcja śląskości, pojawił się nawet postulat, by do nazwy Saksonii dopisać nazwę.

Z **AGNIESZKĄ GAŚSIOR**, DYREKTORKĄ MUZEUM ŚLĄSKIEGO W GÖRLITZ, ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

WOJCIECH SZOT: Polka dyrektorką Schlesisches Museum w Görlitz. Jak to się stało?

AGNIESZKA GAŚSIOR: To przede wszystkim pytanie do osób, które zdecydowały się powierzyć mi to stanowisko. Dyrektorką zostałam w maju 2021 roku. W wymaganiach konkursowych nie wskazywano na narodowość, ale pojawiła się informacja, że znajomość polskiego będzie atutem. Byłam akurat w takim momencie życia, że pomyślałam: jeśli coś zmieniać, to właśnie teraz. Udało się.

A dlaczego? Myślę, że to efekt większego otwarcia się Niemiec na Polskę, rozwoju wzajemnych kontaktów politycznych i kulturalnych. Pierwszy dyrektor muzeum Markus Bauer dbał o kontakty z polskimi instytucjami. To nigdy nie było miejsce skierowane tylko do Niemców.

Oczywiście, gdy pojawiła się informacja o mojej nominacji na dyrektorkę, podniosły się głosy krytyczne. Nie bezpośrednio pod moim adresem, ale krytykujące sytuację, która sprawiła, że w Niemczech jest niewielu specjalistów zajmujących się historią Śląska.

Żeby doszło do tego, że może być pani dyrektorką niemieckiego muzeum, musiały jednak zajść olbrzymie zmiany.

– To zasługa starań podejmowanych przez dziesięciolecia. W 1945 roku położone nad Nysą Łużycką niemieckie miasto Görlitz zostało podzielone na dwie części. Polska część początkowo nazywała się Zgorzelicami, jednak dość szybko ustaliła się nazwa Zgorzelec. Görlitz najpierw znajdowało się w radzieckiej strefie okupacyjnej, a później stało się częścią NRD. Granica przez długie lata była zamknięta i dopiero w latach 70. pojawiły się pierwsze kontakty. Po przemianach ustrojowych, upadku komunizmu i zjednoczeniu Niemiec bardzo sceptycznie podchodzono do możliwości współpracy.

Proces zjednoczeniowy zapoczątkował wielką emigrację do zachodnich landów, a ta z kolei sprawiła, że miasto pustoszało. I – paradoksalnie – stało się atrakcyjnym miejscem do pracy i życia dla Polaków. Teraz Polacy są największą mniejszością narodową w Görlitz. Mieszka ich tu ok. 5 tysięcy. Są nieodzowni dla funkcjonowania miasta.

Rzeczywiście, chyba w każdej restauracji ktoś z obsługi mówi po polsku.

– Dzisiaj to niemal wspólne miasto. W 2004 roku odbudowano i otwarto łączący oba miasta pieszy most staromiejski, a od dwóch lat łączy je linia autobusowa. Także pociągi zaczęły zatrzymywać się zarówno w Zgorzelcu, jak i Görlitz. Polskie dzieci mogą chodzić do szkół po drugiej stronie granicy, jest też wiele niemieckich dzieci, które uczą się polskiego.

Oferta kulturalna obu miast kierowana jest zarówno do osób mówiących po polsku, jak i po niemiecku. Nasze muzeum również jest otwarte na Polaków – wszystkie teksty na stałej ekspozycji i wystawach czasowych oraz audioprzewodniki są także po polsku, wydajemy książki w dwóch językach, nie wspominając o materiałach informacyjnych.

Brzmi jak prawdziwy sukces integracji europejskiej, idei dzisiaj nie przez wszystkich widzianej pozytywnie.

– To efekt długiego procesu historycznego i zmian pokoleniowych. Polacy mieszkający na Ziemiach Odzyskanych przez dziesiątki lat żyli w – wzmocnionej przez propagandę – niepewności jutra. Duża ostrożność w kontaktach z Niemcami towarzyszyła Polakom także po 1989 roku. Zawsze w powietrzu wisiała jakaś niepewność przyszłości. Pochodzę z Zielonej Góry, więc wiem też, że nie był to temat, o którym się rozmawiało. To się po prostu czuło.

Myślę, że gdy weszliśmy do Unii Europejskiej i się okazało, że Polsce nie grozi żadna aneksja, a Niemcy nie są wrogo usposobieni, uwierzyliśmy w to, że każdy jest już u siebie. Od tego czasu obserwujemy wzrost zainteresowania regionem. Dolny Śląsk, a także jego niemiecka przeszłość stały się elementem polskiej popkultury. Świadczy o tym choćby popularność książek Marka Krajewskiego czy – w ostatnich latach – dziejących się w Sudetach kryminałów Sławomira Gortycha. Nie mówiąc już o Oldze Tokarczuk.

Krajewski, umieszczając akcję swoich powieści w Breslau, czyli przedwojennym Wrocławiu, sprawił, że przeszłość miasta stała się atrakcyjnym tematem. Dzisiaj organizowane są spacerory śladami jego bohaterów. Na Dolnym Śląsku jest mnóstwo inicjatyw dotyczących odkrywania dawnej historii. Muzeum Śląskie w Görlitz wydało w dwóch językach antologię „Podróżnicy w Górach Olbrzymich” zbierającą relacje podróżników, którzy od XVII do XX wieku



• Muzeum Śląskie w Görlitz (Schlesisches Museum zu Görlitz) mieści się w dawnym domu kupieckim Schönhof, zbudowanym w 1526 roku według planów Wendela Roskopfa

FOT. JERZY PAJOR DLA MUZEUM ŚLĄSKIEGO W GÖRLITZ

wędrowali po Karkonoszach. Współwydawcą książki jest Wielka Izera, wydawnictwo publikujące po polsku niemiecką literaturę związaną ze Śląskiem.

Mieszkańcy Śląska angażują się dzisiaj w dziesiątki działań, które budują atmosferę otwartości na rozmowę o przeszłości.

Jak to wygląda po niemieckiej stronie?

– Zupełnie inaczej. Śląsk w dzisiejszych Niemczech jest tematem mało popularnym. Przede wszystkim kojarzony jest z tym, co wydarzyło się po II wojnie światowej, a więc wypędzeniami i wysiedleniami. Bardzo wielu Niemców ze Śląska osiedliło się w RFN, gdzie powstały związki ziomkostwa skupiające wypędzonych. Były to organizacje dbające o zachowanie pamięci o dziedzictwie, ale też bardzo aktywne politycznie, co dziś postrzegane jest dość sceptycznie.

Natomiast we wschodnich landach sytuacja była odmienna. Tutaj w czasach NRD śląskości była wręcz tematem tabu. Ślązacy nie mogli się zrzeszać i nie mieli żadnej reprezentacji, często wręcz ukrywali swoje pochodzenie. Dopiero po upadku muru berlińskiego okazało się, że wielu mieszkańców Görlitz i okolic ma śląskie ko-

rzenie, czuje się bardzo ze Śląskiem związanych, a w domach posiada przedmioty, które opowiadają historię. To była wręcz erupcja śląskości, niemal masowy ruch, pojawił się nawet postulat, by do nazwy landu Saksonia dopisać nazwę Dolny Śląsk.

W samych Niemczech mamy zatem do czynienia z dwoma powiązanymi, a jednocześnie odrębnymi narracjami o Ślązakach.

Dlaczego Muzeum Śląskie powstało w Görlitz?

– Jeśli sięgnąć bardzo w głąb historii, musimy przyznać, że Görlitz nie było śląskim miastem. To część Górnych Łużyc. Jednak na kongresie wiedeńskim w 1815 roku podjęto decyzję o włączeniu tych terenów do pruskiej prowincji Niederschlesien, a więc Dolnego Śląska. 10 lat później do Śląska włączono nawet północno-zachodnią część Łużyc Górnych.

Görlitz jako śląskie miasto nie ma długiej historii, ale za to bardzo intensywną. W 1945 roku było pierwszą po niemieckiej stronie przystanią dla tysięcy wypędzanych. Dawnym mostem Libereckim, dziś im. Jana Pawła II, szły tłumy. Ludzie koczowali w mieście i okolicy. Tuż po wojnie liczba mieszkańców miasta się niemal podwo-

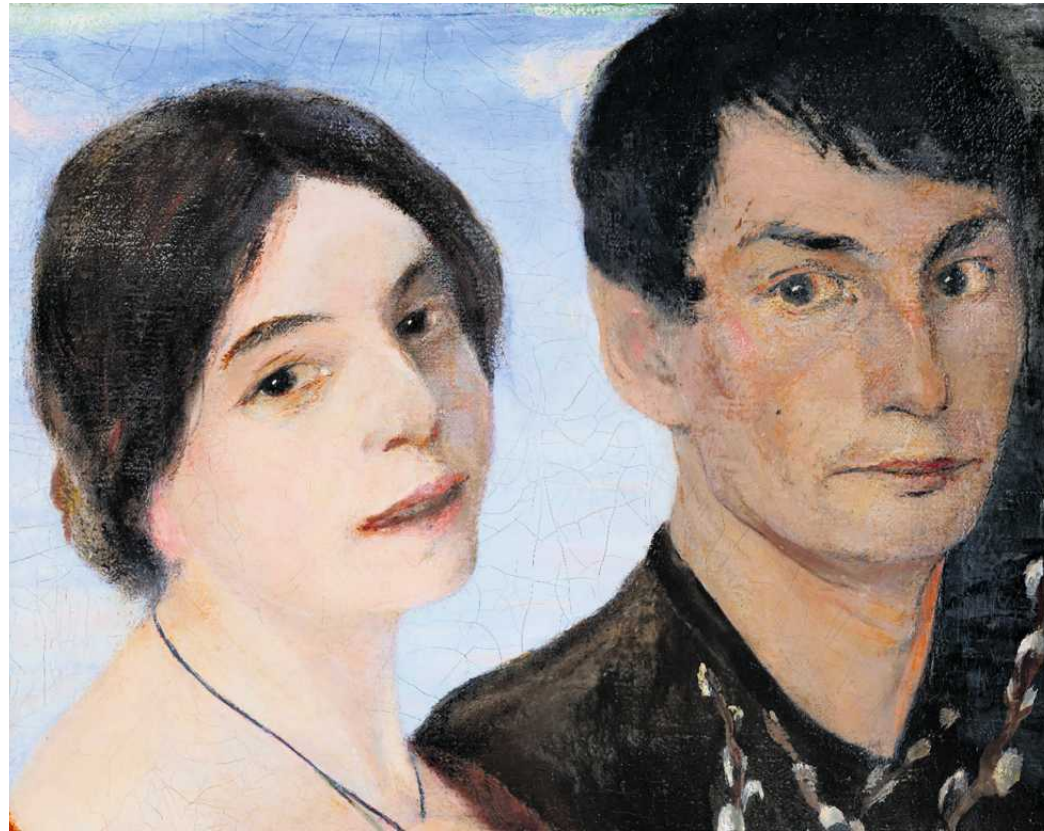


• „1945. Pamiętna data”, obraz Władysława Jagiellończyka z 1949 roku, olej na płótnie. Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze, Dom Carla i Gerharta Hauptmannów w Szklarskiej Porębie.

FOT. ŁUKASZ KWIET-NICKI, DCIGH

• „Autoportret z Maszką”, obraz Otto Muellera, ok. 1905. Przedstawiający malarza z żoną Maszką

FOT. SMG



ila. Panował głód, warunki sanitarne były fatalne. Większość przybyszy wyjechała na zachód Niemiec, do alianckich stref okupacyjnych, ale jednak wielu pozostało. I okazało się, że muszą – przynajmniej publicznie – zamilknąć na temat swojej przeszłości.

Temat powstania Muzeum Śląska pojawił się już w latach 70. Początkowo zamierzano założyć je w Hildesheim pod Hanowerem. Jednak pod koniec lat 80. nowy rząd landu Dolna Saksonia, którym kierował Gerhard Schroeder, zastopował przygotowania do budowy placówki. Gdy doszło do zjednoczenia Niemiec i wybuchu śląskości, o którym mówiłam, Görlitz wydawało się idealnym miejscem dla takiej inwestycji.

Wspaniały jest budynek, w którym się znajdujecie.

– To miejsce symbol Görlitz, ale proszę nie dać się zwieść dzisiejszemu wyglądowi. W latach 90. XX wieku to była niemal ruina. Na muzeum składa się kompleks budynków na staroście, z których najważniejszym jest Schoenhof.

Punktem zwrotnym w jego historii był rok 1525, gdy miasto zdewastował pożar. Pierwszym znaczącym budynkiem, który odbudowano już w rok po tym, była właśnie nasza siedziba. Dzięki temu mamy w Görlitz piękny przykład wczesnego niemieckiego renesansu. Jego architektem był Wendel Roskopf, który wcześniej pracował w Pradze i był uczniem Benedikta Rieda, który z kolei był nadwornym architektem zasiadającego na tronie Czech i późnej Węgier Władysława Jagiellończyka.

W XX wieku budynek podupadł. W 1908 roku pojawił się nawet plan – po uprzednim wyburzeniu wnętrza – zamienienia go na hotel. Jednak mieszkańcy Görlitz wzięli sprawy w swoje ręce, rada miasta odkupiła budynek, tym samym go ratując. Służył potem m.in. jako schronisko młodzieżowe, ale w latach 80. Schoenhof straszył pustkami. I znów mieszkańcy pospieszyli mu na ratunek, odkrywając na nowo jego walory. Dzięki temu możemy podziwiać jego wnętrza, które miejscami pochodzą nawet z czasów wczesnogotyckich.

Na naszej stronie internetowej można poznać burzliwą historię Schoenhofu.

Budynek jest pod opieką konserwatora, co nastręcza wiele trudności muzeum, ale udało się dostosować ekspozycję dla osób niepełnosprawnych, mamy windę i bardzo rozbudowaną ekspozycję, która nie zasłania historycznych detali.

Dodajmy, że olbrzymią ekspozycję. Trzeba zarezerwować kilka godzin, by uważnie ją zwiedzić.

– Jeśli ktoś chce rzeczywiście wszystko obejrzeć uważnie, zapoznać się z opisami, to

spędzi u nas przynajmniej 5 godzin. Opowiadamy ponad tysiąc lat historii Śląska. Od średniowiecza, po współczesność. Przed długi czas to koniec II wojny światowej i opowieść o tym, co się działo tuż po niej, były zwiercieniem wystawy. Teraz dołożyliśmy też wirtualną wystawę o naszych czasach. Można ją obejrzeć na tabletach, bo nie mamy już więcej przestrzeni. Pokazujemy na niej śląską gospodarkę po wojnie, mówimy o „Solidarności”, turystyce, ochronie środowiska i oczywiście o kulturze.

Zachwyliła mnie sala, w której prezentowane są niepozorne czasem przedmioty, które opowiadają fascynujące historie. Akt zakupy łaki w Leubus, czyli Lubiążu, przez malarza Michaela Willmanna czy maska pośmiertna Gerharta Hauptmanna, niemieckiego noblisty, który zmarł w polskim już Jagniątkowie. Pani ulubiony eksponat?

– Autoportret Ottona Muellera z żoną Maszką. Urodzony w 1873 roku Mueller był członkiem znanej grupy malarzy ekspresjonistów Die Brücke i wykładowcą w Państwowej Akademii Sztuki i Rzemiosła Artystycznego we Wrocławiu. To była bardzo postępową, nowoczesną szkołę. Autoportret, który prezentujemy na ekspozycji, to jedno z jego niewielu zachowanych wczesnych dzieł, ma w sobie lekkość i odbieram go bardzo emocjonalnie.

Innym dziełem jest obraz Oskara Molla, to jeden z czołowych malarzy niemieckiego modernizmu, również związany z wrocławską uczelnią, jej wieloletni i ostatni dyrektor. Jego martwa natura z wrocławską Halą Stulecia w tle zdradza silny wpływ Henriego Matisse’a, z którym łączyła go wieloletnia przyjaźń. Jest to jedyny obraz Molla przedstawiający Wrocław, dlatego dla nas niezwykle cenny. Kilka lat temu okazało się, że obraz przed wojną należał do żydowskiego kolekcjonera sztuki, który w 1939 roku musiał uciekać z Amsterdamu przed nazistami. Zwróciliśmy go spadkobiercom, a następnie od nich odkupiliśmy. To ważny świadek swoich czasów.

Mam duży sentyment dla rękodziela. W muzeum zgromadziliśmy wspaniały, pewnie największy na świecie zbiór śląskiej porcelany. Dwa lata temu dostaliśmy ponad 30 tysięcy obiektów, a już wcześniej mieliśmy sporą kolekcję.

Jak się „dostaje” 30 tysięcy obiektów?

– To dar dwójki kolekcjonerów porcelany. Pan Gerhard Schmidt-Stein był ważnym badaczem porcelany, który od lat kolekcjonował najlepsze produkty śląskich fabryk. Fascynującą postacią jest pani Adelheida Schmitz-Brodam, która śląską porcelanę zaczęła kolekcjonować w wieku 40 lat. Pochodziła z Nadrenii, ale miała babcię

w Wałbrzychu, wówczas Waldenburgu. Gdy w 1942 roku alianci bombardowali Nadrenię, rodzice wywieźli ją do babci. Babcia mieszkała tuż obok fabryki porcelany, więc dziecko bawiło się wśród stert porcelanowych odłamków pochodzących z fabryki Carla Tielscha.

Po latach ktoś podarował pani Schmitz-Brodam piękny talerz. Okazało się, że był to talerz z dawnej fabryki Tielscha. Jak wspominała kolekcjonerka, był to dla niej niezwykle, emocjonujący moment – wróciły wspomnienia z krainy dziecięcej zabawy, którą – tak się złożyło – był wojenny Waldenburg. I tak pani Schmitz-Brodam zaczęła kolekcjonować porcelanę Tielscha. Co cenne, zbierała też egzemplarze pogardzane przez innych kolekcjonerów, jak te produkowane podczas wojny, pozbawione zdobieni. Dla muzeów i innych zbieraczy nie przedstawiały żadnej wartości. Dzisiaj są ważnymi świadkami tamtych czasów.

Śląska porcelana w XXI wieku jest sexy?

– Kilka lat temu przygotowaliśmy czasową ekspozycję naszych zbiorów porcelany, którą następnie wypożyczyło Muzeum Miejskie we Wrocławiu. Prezentowaną we wrocławskim ratuszu wystawę przedłużano kilka razy. To są cudniaki! Warto pamiętać, że Śląsk był zagłębiem porcelany. Funkcjonowało tu ponad 50 fabryk. Zaledwie trzy przetrwały wojnę, lecz teraz niestety właśnie w Wałbrzychu licząca sobie 200 lat fabryka porcelany Krzysztof (wcześniej Krister) jest w rozbiórce.

Kiedyś przyjeżdżała do nas grupa doktorantów, wśród których były osoby z Karaibów. Jakie było nasze zaskoczenie, gdy rozpoznały porcelanę, którą mamy w zbiorach. Przed II wojną światową Śląsk był najważniejszym eksporterem porcelany do Stanów Zjednoczonych.

Wracając do kolekcjonerów – Śląsk to raj dla zbieraczy.

– Zmieniają się tylko koniunktury. Porcelana i szkło były bardzo popularne wśród niemieckich kolekcjonerów jakieś 10-15 lat temu. Dzisiaj fascynują się nimi Polacy. Przeszliśmy z etapu zachowywania wspomnień o własnej historii, do kolekcjonerstwa, którego celem jest stworzenie ciągłości z przeszłością. Na pewno wiele dobrego zrobiły książki, jak „Poniemieckie” Karoliny Kuszyk, które uwarściwiają Polaków mieszkających na Śląsku na przedmioty, którymi się otaczają.

Czy mieszkańcy Goerlitz przynoszą do muzeum eksponaty?

– Obecnie rzadziej, ale nadal dostajemy darowizny czy propozycje kupna potencjalnych eksponatów. Jednak nie wszystko przyjmujemy, bo magazyny mamy już przepelnione. Ale dla obiektów ważnych

historycznie lub wybitnych artystycznie znajdujemy miejsce.

Myszę, że wzrost zainteresowania zbieractwem jest też powiązany z większym dostępem do wiedzy. Cały czas wypływają obiekty, których historie są fascynujące.

Trzy lata temu na rynku aukcyjnym pojawiła się kolekcja Württembergów, znanego niemieckiego rodu, właścicieli pałacyku w miejscowości Carlsruhe koło Oppeln, czyli w Pokoju nieopodal Opola. Posiadłość została niemal doszczętnie zniszczona przez wojska rosyjskie w 1945 roku. Okazało się, że jeszcze przed wojną Württembergowie wywieźli z pałacu większość najcenniejszych skarbów. Zapakowali w papier i umieścili w piwnicy swojej posiadłości nad Jeziorem Bodeńskim, bo nie była to biedna rodzina. Gdy niedawno zmarł ostatni potomek Württembergów, w Monachium odbyła się olbrzymia aukcja dzieł związanych z pałacem w Pokoju.

Kupiliśmy wspaniałe portrety założycieli tego miejsca, w tym jeden autorstwa Johanna Georga Zieseniisa Młodszego, bardzo znanego malarza z połowy XVIII wieku. Aukcja trwała godzinami, a brali w niej udział kolekcjonerzy z całego świata. Ceny były kosmiczne. Na szczęście „nasze” obiekty udało się kupić w racjonalnych cenach.

Co z archiwami ziomkostw? Przez dekady ukazywały się gazety, jak „Waldenburg Heimatsbote”, w których publikowano wspomnienia o utraconej ojczyźnie, zakładano izby pamięci.

– Rzeczywiście jednym z działań podejmowanych przez lokalne wspólnoty wypędzonych było zakładanie Heimatstube, czyli izb pamięci gromadzących pamiątki sprzed wojny. Teraz generacja bezpośrednich świadków historii powoli się wykrusza i pojawia się pytanie, co z ich spuścizną.

Od kilku lat wspieramy stowarzyszenie prowadzące izbę poświęconą dawnemu Löwenberg in Schlesien, czyli Lwówkowi Śląskiemu, w znalezieniu nowego miejsca dla ich zbiorów. Nam jako muzeum brakuje przestrzeni w magazynach, ale i tak szkoda byłoby, gdyby te pamiątki wylądowały gdzieś w zamknięciu, zwłaszcza że zainteresowanie nimi w powiecie lwóweckim jest bardzo duże, szczególnie fotografią dokumentującą wcześniejszą historię miasta i okolic. Udało nam się nawiązać współpracę z burmistrzem Lwówka Śląskiego i ze starostwem. I tak stowarzyszenie przekazało nam zbiory, a my wypożyczyliśmy je jako depozyt do Lwówka. Finalnie zbiory z tej Heimatstube będą prezentowane już niebawem w Lwówku, Lubomierzu i Gryfowie Śląskim.

Śląsk to dzisiaj fascynujące miejsce, w którym przenikają się różne kultury,



• Wnętrze dawnego domu kupieckiego Schönhof, siedziby Muzeum Śląskiego w Görlitz
FOT. SMG

religie i pamięci o nich. Ale wciąż często nie mówi się o śląskim pochodzeniu wielu wybitnych twórców, zarówno po niemieckiej, jak i polskiej stronie. – Otworzyliśmy właśnie wystawę „Przełomy 1945”, która potrwa aż do 4 stycznia 2026, poświęconą artystom, których w różny sposób dotknęły zmiany granic. Jest wśród nich m.in. Vlastimil Hofmann, syn Czecha i Polki, który był kontynuatorem twórczości Jacka Malczewskiego. Po wojennej tułaczce razem z żoną przeniósł się do Szklarskiej Poręby, by kontynuować miejscowe tradycje artystyczne.

Eryka i Jan Trzewik-Drostowie, słynni projektanci, choć urodzeni na niemieckim Śląsku, stali się ważnymi polskimi twórcami. Drostowie urodzili się jako niemieckie dzieci, a po wojnie poszli do polskiej szkoły. Poznali się na studiach, gdzie odkryli wzajemnie swoje pochodzenie. Na zewnątrz Trzewik-Drostowie funkcjonowali jako Polacy, ale w domu ona mówiła do niego Johannes, a nie Jan.

Jest też malarz, którego obecność na tej wystawie zaskakuje – Jan Cybis. – Johannes Cibis urodził się w 1897 roku we Fröbel, dzisiaj Wróblinie na Górnym Śląsku. Dorastał w rodzinie niemieckojęzycznej, był w pruskiej armii podczas I wojny światowej, studiował nawet prawo na Śląskim Uniwersytecie im. Fryderyka Wilhelma we Wrocławiu, czyli Breslau. Jednak gdy w wyniku plebiscytu większość Górnego Śląska została przyłączona do Polski, przeniósł się do Krakowa na ASP, gdzie studiował w pracowniach Mehoffera i Pankiewicza.

Polskość była dla niego ważna również jako element buntu przeciwko ojcu, który nie zgadzał się z artystycznymi aspiracjami syna. W twórczości Cybisa znajdziemy zarówno „niemiecki” ekspresjonizm, „francuski” kapizm, jak i „polski” impresjonizm. W polskiej kulturze mamy przykłady twórców, którzy ukrywali swoje śląskie pochodzenie. Podobnie zresztą jak zwykli Niemcy, którzy – choć nielicznie – zostali w Polsce po 1945 roku. O śląskości nie mogli też mówić wypędzeni, którzy zostali w NRD. To przypadek Margarete Jahny, projektantki i ceramiczki, autorki kultowych już zastaw stołowych Mitropa. Udział Ślązaków w kulturze artystycznej Niemiec jest naprawdę znaczny, aczkolwiek mało znany.

A jak panu się samo Görlitz podoba?

Zaskoczyła mnie doskonale zachowana tkanka historyczna. Setki kamienic, olbrzymia starówka, parki. Ładnie tu. – To miasto fenomen, przez niektórych uważane za najładniejsze w Niemczech. Już w średniowieczu przebiegał tu ważny

szlak handlowy łączący wschód z zachodem, czyli Via Regia. Przechodził dosłownie tuż pod naszym budynkiem. W XIX wieku Görlitz upodobał sobie pruscy urzędnicy, którzy zamieszkivali tu na emeryturze, stąd tyle wilhelmińskich kamienic. Jest też synagoga, jedna z nielicznych, które przetrwały II wojnę światową.

Mimo że to niewielkie, liczące zaledwie 56 tys. mieszkańców miasto, to mamy trzy muzea, teatr, orkiestrę, a nawet balet. Coraz więcej wydarzeń jest organizowanych wspólnie ze Zgorzelcem, a Polacy stają się w ostatnich latach coraz bardziej liczącą się grupą odbiorców. Nawet z drezdeńskich muzeów słyszę, że planuje się coraz więcej oprowadzań i atrakcji dostępnych w języku polskim.

Czyli integracja to nie jest tylko papierowa idea? – Tak, choć tendencje są niepokojące. Wystarczy popatrzeć na wynik wyborów do landu Saksonia*. Nie widzę w tym przyszłości.

Jesteśmy w dobrym momencie, gdy przezwyciężyliśmy wiele problemów i wiemy, że łączy nas wspólna historia. Nie da się jej schować pod dywan, nie da się zaprzeczać faktom. Historia jest, jaka jest. Nie zmienimy jej. Możemy tylko nauczyć się z nią obchodzić i na tym gruncie budować przyszłość. Oczywiście, niemiecka narracja jest w wielu aspektach inna niż ta w Polsce. Poznanie tych odmiennych punktów widzenia pozwala zrozumieć przeszłość i zbliża. To właśnie robimy w Muzeum Śląskim czy raczej Schlesisches Museum zu Görlitz.

* W 2024 roku skrajnie prawicowa AfD uzyskała w wyborach do regionalnego parlamentu 30,6 proc. głosów, rok później w wyborach parlamentarnych ponad 38 proc.



FOT. PAWEŁ
SOSNOWSKI

Agnieszka Gąsior

• Germanistka i historyczka sztuki. Ukończyła Uniwersytet Zielonogórski oraz TU Berlin. Pracowała w Instytucie Historii i Kultury Europy Wschodniej im. Leibniza (GWZO) na Uniwersytecie w Lipsku. Od 2021 roku jest dyrektorką Schlesisches Museum w Görlitz.

Jasne strony dziejów

Pięć lat bez Pani Ziuty

Józefa Hennelowa miała w sobie większy power niż dzisiejsze feministki, choć sama pewnie za feministkę się nie uważała, a i one niechętnie widziałyby ją w swym gronie.

Brzeziecki

Zmarła 22 sierpnia 2020 roku w wieku 95 lat. Dzieciństwo i młodość spędziła w Wilnie, ale po wojnie znalazła się w Krakowie. Tu dość szybko związała się z redakcją „Tygodnika Powszechnego”. Zaczynała jako korektorka, by zwieńczyć redakcyjną karierę na stanowisku zastępczyni redaktora naczelnego. Przez lata miała w tym piśmie także swój felieton – na ostatniej stronie, czyli w miejscu elitarnym, bo to tam ukazywały się przez dekady felietony Kisiela, Antoniego Słonimskiego, Sławomira Mrożka, Jerzego Pilcha czy Stanisława Lema.

W 1989 roku w ramach solidarnościowej drużyny weszła do Sejmu, by zasiadać w nim do 1993 roku i współdecydować o polskich reformach.

Nigdy nie wyzwoliła się z pewnego kompleksu wobec kolegów z „Tygodnika Powszechnego” – byłych ziemian, którzy po wojnie skupili się w Krakowie. Paradoksalnie to PRL, choć jej ustrój był pani Ziucie obrzydliwy, umożliwił jej karierę, czy może nawet awans społeczny. Jako córka wileńskiego krawca w II RP pewnie nie miałyby szans, by zasiadać w parlamencie.

Była katoliczką, ale w poglądach niezależną i autentyczną. Choć znała i darzyła sympatią Jana Pawła II, nie bała się wypowiadać krytycznych opinii o jego pontyfikacie i dziedzictwie. Prawicy naraziła się, sprzeciwiając się umieszczeniu krzyża w polskim godle, czy postulując liberalniejsze prawo aborcyjne. Kobiet w polskim parlamencie było wówczas mało, ale ona w tym męskim świecie nie dała się zmarginalizować. Nigdy nie była osobą strachliwą – w czasie wojny należała do Szarych Szeregów, uczestniczyła w tajnym nauczaniu, za komunę zjawiała się na procesach opozycjonistów i robotników – by pokazać, że nie są sami.

Oczywiście była też dzieckiem swoich czasów. Zapewne świat dzisiejszej afirmacji LGBTQ+ nie był jej światem, ale daleka była od potępiania kogokolwiek. Owszem, orientację Jerzego Zawieyskiego była gotowa tolerować, byle nie obnosił się ze swoim przyjacielem w redakcji na Wiślniej. Było w tym coś z obłudy, ale to były lata 60. XX wieku, gdy homoseksualizm był karany na

wet w Wielkiej Brytanii (w Polsce akurat nie, ale był społecznie napiętnowany). Z wiekiem stała się coraz bardziej progresywna.

Była niezależna, nie tylko jeśli idzie o poglądy – jeszcze w głębokim PRL sama prowadziła samochód. Wtedy był to przejaw emancypacji. Razem z mężem, profesorem Jackiem Hennelem, cenionym fizykiem jądrowym, wychowali trójkę dzieci, bez poświęcania zawodowych ambicji. Jako kobieta osiągnęła więc w Polsce bardzo wiele, nie wyrzekając się ani swych poglądów, ani życia rodzinnego. Trafiła nawet kiedyś na okładkę „Wysokich Obcasów”, co dziś trudno sobie wyobrazić...

Należała do tej formacji, dla której słowa obowiązek, powinność, punktualność, ofiarność, skromność coś znaczyły. O takich ludziach mawia się: stara dobra szkoła.

Nie sposób też zliczyć ludzi pokrzywdzonych przez los albo własne wybory życiowe, którzy zwracali się do niej o pomoc i ją otrzymywali.

Lubiłem odwiedzać Józefę i Jacka Hennelów, a po 2014 roku, gdy zmarł profesor Hennel, już samą panią Ziutę, także wtedy gdy już przestała być aktywna publicznie, choć jako felietonistka, w ostatnich latach w miesięczniku „Znak”, do końca trzymała wartość. Miałem wrażenie, że cokolwiek przecenia moje odczytanie, znajomość świata i ogólnie wiedzę. Zadawała mi pytania, co sądzę o tym albo o tamtym. Sądziłem zazwyczaj niewiele i ze wstydem starałem się ukryć ignorancję. Ona – nawet kiedy już nie mogła sama czytać – polegała na lektorach, albo z radia dowiadywała się, wszystkiego, co chciała wiedzieć.

Starość przyjmowała bez użalania się nad sobą, ale i bez egzaltacji. W 2017 roku mówiła mi w wywiadzie dla „Polityki”: „Chciałabym, żeby nie udawano, że to jest niesłychanie piękne i że starość jest darem – nawet gdy robił to Jan Paweł II, nie przekonywało mnie to”.

Józefa Hennelowa przeżyła swoje życie bez udawania cokolwiek i kogokolwiek – tego z pewnością można jej zazdrościć. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

Leonid Sapożnikow

„My, z Bożej łaski, Mikołaj I, Cesarz i Samodzierzca Wszechrusi, Moskwy, Kijowa, Włodzimierza, Nowogrodu, Car Kazania, Car Astrachania, Car Polski, Car Syberii...”. Chcesz się uśmiechnąć? Wyobraź sobie, że spotykasz kogoś, kto mówi to wszystko! Albo przedstawia się bardzo krótko: „Żandarm Europy!”. Ten nieoficjalny tytuł przyznano mu, a wraz z nim Rosji, po dwóch „operacjach specjalnych”.

Pierwszą było stłumienie powstania listopadowego w Polsce w 1831 roku. Oburzyło to francuski parlament i prasę, na co Aleksander Puszkina odpowiedział szowinistycznym wierszem „Do oszczerców Rosji” („cały świat nadal oczernia ją, Imperium Dobra”).

A w 1849 roku przyszła kolej na Węgry, które były częścią Cesarstwa Austriackiego. Powstańcy chcieli utworzyć niepodległe państwo bez poddaństwa i z węgierskim, a nie niemieckim językiem urzędowym.

Mikołaj I obserwował bieg wydarzeń z mniej więcej takim samym uczuciem, z jakim Leonid Breżniew 120 lat później Praską Wiosnę. Stracił na wadze z powodu lęków i niepokoju, wyladowywał złość na dworzanach, a wiosną następnego roku odzyskał siły, gdy młody cesarz austriacki zwrócił się do niego z prośbą o pomoc wojskową. Franciszek Józef miał na myśli „ograniczony kontyngent” wojsk rosyjskich – 30 tys. żołnierzy, ale Mikołaj tak nienawidził wszelkich rewolucji, że wysłał mu sześciokrotnie więcej wojska.

W ciągu trzech miesięcy hordy te „zmusiły Węgrów do pokoju”. Historyk wojskowości zacząłby mówić, która kolumna dokąd maszerowała i ile miała dział. Ale nas interesuje coś innego: Jak zachowywali się rosyjscy żołnierze i oficerowie w cywilizowanym kraju?

BOŻE,
CHROŃ CARA!

Przeczytałem książkę „Notatki z pochodu 1849 roku”, której autorem jest 24-letni chorąży Piotr Alabin pochodzący z riazkańskiej rodziny szlacheckiej. Monarchista, antysemita, miłośnik wina i pięknych kobiet – jednym słowem, typowy carski oficer. Ale dociekliwy i całkiem szczerzy. Zachowywał ostrożność w sporządzaniu notatek, ponieważ, jak pisał markiz de Custine, który podróżował po Rosji za panowania Mikołaja I, „kłamać w tym kraju oznacza chronić społeczeństwo, lecz mówić prawdę oznacza dokonać zamachu stanu”. Udało się je wydać w Samarze prawie czterdzieści lat później. Na stronie tytułowej widnieje napis: „Druk dozwolony przez cenzora”. Bóg jeden wie, co cenzor usunął z „Notatek kempingowych” Alabina, ale ziarna prawdy rozsiane w tej książce są tym cenniejsze.

W połowie maja 1849 roku wojskom odczytano manifest Mikołaja I: „My (z Bożej łaski itd.) rozkazaliśmy naszym armiom wyruszyć, by stłumić rebelię i zniszczyć bezczelnych przestępców, którzy próbują zachwiać pokojem naszych regionów”. A armia licząca 180 tysięcy żołnierzy wkroczyła na Węgry przez austriacką Galicję i Karpaty. Piechota, jak to ona, drałowała pieszo.

Wierny poddany chorąży Alabin był w romantycznym nastroju i pragnął walczyć z „gangami przestępców”. Ale w ciągu czterdziestu lat stał się mądrzejszy i w przedmowie do książki napisał: „Rosyjskiemu przedstawicielowi w Belgii zadano pytanie: »Jaki był, szczerze mówiąc, prawdziwy powód interwencji Rosji w 1849 roku?«. Przedstawiciel odpowiedział, że interwencja ta nie miała żadnych podstaw. Był to owoc osobistej wyobraźni cesarza Mikołaja I”. Jest coś bolesnego znajomego w tych słowach...

Prawie nikt z tej armii nie był wcześniej w Europie, ponieważ od ostatnich bitew z Napoleonem minęło 35 lat. Nic dziwnego, że pierwsze miasto Zachodu zadziwiło przybyszy. Tarnopol – pisze Alabin – „nie przypomina naszych miast pod względem piękna, czystości i porządku”. I Lwów także.

Żandarm EUROPY

Nasi ludzie rabowali, gdzie tylko mogli.

Całe hordy ordynansów i furazerów brało wszystko, co wpadło im w ręce.



• Rosyjska specjalna operacja wojskowa podczas powstania węgierskiego w 1849 roku. Armia carska wdzierza się na ziemie węgierskie przez przełęcz Tömös. Obraz László Bellony'ego FOT. WIKIMEDIA



• Car Rosji Mikołaj I (1796-1855), zwany Żandarmem Europy. Portret autorstwa Franza Krügera z 1852 roku FOT. ZE ZBIORÓW PAŃSTWOWEGO MUZEUM ERMITAŻU W PETERSBURGU

A Sambor... Przykro, prawda? Dlatego w Samborze zrobiło się gorąco – pokazałi miejscowym!

Tam z okazji święta Bożego Ciała katolicy zaprosili rosyjską orkiestrę wojskową i poprosili ją o wykonanie muzyki religijnej. „Ale w najbardziej uroczystym momencie ceremonii – pisze Alabin – gdy ksiądz podniósł monstrancję z darami przed ołtarz i pobłogosławił ludzi, którzy padli na kolana, nasi muzycy zupełnie niespodziewanie huknęli: »Boże, chroń cara!«. Ten incydent, którego nikt nie przewidział, pochlebił naszej dumie narodowej”.

NIEMCÓW Z BŁOTA
WYCIĄGAMY

Znaj naszych! Ale to był dopiero początek.

Czytajmy dalej: „Było już wiele przypadków obrażania austriackich oficerów przez Rosjan: czepiano się ich z powodu najróżniejszych drobiazgów. Nasi starali się pokazać im wyższość swoich wojsk,

wypominać im porażki, jakie ponieśli, i że bez naszej pomocy dawno by zginęli. Nasi z zadowoleniem opowiadali o wszystkim, co mogło ich w jakikolwiek sposób upokorzyć, np. o odbijaniu ich kobiet itd. Gdzieś w jednej z karczm doszło do starcia z oficerami austriackimi, w wyniku którego kilku z nich wyrzucono przez okno. Gdzie indziej pewnego Austriaka po prostu pobito nahajkami za jakieś nieostrożne słowo.

Oto kolejna typowa historia Alabina. Oficer rosyjski i austriacki kupowali coś w sklepie, a Austriak płacił banknotami. Niezadowolona gospodyni podała mu przykład Rosjanina, który płacił złotymi monetami. „Dobrze jest im płacić złotem” – odpowiedział Austriak – „gdy zostali wynajęci, żeby walczyć za nas”. Obrażony taką uwagą Rosjanin wyzwał Austriaka na pojedynek i go zabił. Gdy cesarz Mikołaj został o tym poinformowany, powiedział: „Rosyjski oficer powinien zostać surowo upomniany za narażenie swojego życia w czasie wojny. Powinien był zabić Austriaka na miejscu!”.

Od zwierzchności wielkomocarstwowa pycha została przekazana „niższym rangom”. Austriacki oficer zapytał rosyjskiego żołnierza: „Czy wiesz, dlaczego tu przybyłeś?”, „Wiem”, „Dlaczego?”, „Niemców z błota za uszy wyciągać!”.

Słowa „Austriacy” nie było w chłopskim leksykonie.

ORDYNANSI NA ŁOWACH

Przybysze za chamstwem, przechwałkami i nadęciem skrywali swój goły tyłek. Nie do zniesienia była przepaść kulturowa, a zwłaszcza przepaść w jakości życia, jaka różniła nędzną, niemytą Rosję i Austrię.

„Zdecyduje się Alabin powiedzieć o grabieżach?” – pomyślałem, czytając „Notatki”. Zdecydował się! Co prawda, prawie na końcu, na stronie 142: „To smutna prawda, nasi ludzie rabowali, gdzie tylko mogli”. I kontynuował, uważajcie!: „Oczywiście, regularnemu wojsku było trudno zająć się tym, ponieważ tylko w rzadkich przypadkach pozwalano kwaterować we wsiach i osadach, zazwyczaj umieszczając wojsko na biwakach, poza osiedlami; ale Kozacy, konwojenci, całe hordy ordynansów i furazerów rabowały wszystko, co wpadło im w ręce”.

Tu musimy wyróżnić pogrubionym drukiem trzy słowa: „całe hordy ordynansów”.

Autor albo przypadkowo się wygadał, albo celowo, ze względu na warunki cenzury, tylko napomknął o bardzo ciekawym fakcie: rosyjscy oficerowie również brali udział w rabunku! Przecież ordynans nie mógł na długo oddalać się bez wiedzy swego oficera, a okazało się, że było ich „całe hordy”! Oznacza to, że starali się dla swoich panów, którzy zostawiali im część łupów za ich wysilek.

Węgierskie miasto Tokaj ucierpiało z powodu przybyszów bardziej niż inne. Uchławszy się w starych piwnicach winnych, zademonstrowali rosyjską brawurę, rozbijając beczki tokaju. Ale to tylko takie sobie kwiateczki. Dońscy Kozacy, jak pisze autor, „ograbili wiele domów, łamiąc i rozbijając wszystko, czego nie mogli ze sobą zabrać”. Właścicieli, którzy próbowali protestować, zabijali. Aby się usprawiedliwić, rozpuścili plotkę, że z tych domów jakoby strzelali. Alabin nazywa to „wymysłem pragnących ograbić miasto”.

Wywiad, oczy armii, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje nieprzyjaciel. Prawdopodobnie najbardziej interesowało go, gdzie by można się nachapać.... Autor „Notatek” nazywa go „skandalicznie marnym” i dodaje, że trzeba było gonić nieprzyjaciela, który unikał bitew, „szukając drogi po omacku, jak ślepiec bez przewodnika, mający tylko swój kijek”...

HORDA I CHOLERA

Nasz chorąży nigdy nie miał okazji zobaczyć bitwy. Natomiast w mieście Kaschau (obecnie Koszyce) on i jego koledzy pełnili funkcję żandarmów, pomagając austriackiej policji:

„Ja, porucznicy Lewszyn i Gebel, otrzymaliśmy rozkaz, po przyjęciu pod swoje dowództwo 30 żołnierzy z naładowaną bronią, aby tej samej nocy aresztować osoby, które wskażą nam austriaccy komisarze. Cała wyprawa przeciwko spokojnie śpiącym mieszkańcom Kashausu prowadzona była w największej tajemnicy. Każdy z nas miał za zadanie aresztować 20 osób. Była noc, nic nie było widać. Z przyciemnionymi latarniami przedzieraliśmy się przez nieoświetlone ulice miasta i otaczaliśmy dom wskazany nam przez komisarza, blokując wszystkie wyjścia. Komisarz pukał do drzwi wejściowych lub bramy, a gdy stróż ją otwierał, dziesięciu żołnierzy i ja udawaliśmy się do mieszkania wskazanej osoby. Niektóre mieszkania zostały otwarte natychmiast po tym, jak komisarz zapukał do drzwi, inne zaś, mimo jego usilnych żądań w imieniu prawa i cesarza Austrii, zostały

otwarte dopiero po groźbie wyważenia drzwi. Po wejściu do mieszkania rozpoczęło się szukanie poszukiwanej osoby, przy czym doszło do scen, których nie daj Boże komukolwiek zobaczyć. Muszę przyznać, że nieraz musiałam ukradkiem ocierać łzy, gdy nagle szanowna staruszka, matka aresztowanego, padła na kolana i ścisłała nasze nogi, błagając, abyśmy oszczędzili i nie tknęli jej jedynego syna...”.

Można zrozumieć odczucia chorążego, bo nieprzyzwyczajony. Jeszcze kilka takich nocnych wypraw i przestałby płakać, a potem, popatrz, zacząłby odpychać staruszkę nogą...

W sierpniu armia węgierska skapitulowała. Jednym z powodów był ostry konflikt między naczelnym dowódcą Artúrem Görgeym a przywódcą rewolucji Lajossem Kossuthem. W ciągu trzech miesięcy rosyjska horda poniosła niewielkie straty bojowe: 0,7 procentu zabitych i 2,5 procentu rannych. Jednakże 11 procent zmarło na cholerę, gdyż panowały tam fatalne warunki sanitarne.

W drodze powrotnej, w Galicji, oficerowie zaczęli za resztę pieniędzy skupywać to, co dało się sprzedać w Rosji po wygórowanych cenach: od herbaty i cukru po koronki i chusteczki. „Jako osobę, która przeprowadziła szczególnie dużą operację tego rodzaju – pisze Alabin – wskazano na naszego dowódcę korpusu, generała Czeodajewa!!!”.

Szlachetni panowie spekulanci pospieszyli się nieco. Ogłoszono nowy rozkaz: „Udać się na granice Prus z powodu nieporozumień, jakie powstały między nami a tym państwem”.

ZNISZCZENIE, ODÓR I ROBACTWO

Do Prus jednak nie dotarli: tym razem „żandarm Europy” zmienił zdanie. Ale Niemców bardzo wystraszył. Dowiedziałem się o tym nie od Alabina, lecz z archiwalnej ulotki pruskiej, wpisując w wyszukiwarke hasło: „Rosja i rewolucja 1848-1849 w Niemczech”. Ulotka przedstawia oblicze armii rosyjskiej, która pomogła wyzwolić Europę spod panowania Napoleona:

„Od czasów wojen wyzwoleniczych Rosjanie są nadal uważani za naszych przyjaciół. Zapytaj swoich ojców, wujków, ciotce, babcie itd., jak wspaniale wykorzystywali status »naszych przyjaciół«, aby kraść, rabować, plądrować i polować na ludzi. Pamiętajsz Kozaków na małych konikach z dużymi siodłami? Pamiętajsz, jak obwieszali się garnkami, czajnikami, patelniami, złotymi i srebrnymi sztućcami, ubraniami związanymi w tobolek itp.? Wszystko to zostało najprawdopodobniej skradzione. Odbierali kobietom halki, rozcinali je na pół, zszywali dwie części i nosili jak spodnie. Gdziekolwiek byli, zostawiali za sobą zniszczenie, odór i robactwo. A ci Kozacy, Baszkirzy, Tatarzy itd. znowu płoną żądzą okradania Niemiec, niszczenia naszej nowo powstałej wolności, naszej kultury, naszego dobrobytu, dewastowania naszych pól i łąk, zabijania naszych braci, hańbienia naszych matek i siostr, a przy pomocy knuta i tajnej policji, niszczenia wszelkich przejawów wolności, człowieczeństwa i uczciwości”.

Wydawałoby się, że te słowa zostały napisane w bardzo odległej przeszłości, ale dlaczego aż ręka świerzbi, by zastąpić konie czołgami i dodać sedesy do listy skradzionych dóbr?

W kodeksie karnym Federacji Rosyjskiej pojawił się nowy rodzaj przestępstwa: dyskredytacja armii rosyjskiej. Ale moim zdaniem kolejna dyskredytacja jest już niemożliwa. Ta armia przez ostatnie dwieście lat tak bardzo się skompromitowała, że?? nie ma już miejsca, by znowu odcisnąć na niej nowe piętno.

Czas nie ma władzy nad tym krajem... O wielowiekowych tradycjach zombi ludzi świadczy wojna w Ukrainie... Okradaj, gwałć, zabijaj pod wodzą małego cara. ●

***Leonid Sapożnikow** – ukraiński pisarz, dziennikarz i poeta.

Antypolityka historyczna

Utopia, sp. z o.o.

Naśladownictwo krajów wysoko rozwiniętych jest rozsądną drogą postępowania, choć czasem wiedzy na manowce



W roku 1893 teatr Savoy w Londynie wystawił z wielką pompą, w bogatych dekoracjach, operę komiczną „Utopia, ltd”. Wielbiciele ruszyli tłumnie; opery z muzyką Sir Arthura Sullivana i librettami W.S. Gilberta (nikt nie śmiałby nazwać ich operetkami, zawsze pisano „comic opera”) były przecież jedną z wielkich instytucji epoki wiktoriańskiej. Od operetek kontynentalnych, Straussa czy Offenbacha, różniły się muzycznie (bliższe XX-wiecznemu musicalowi), ale główną różnicę stanowiło libretto.

Libretta większości operetek były, delikatnie mówiąc, idiotyczne, zaś teksty Gilberta są świetne; są klasyką angielskiego pure nonsense, zupełnie w stylu Edwarda Leara czy Lewisa Carrolla. Pięknie przetłumaczony przez Stanisława Barańczaka „Koszmar” z opery „Iolanthe”, daje wyobrażenie o Gilbertowskim poczuciu humoru.

Utopia, wyspa na południowym oceanie, postanawia wkroczyć na drogę postępu, biorąc przykład z najwyższej rozwiniętego państwa świata – Wielkiej Brytanii. Król nakazuje poddanym przyjęcie europejskich strojów, sam przywdziewa czerwony mundur brytyjskiego feldmarszałka. Szczególne zdziwienie Utopian budzi angielska ustawa z 1862 roku o spółkach z ograniczoną odpowiedzialnością. Jak to możliwe, że udziałowcy są odpowiedzialni za długi spółki tylko do wysokości zadeklarowanego wkładu kapitałowego? Jeden z przybyłych Anglików wyjaśnia to w swej arii – rzadki w dziejach opery wykład zasad funkcjonowania instytucji ekonomicznych.

Utopianie dowiadują się, że mogą np. zadeklarować kapitał 18 pensów i wtedy w razie powodzenia zyskają milion, w razie bankructwa – tracą jedynie rzeczzone 18 pensów. Król postanawia nie tylko naśladować Wielką Brytanię, ale ją wyprzedzić: odtąd więc całe państwo Utopia stanie się wielką spółką z o.o. Wszystko udaje się nad podziw, sprowadzeni z Anglii fachowcy reformują utopiańskie instytucje i doprowadzają je do perfekcji. Skutki są oplakane. Zanikły choroby i przestępstwa, co powoduje bezrobocie wśród lekarzy i prawników; armia jest tak silna, że wszystkie sąsiednie narody dobrowolnie się roz-

broili, wiedząc, że z Utopią nie mają żadnych szans, więc armia przestała być potrzebna, a firma, która zawarła kontrakt na import mundurów z Anglii, bankrutuje.

Ludzie się burzą, żądają odwołania reform i powrotu do starych dobrych czasów; król i jego wykształcona w Anglii córka gorączkowo zastanawiają się, gdzie popełnili błąd. I znajdują: zapomnieli o systemie dwupartyjnym. Kiedy go się wprowadzi, jedna partia będzie zawsze niszczyć to, co zrobiła druga, żadne reformy nigdy nie dojdą do skutku, znowu będzie „chorób pod dostatkiem, niekończące się procesy sądowe, pełne więzienia, nieskończony bałagan w Armii i Marynarce Wojennej, słowem – powszechna i bezprzykładna pomyślność!”. Utopianie są zachwyceni, wprowadzając system dwupartyjny, w pełni upodobnią się do Wielkiej Brytanii. Orkiestra gra „Rule Britannia”, następuje finał.

Opera nie była klapą, ale sukces – zwłaszcza w porównaniu ze wcześniejszymi dziełami panów G&S – był umiarkowany. Być może temat: „jak się wyrwać z zacofania”, nie nadaje się na beztrudną rozrywkę. A przecież Gilbert poruszył jeden z najważniejszych problemów swojej, ale i naszej epoki. Głównym celem satyry jest oczywiście Wielka Brytania, która chce być przykładem dla świata, choć nie radzi sobie ze swymi problemami. Tę kpinę angielscy widzowie wyłapali najłatwiej.

Ale może ciekawszy jest obraz samych Utopian. Złaszcza z naszej perspektywy, bo przecież takimi Utopianami my, środkowi i wschodni Europejczycy, byliśmy wielokrotnie. Węgrzy, którzy w drugiej połowie XIX wieku zbudowali z niczego Budapeszt – wielką europejską stolicę, która miała zaćmić Wiedeń, rozumowali zupełnie jak mieszkańcy Utopii. Wszyscy pozytywiści nie mieli takich środków jak Węgrzy, ale myśleli tak samo: również chcieli upodobnić się do wyidealizowanego Zachodu, choć nie chodziło im o Wiedeń, lecz o Anglię i Francję.

Gilbert celnie wydobyl absurdy bezmyślnego naśladownictwa i prób przegonięcia Zachodu. Sądzę jednak (nie wiem, czy zgodziłby się tu ze mną), że Utopianie, jak inne narody regionów peryferyjnych, w sumie mają rację: naśladownictwo (krytyczne!) krajów wysoko rozwiniętych jest często najrozsądniejszą drogą postępowania. Nieraz prowadzi do nieporozumień, czasem wiedzy na manowce, ale przecież daje perspektywę rozwoju. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.



Z bloków najszybciej wyrzucił Richard Thompson, reprezentant Trynidadu i Tobago, zresztą jak przystało na gościa, który ma przydomek „Torpeda”. Ale błyskawicznie obok niego pojawił się biegający na sąsiednim torze faworyt, Usain Bolt. Jamajczyka zwano „Błyskawicą”, ale tak naprawdę żadnej ksywki nigdy nie potrzebował. Wiadomo było, że jest najszybszy. Polknął Thompsona, po czym z gracją i swobodą odsadził resztę konkurentów i wpadł na metę finału stumetrówki w rewelacyjnym czasie 9,69 s. Pobił własny rekord świata o 0,03 s., a srebrnego medalistę, Thompsona właśnie, aż o 0,20 s. W sprincie to przepaść.

To wszystko działo się 16 sierpnia 2008 roku na Stadionie Narodowym w Pekinie, sławnym Ptasim Gnieździe podczas letnich igrzysk olimpijskich. Uzupełnijmy jeszcze, że Bolt triumfował też na 200 m, również z czasem lepszym od rekordu świata, tego, wydawało się, kosmicznego, Michaela Johnsona z IO w Atlancie. Ale bardziej interesować nas będzie data niż Boltowe medalobranie.

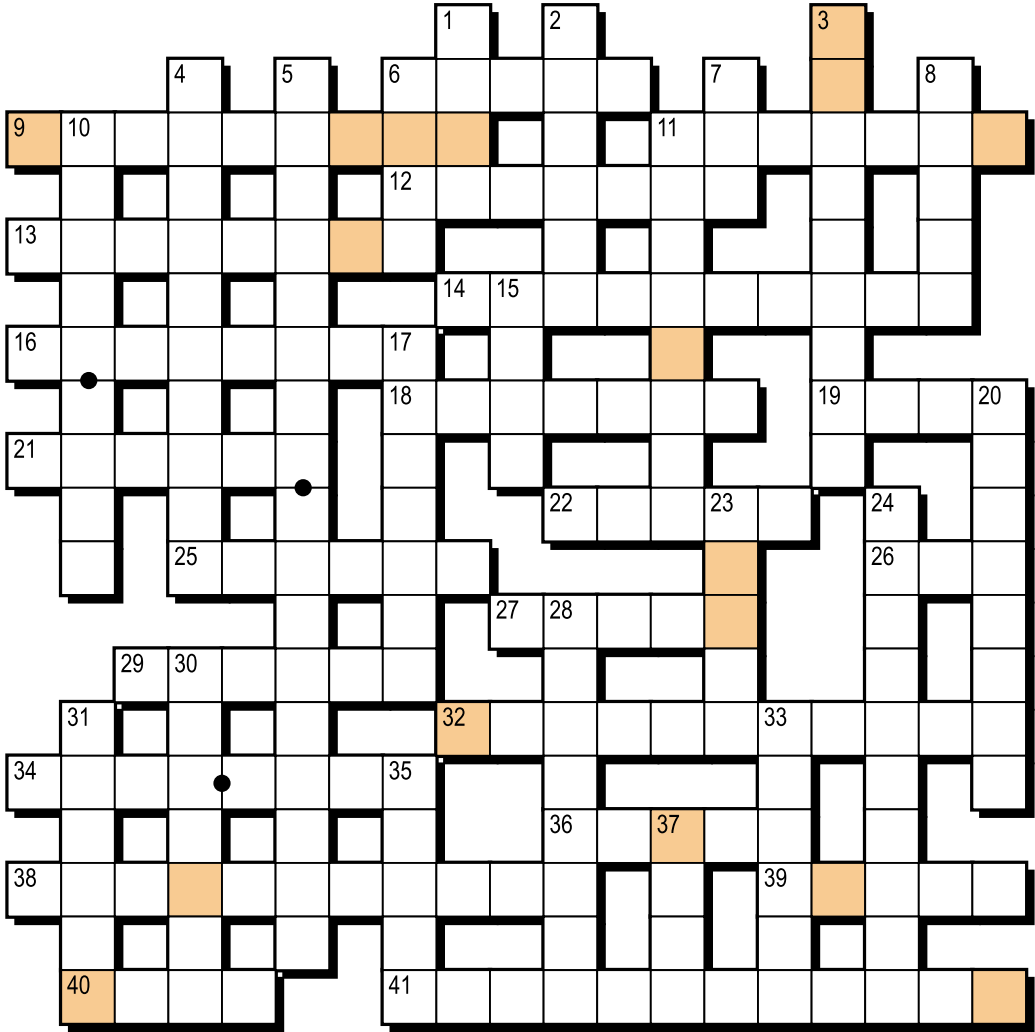
Oto bowiem rok później najlepsi lekkoatleci świata spotkali się w Berlinie na mistrzostwach globu. Tak się stało, że finał tego królewskiego dystansu, sprintu na 100 m, wyznaczono dokładnie na 16 sierpnia.

Bolt wyjaśnił wszystkich jeszcze prędzej niż w Pekinie. Na starcie najszybszy znów był Thompson, świetnie ruszył też Daniel Bailey z Antigui i Barbudy, ale Bolt już sunął niczym ekspres. Pognał za nim Amerykanin Tyson Gay, ale z Jamajczykiem szans nie miał. Wpadł na metę z czasem 9,71 – co wówczas było rekordem Stanów Zjednoczonych – ale Bolt był tam 0,13 s wcześniej. Czas 9,58 dał mu nie tylko tytuł mistrza świata, ale wyśrubował rekord do poziomu niebotycznego – do dziś nikt tego czasu pobić nie zdołał.

Oczywiście Bolt do złota na setkę dorzucił też złoto na dystansie dwa razy dłuższym, który wygrał także z czasem rekordu świata – 19,19!

Alle nieoficjalnym dniem prędkości absolutnie trzeba określać 16 sierpnia. Dlatego też dzisiaj „Weekendówkę” poświęcamy szybkości. Przyda się znajomość sportu rzecz jasna, ale i zoologii, filmów, fizyki, a nawet muzyki! Start!

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 166 z 9.08:

- Poziomo:** 6) Bastian
8) księgarnie 10) biesiady
12) złodziejka 13) impreza
14) zbiorki 15) czytelnicy
16) wąż 18) klub
21) autobiografia 22) regał
24) wywiad 26) przewodnik
28) epik 31) beletrysta 32) Eco
33) nowelista 35) pamiętniki
36) egzemplarz
Pionowo: 1) Wikipedia
2) skrzydełka 3) Miłosz
4) przedruk 5) Pickwick
6) biblioteki 7) stempel
9) grzbiet 11) diarysta
16) wstawki 17) zaczytanie
19) Larousse 20) branża
23) łóżko 25) debiut 26) palenie
27) kwestia 29) Pegaz 30) kącik
34) Lem

HASŁO: CIEKAWA LEKTURA

SZYBKO, PRĘDKO

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 6)** szybki ruch czegoś błyszczącego, jasnego
9) sklep, w którym można nabyć superszybką furę
11) startują w jeździe indywidualnej na czas
12) ... Toretto, postać z cyklu filmów „Szybcy i wściekli”
13) kotowate równie szybkie jak gepardy
14) przecina niebo podczas burzy
16) wszyscy lubimy, kiedy jest szybki (np. w smartfonie)
18) błyskawiczna, cięta odpowiedź; replika
19) najszybszy bieg konia
21) motorowe – prują fale jeziora

- 22)** imię wykonawczyni piosenki „Nie bądź taki Szybki Bill”
25) ... dwóch prędkości, sformułowanie znane interesującym się polityką unijną
26) potocznie: szybkie auto, bryka
27) zwiąja się jak w ..., czyli robić coś gorączkowo, pospiesznie (wpisujemy w mianownik)
29) kara dla kierowcy za przekroczenie dozwolonej prędkości
32) samolot, który może przekroczyć barierę dźwięku
34) menu barów szybkiej obsługi
36) błyskawiczna, z torebki
38) szykowane do gonitwy
39) miasto z Energylandią, gdzie można poszaleć na mknących rollercoasterach
40) ach, jak ten ... szybko leci!
41) ... cząstek, urządzenia takie jak np. Wielki Zderzacz Hadronów

Pionowo:

- 1)** tu można obejrzeć „Szybkiego jak śmierć” albo „Zawrotną prędkość”
2) mkną po torach Formuły 1
3) mogą rywalizować w blitzu – mają wówczas bardzo mało czasu na myślenie
4) pociągi nieco szybsze niż osobowe
5) rozpędzenie się
6) szybko przemijają, wciąż nastają nowe (trendy, tendencje)
7) zimą szybciej zapada
8) mała – to szybka
10) Jamajczyk, póki co najszybszy sprinter świata
11) Wilson, wielokrotny rekordzista świata w biegach na 800 i 1000 m
15) pies gorczy to dopiero nimi przebiega!
17) szybki ruch ptasich skrzydeł

- 20)** doskonale wiedzą, skąd się wzięło porównanie „szybki jak strzała”
23) siła rozpędu
24) błyskawiczne ..., np. przez nokaut w pierwszej rundzie
28) wirują w wesołym miasteczku
30) Sandra Bullock („Speed: Niebezpieczna prędkość”) lub Kristy Swanson („Pościg”)
31) polka galopka albo goniony
33) jeśli się nadarza, działaj błyskawicznie!
35) ... szybkiego ruchu
37) ... position, miejsce startu dla tego kierowcy Formuły 1, który był najszybszy w eliminacjach do wyścigu (a w szczerym tylko hula wiatr)

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

**SUDOKU
KRZYŻÓWKI
QUIZY**



APLIKACJA
WYBORCZEJ

Odkryj rozrywkę w aplikacji



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację

